

B A R B A R A

F R A L E

Templariusze i Cwałun Turyński



BARBARA FRALE

Templariusze i Całun Turyński

Wydawnictwo WAM

Kraków 2011

Spis treści

Wprowadzenie

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tajemniczy bożek templariuszy

Urok pewnego mitu

Od legendy do polityki

O Bafomecie i innych demonach

Tajemnice dokumentów

Konfratry chwalebne baussant

Utrata Grobu Świętego i honoru

Okryci kirem hańby

Proces bez wyroku

Ukryta obecność

Mozaika fragmentów

Wizerunki islamu

Cień Rideforta

Wiele twarzy

ROZDZIAŁ DRUGI

„Ecce homo!”

Szczególny charakter sakralny Intuicje

Wizerunek mężczyzny na płótnie

Siła kontaktu

Ikona dostępna zmysłom

Et habitañt in nobis

Z ciała i krwi

Na czworo podwójnie

Z Bizancjum do Lirey?

Tragedia czwartej krucjaty

Cenniejsze od klejnotów

Od amfor z Qumran do dzbanów z Chambery

ROZDZIAŁ TRZECI

Przeciw wszystkim herezjom Mapa pewnej masakry”Pas krwi” i”znak Jonasza”

Wizerunki

Tajemnicze ślady pisma Didaskalia?

Trop "problemu żydowskiego"

Dochować wierności drodze wytyczonej przez Piotra

Kontynuacje gnozy

Między Prowansją a Langwedocją

Amalryk z La Roche

Nowy Grób

Tomasz i rana

Wprowadzenie

Podczas pracy nad zredagowaniem tej książki rzucił mi się przypadkiem w oczy dość niezwykły fakt. Eksperci z różnych dziedzin, którym ją pokazywałam, czytając szybko tytuł bez zapoznawania się z treścią, odnosili wrażenie, że chodzi w nim o Całun Turyński uważany za prawdziwy całun żałobny Jezusa Chrystusa. W związku z tym odczuwam potrzebę powiadomienia czytelnika już na samym wstępie tej książki, że tytuł książki brzmi Templariusze i Całun Turyński. Oznacza on, że można z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, iż owi bracia zakonu rycerskiego epoki średniowiecza strzegli przez pewien czas Całun Turyński, kontemplując w nim dowód na to, że Chrystus (a nie po prostu Jezus z Nazaretu) przeszedł rzeczywiście przez bramy śmierci. Różnica ta może na pierwszy rzut oka wydawać się czytelnikowi mało ważnym szczegółem, lecz wcale tak nie jest, o czym szczegółowo będzie mowa w tej książce.

Kwestia autentyczności Całunu Turyńskiego pozostaje nadal otwarta, wykraczając - tak czy inaczej - poza cel postawiony w tej książce. Przedmiotem badań przedstawionych w tym opracowaniu jest kult całunu w zakonie templariuszy, a nie ma wątpliwości, że dla templariuszy płótno to pochodziło z Grobu Świętego i okrywało ciało Chrystusa, zanim powstał z martwych. Rzeczywistość ta zmusza czytelnika do wejścia w pewnym sensie w ich położenie, nawet za pomocą fantazji. Jeśli chcemy bowiem badać pewien świat i zrozumieć jego sposób funkcjonowania, musimy utożsamić się z nim i starać się patrzeć na rzeczywistość jego oczami. W wielu ustępach książki będzie więc mowa o całunie jako głównej relikwii Męki Pańskiej, ponieważ w taki sposób był postrzegany przez templariuszy.

W roku 1988 przeprowadzono eksperyment datowania płótna metodą radioaktywnego węgla (14C), czyli systemu analizy chemicznofizycznej, która daje wyniki wiarygodne (choć z pewnym marginesem niepewności), jeżeli przedmiot był przechowywany w

szczególnych warunkach i nie uległ zanieczyszczeniu materiałem organicznym. Na przykład znakomicie nadawałby się do tego rodzaju badań nienaruszony grobowiec etruski, zamknięty w VI w. przed Chr., a następnie ponownie otwarty, i to najlepiej przez archeologa, który go odkrył. Analizę fragmentu płótna powierzono trzem laboratoriom specjalizującym się w tego rodzaju badaniach, na podstawie których stwierdzono, że całun pochodzi z późnego średniowiecza, określając margines błędu na sto trzydzieści lat (1260-1390 po Chr.). Nie oznaczało to jednak wcale definitywnego rozwiązania problemu. Z jednej strony wynik badań datowania radioaktywnym węglem wywołał niekończącą się falę polemik, ponieważ zdaniem niektórych osób ta metoda nie przestrzegała zasad nieodzownych w badaniach o charakterze naukowym. Z drugiej strony podniosły się głosy podkreślające, że badanie radioaktywnym węglem nigdy nie mogłoby przynieść wiarygodnych wyników w przypadku Całunu Turyńskiego, znalezisku archeologicznym, które na różne sposoby uległo zanieczyszczeniu, i trzeba dokonać jeszcze wielu odkryć, by poznać jego historię. W swoim czasie wypowiedział się przeciw tego rodzaju badaniu również laureat Nagrody Nobla Williard Frank Libby, który wymyślił i opracował w szczególności metodę datowania znalezisk archeologicznych za pomocą izotopu węgla ^{14}C .

Za pontyfikatu zmarłego papieża Jana Pawła II, wielkiego czciciela całunu, który przypominał mu w niewiarygodnie realistyczny sposób o cierpieniach Jezusa Chrystusa, kardynał Anastasio Ballestrero, który w owym czasie był papieskim strażnikiem Całunu, nazwał go "godną czci ikoną Chrystusa". Wielu wiernych przyjęło te słowa z wyraźnym rozczarowaniem, gdyż oczekiwali, że papież ogłosi oficjalnie, że całun jest najważniejszą relikwią Jezusa, jaką posiadamy. W atmosferze poruszenia tamtych dni doszło nawet do tego, że Ballestrero, uznawany do tej pory za obrońcę konserwatywnego katolicyzmu, został obdarzony mianem "oświeceniowca w purpurze", a więc przydomkiem, który nigdy nie sprawia szczególnej przyjemności osobie duchownej („La Repubblica”, 14 października 1988).

W rzeczywistości to określenie całunu staje się w pełni zrozumiałe, gdy uświadomimy sobie, że pojęcie teologiczne ikony nie jest absolutnie równoznaczne z ideą obrazu świętego, a intencją tych słów nie było absolutnie, aby całun był traktowany w taki sam sposób jak Pieta Michała Anioła albo inne dzieła sztuki przedstawiające Mękę Pańską w sposób realistyczny i bardzo poetycki. Według teologii chrześcijańskiej, a w szczególności chrześcijaństwa wschodniego, ikona nie jest zwykłym obrazem, lecz czymś absolutnie odmiennym. Jest czymś, co żyje i w pewien sposób ożywia; czymś, co jest w stanie obdarzyć ducha ludzkiego konkretnymi dobrodziejstwami. Wielu autorów zajmujących się zagadnieniem całunu nie

dostrzegło nigdy tego aspektu, który ma przecież znaczenie. Nazwanie go "godną czci ikoną" było owocem długich i wnikliwych badań ze strony specjalistów w tej dziedzinie, którym z pewnością nie brakowało słownictwa. W rzeczywistości wyrażenie to odwołuje się bezpośrednio do myśli teologów uczestniczących aktywnie w pracach Soboru Nicejskiego II (787 po Chr.), w opinii których cudowny wizerunek Chrystusa jest miejscem kontaktu z tym, co Boskie. Równocześnie wyraża wolę patrzenia na ten przedmiot w identyczny sposób, pełen uszanowania i zdumienia, w jaki kontemplował go Kościół starożytny. Wszystko kręci się wokół bardzo prostej idei: poważne badanie Całunu Turyńskiego oznacza w każdym razie medytowanie nad ranami Chrystusa. Termin użyty przez kardynała Ballestrero był więc pełen delikatności i szacunku wobec głębokiej tajemnicy, jaka emanuje z tego przedmiotu, choć być może zbyt wyszukany, aby mogli go zrozumieć wszyscy. Ze swej strony różni papieże otwarcie wyrazili swe przekonania w tej materii: jeżeli już Pius XI określił całun jako "z pewnością nie przez człowieka uczyniony", to Jan Paweł II mówił o nim jednoznacznie jako o najwspanialszej relikwii: "szczególnym świadku Męki i Zmartwychwstania" („L'Osservatore Romano", 7 września 1936 i 21-22 kwietnia 1980).

Osobiście przypuszczam, że istotny jest także inny aspekt. Dzień, w którym Kościół zdecydowałby się oficjalnie ogłosić, że całun jest prawdziwym całunem Jezusa, oznaczałoby, że dalsze prowadzenie na nim badań naukowych mogłoby stać się bardzo trudne, a może wręcz niemożliwe. W tym momencie stałby się on bowiem najświętszą relikwią chrześcijaństwa, przesiąkniętą krwią Chrystusa, a każde działanie podejmowane wobec niego byłoby traktowane jako wyraz braku szacunku. Chrześcijaństwo pragnie jednak jeszcze przez długi czas stawiać pytania temu enigmatycznemu przedmiotowi, o wiele spraw musi go jeszcze zapytać. W wielu środowiskach dochodzi do głosu przekonanie, że całun mógłby powiedzieć nam wiele na temat judaizmu epoki rzymskiej, czyli właśnie na temat kontekstu, w którym narodził się, głosił swe przesłanie i poniósł śmierć Jezus z Nazaretu. Wszystko to wchodzi w zakres badań, które są niezwykle interesujące bez względu na ich ocenę z religijnego punktu widzenia. Bardzo niewiele wiemy bowiem na temat tego okresu historii judaizmu z powodu rozkazów cesarzy Wespazjana (w 70 roku po Chr.) i Hadriana (132 po Chr.), które doprowadziły do zniszczenia Jerozolimy wraz z wszystkim obecnymi w niej archiwami oraz deportacji ludności żydowskiej z terytoriów Syrii i Palestyny. Pewne ważne ślady obecne na Całunie Turyńskim mogą być bardzo pomocne w dostarczeniu informacji na temat zwyczajów wyznawców judaizmu w okresie drugiej świątyni. Paolo Sacchi, jeden z bardziej cenionych znawców historii starożytnego judaizmu, pisze następująco: "Bez względu na to, czy wierzy się czy nie w boskość Jezusa z Nazaretu, mówił On językiem swego czasu

do ludzi swego czasu, spotykając się bezpośrednio z problemami swego czasu” (Stoña del Secondo Tempio, str. 17). Jeżeli pytania zostaną postawione delikatnie i z szacunkiem, to całun przemówi.

Przedmiotem rozważań proponowanych w tej książce nie będzie żadne ze złożonych zagadnień dotyczących autentyczności całunu oraz jego znaczenia z punktu widzenia religijnego. Osoba pragnąca pogłębić swą wiedzę na temat tych kwestii znajdzie stosowne odpowiedzi w publikacjach monsignore Giuseppe Ghibertiego: *Sindone, vangeli e ñta cñstiana* oraz *Dalie cose che pati (Eb 5,8). Evangelizzare eon la sindone*. Celem tej książki jest omówienie zagadnienia tylko na płaszczyźnie historycznej; nie ma bowiem wątpliwości, że z perspektywy historycznej Całun Turyński (bez względu na to, czym jest) jest prawdziwym dokumentem o olbrzymim znaczeniu.

Kolejne strony tej książki stanowią pierwszą część studium badawczego, tworzącego całość z drugim tomem (Całun Jezusa z Nazaretu, publikacja wkrótce), który jest poświęcony wszystkim nowym problemom natury historycznej, jakie wynikają z ostatnich odkryć pod wpływem badań przeprowadzonych na całunie. Niektóre najważniejsze argumenty, które będą omawiane w drugim tomie, tu będą tylko pokrótce zasygnalizowane, i to wyłącznie z konieczności. Rozważania przedstawione w drugim tomie zagłębią się bowiem w złożoną problematykę archeologii świata żydowskiego i greckorzymskiego I wieku, czyli poruszą tematy zbyt odległe od sprawy templariuszy, aby było możliwe przedstawienie całości zagadnienia w ramach jednego tomu. Badania nad tym zagadnieniem rozpoczęłam w roku 1996. Potem, wiosną 1998 roku, w wiadomościach RAI oznajmiono, że na lnianym płótnie całunu znaleziono ślady starożytnych pism. W owym czasie odbywałam studia doktoranckie z historii na uniwersytecie “Ca’Foscari” w Wenecji, pisałam pracę doktorską poświęconą templariuszom i zauważyłam już dawno, że w oryginalnych dokumentach procesu przeciwko nim znajdowała się pewna liczba zeznań, w których opisywano przedmiot identyczny z Całunem Turyńskim. Wiedząc, że Ian Wilson, historyk i absolwent Oksfordu, znalazł interesujące ślady posiadania całunu przez templariuszy, zdecydowałam się na zweryfikowanie tego problemu i rozpoczęłam badanie nad zagadkowymi napisami na całunie, by sprawdzić, czy przypadkiem nie są one dziełem braci - rycerzy należących do Świątyni. Wynik tych prac zrobił na mnie wrażenie i wydawał mi się tak bardzo złożony i intrygujący, że zdecydowałam się na kontynuację tych badań w dłuższym przedziale czasowym, odsuwając ostateczne podsumowanie zagadnienia aż do momentu odkrycia satysfakcjonujących dowodów. Dzisiaj uważam, że takie dowody istnieją, co więcej, że jest ich być może więcej, niż spodziewałam się u początków badań. Jest to w dużej mierze

zasługa naukowców, którzy uczynnie udostępni mi swój cenny wkład w badania nad tą problematyką. Pragnę podkreślić, że idee przedstawione w tej książce są wyrazem wyłącznie moich osobistych opinii i w żaden sposób nie mogą zostać przypisane innym osobom. Tak czy inaczej, bez względu na wartość przedstawionych tu wyników poszukiwań, uważam, że nawet dziesięć lat uporczywych, pełnych pasji badań doprowadziłoby mnie do ślepego zaułka, gdybym nie mogła korzystać z wielu wiarygodnych rad, sugestii, a czasem z obdarzających jasnością widzenia głosów krytyki.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tajemniczy bożek templariuszy

Urok pewnego mitu

Zbliżało się Boże Narodzenie 1806 roku i cesarz Napoleon Bonaparte znajdował się w obozie niedaleko polskiego zamku w Pułtusk, nad brzegami Narwi, około 70 kilometrów na północ od Warszawy. Był u szczytu władzy. Rok wcześniej wielkie zwycięstwo pod Austerlitz i będący jego pokłosiem traktat w Pressburgu pozwoliły mu rozciągnąć kontrolę nad prawie całą Europą. Krótco wcześniej, w sierpniu, tworząc Związek Reński w Ratybonie, zdecydował o włączeniu różnych państw niemieckich w sferę polityki francuskiej i w ten sposób położył kres tysiącletniej historii Świętego Imperium Rzymskiego. Jeszcze 14 października zadał wojsku pruskiemu dotkliwą klęskę w pobliżu miasta Jena. Obecnie przygotowywał się do odparcia wojsk rosyjskich, które wkroczyły na ziemię polską, aby powstrzymać jego natarcie, i których przeznaczeniem była również dotkliwa porażka, poniesiona w dzień świętego Szczepana właśnie w okolicach Pułtusk. W takim położeniu, pośród wojska zaniepokojonego z powodu mrozu i niedostatku żywności, cesarz znajdował odrobinę wolnego czasu, aby osobiście podjąć decyzję w pewnej sprawie, która najwyraźniej leżała mu na sercu.

Rozmyślał nad tragedią zatytułowaną *Les Templiers*, którą napisał jego rodak François Raynouard, adwokat pochodzący z Prowansji i historyk z zamiłowaniem. Dramat przypominał mroczną historię procesu wszczętego przez króla Francji Filipa IV Pięknego przeciwko najbardziej potężnemu zakonowi religijnemu i rycerskiemu średniowiecza, jakim byli „ubodzy rycerze Chrystusa”, bardziej znani pod nazwą templariuszy. Tragedia opowiadała właśnie o niezasłużonym końcu tych zakonnych rycerzy, którzy okazali się także ekspertami na polu dyplomacji i w dziedzinie bankowości. W przekonaniu Raynouarda byli oni niewinnymi ofiarami chciwości króla Francji, który zarzucił im zdradę, aby zagarnąć na

własność ich majątek. Dzieło to nie przypadło cesarzowi do gustu. Powodem tego nastawienia był przede wszystkim fakt, że Napoleon, koronując się na cesarza w obecności papieża Piusa VII w katedrze Notre-Dame 2 grudnia 1804 roku, uważał się za moralnego spadkobiercę wielkiego charyzmatu, jaki był udziałem francuskich władców średniowiecza, namaszczonego olejem krzyżma świętego, który według tradycji dostarczyła w sposób cudowny gołębica, przynosząc go z nieba podczas chrztu króla Chlodwiga. Ten wizerunek - tak okrutny i cyniczny - Filipa Pięknego, który był przecież wnukiem wielkiego króla, świętego Ludwika IX, stanowczo wydawał się Napoleonowi nie na miejscu. Raynourd wystąpił jednak mocno przede wszystkim przeciw panującym przekonaniom, jakie żywiła cała kultura, której sam Napoleon był sławnym reprezentantem, wobec słynnego zakonu braci wojowników, który będąc u szczytu władzy i ciesząc się wielkim autorytetem i bogactwem, doświadczył niespodziewanego upadku pod ciężarem okrywającego niesławą oskarżenia o herezję. Była to historia pełna przygód, tajemnic i niejasnych sugestii, tym samym wyjątkowo pociągająca dla nowego romantycznego smaku, który skłaniał się ku temu, aby we wszystkim dostrzegać pierwiastek irracjonalny. Cesarz był jednak nade wszystko osobą praktyczną, a jego zainteresowanie tym wydarzeniem wynikało z zupełnie innych motywów. Kres zakonu templariuszy był w swoim czasie symbolem precyzyjnego planu politycznego. I paradoksalnie nie przestawał nim być, pomimo że wydarzenia te dokonały się dawno, przed pięcioma wiekami.

Ten niewolny od fantazji i nostalgii sposób postrzegania dawnego zakonu rycerskiego pojawił się w Europie u początków XVIII wieku. Był on owocem związku między szczerym pragnieniem odnowienia społeczeństwa i niezbyt obiektywną interpretacją wydarzeń historycznych. Już pod koniec XVII wieku we wszystkich krajach cywilizacji zachodniej istniało mieszczaństwo, które wzbogaciło się dzięki handlowi i rodzącej się produkcji przemysłowej, zgromadziło prawdziwe majątki i posłało na studia do najlepszych szkół swych synów, aby pobierali tam nauki obok potomków najstarszych rodów szlacheckich. Członkowie tej rodzącej się grupy społecznej, zamożni i dobrze przygotowani pod względem merytorycznym, czuli się gotowi do udziału w rządzeniu narodem, rzadko jednak dochodziło do tego, ponieważ społeczeństwo było od dawna zhierarchizowane według sztywnego i zamkniętego systemu, na mocy którego ster władzy spoczywał w rękach arystokracji. Dziedzicom tych fortun, zgromadzonych na sposób "plebejski" dzięki handlowi, którzy pragnęli osiągnąć wyższą pozycję społeczną, nie pozostawało nic innego, niż stać się członkiem tejże warstwy szlacheckiej. Następowало to w rezultacie małżeństwa z córką przedstawiciela jakiegoś znanego rodu, który właśnie popadł w niełaskę albo który był gotów

pogodzić się z tym, że jego błękitna krew zmiesza się z krwią osoby niskiego pochodzenia. Po zawarciu małżeństwa świeżo upieczony członek rządzącej klasy przyjmował styl życia nowych przyjaciół i krewnych, zostając zatem niejako "wchłoniętym" przez system. Nowe myślenie, którego owocem było oświecenie, skłaniało powstającą klasę społeczną do poszukiwania właściwej dla siebie drogi ku władzy; drogi, która nade wszystko dawałaby możliwość podejmowania konkretnych działań prowadzących do rozwoju społeczeństwa i uczynienia go bardziej sprawiedliwym. Z podziwem spoglądano w przeszłość, a zwłaszcza na pewne obszary Europy, jak Flandria, Niemcy, terytoria francuskie lub Anglia, gdzie powstały wpływowe korporacje kupców i rzemieślników, które dzięki solidarności grupy potrafiły prosperować i bronić się przed despotyzmem klasy szlacheckiej urodzonych. Korporacje murarzy, które wzniosły wielkie katedry gotyckie jak ta w Chartres, podejrzewano szczególnie o to, że przechowywały wiedzę naukową znacznie wyprzedzającą ich czasy, przekazując ją poprzez wieki jako najbardziej strzeżony sekret. Uzasadniona ciekawość historyczna mieszała się z potrzebą znalezienia znamienitych początków swego pochodzenia. Zjawisko to wyrażało się w powstawaniu na początku XVIII wieku prawdziwych "klubów" ożywionych ideałami oświeceniowymi, równocześnie jednak przekonanych do potrzeby uwiecznienia tradycji tajnych stowarzyszeń, sięgających wręcz czasów starożytności biblijnej. Także ich nazwa była zaczerpnięta z przeszłości, kluby owe przybierały bowiem miano, pod jakim były znane dawne korporacje murarzy. W języku francuskim nazwa ta brzmiała maçonnerie. W ówczesnym społeczeństwie istniało silne zamiłowanie do idei szlactwa, szczególnie tego o starodawnym rodowodzie, wywodzącego się z czasów, kiedy to pośród mroków średniowiecza przodkowie najważniejszych dynastii dokonywali bohaterskich czynów, aby dla spadkobierców stworzyć przyszłość pełną splendoru i zaszczytów. Dawne zakony rycerskie promieniowały ogromnym urokiem i choć ich wizerunek nie był jednoznaczny, to jednak postrzegano je jako rodzaj uprzywilejowanej drogi, jako dający pierwszeństwo tor, mogący wynieść na szczyty władzy także osoby obdarzone naturalnymi darami, które jednak miały pecha, przychodząc na świat poza sferą arystokracji. Zakon templariuszy, najsłynniejszy i najbardziej kontrowersyjny, wydawał się dokładnie znajdować w punkcie, w którym zbiegały się wszystkie wymienione linie zainteresowań.

Od legendy do polityki

Być może wiedza, która umożliwiła konstrukcje wielkich katedr, była w gruncie rzeczy tożsama z tą wiedzą, na podstawie której tysiąclecia wcześniej legendarny architekt fenicki Hiram powołał w Jerozolimie do istnienia najbardziej sławioną budowlę w historii,

legendarną Świątynię Salomona. Świątynia nie była wyłącznie wspaniałą budowlą, była kaplicą wzniesioną po to, aby gościć Ukrytą Obecność, Boga Żyjącego, co implikowało, że wznosiły ją wyłącznie ręce osób wprowadzonych w świat najwznieślejzych tajemnic. Wyobrażano sobie, że starożytne nauki Hiram'a przeniknęły do europejskiego średniowiecza w ściśle określonym momencie, w czasie gdy rycerze wywodzący się z Europy Zachodniej dotarli do Jerozolimy wraz z pierwszą wyprawą krzyżową (1096-1099), dając początek chrześcijańskiemu królestwu w Ziemi Świętej. W historii średniowiecza i krucjat można mówić o szczególnym wcieleniu tej idei, które wzięło wręcz swą nazwę od Świątyni Salomona. Była to Militia Salomonica Templi, bardziej znana jako zakon templariuszy. Zakon templariuszy powstał właśnie w Jerozolimie w niedługim czasie po pierwszej krucjacie w celu obrony pielgrzymów w Ziemi Świętej. Jego początki stały pod znakiem nieustannego, szczęśliwego rozwoju, który spowodował, że zaledwie pięćdziesiąt lat po założeniu stał się on najpotężniejszym zakonem religijnowojсковym średniowiecza. To pasmo powodzenia dobiegło kresu dwa wieki później, gdy zakon został unicestwiony pod wpływem mrocznej historii, w której ujawniło się oskarżenie o herezję i czary, i która zakończyła się wraz z śmiercią na stosie ostatniego Wielkiego Mistrza.

Słynni intelektualiści, jak Dante Alighieri, żyjący właśnie w okresie procesu, nie bali się mówić otwarcie, że atak przeciw templariuszom był w gruncie rzeczy wielkim blefem, podjętym z inicjatywy króla Francji Filipa IV Pięknego dla skonfiskowania majątku zakonu, którego zdecydowana większość znajdowała się na terytorium francuskim. Już jednak od XVI wieku niektórzy miłośnicy magii, jak np. filozof Henryk Korneliusz Agrippa, wyrazili przypuszczenie, że w zakonie dochodziło do dziwnych i tajemnych rytów, sprawowanych przy migotliwym świetle świec, podczas których pojawiały się tajemnicze bożki, a nawet czarne koty.

Nie było dokładnie wiadomo, jaką rolę w tej sprawie odegrał papież, którym w owym okresie był pochodzący z Gaskonii Klemens V (1305-1314). Papież ten jawił się zawsze jako człowiek niezdecydowany, wydawał się spełniać posłusznie wolę królewską, a jednak człowiek ten przeciągał proces przeciw templariuszom przez siedem pełnych lat, praktycznie do momentu swej śmierci, która nastąpiła zaledwie w miesiąc po śmierci ostatniego Wielkiego Mistrza Świątyni. Wiele źródeł, dostępnych dzisiaj, wówczas było nieznanymi, ale i te znane badano metodą całkowicie odmienną od obecnie stosowanej metody krytycznej. Historia była postrzegana tak jak inne rodzaje literatury pięknej. Uważano ją więc za pożyteczną rozrywkę, która miała za cel rozweselić i uszlachetnić ducha. Z tego względu z

przeszłości wydobywano jedynie te fakty, które były w stanie zaoferować pouczenie moralne albo zachwycić zmysł wyobraźni w takim stopniu, jak czyniła to powieść przygodowa.

O tym papieżu, który w życiu świeckim zwał się Bertrand z Got, było wiadomo, że przyszedł na świat na ziemi francuskiej, że dał początek niewoli papieskiej w Awinionie i że zniósł ekskomunikę nałożoną na Wilhelma z Nogaret, „człowieka do wszystkiego” w królestwie Filipa Pięknego, którego władca wykorzystywał, aby zrealizować swe najbardziej pozbawione skrupułów przedsięwzięcia. Król Francji odniósł zwycięstwo we wszystkich sprawach, w których wszedł w konflikt z autorytetem papieskim. Także w przypadku procesu templariuszy wiele faktów wskazuje na to, że Kościół bez większego oporu dostosowywał się do żądań monarchy. Był jeszcze jednak inny powód, który przechylał szalę wagi na korzyść tego poglądu; powód, który nie poddaje się rzeczowej analizie nauk historycznych, a pomimo to może on mieć pierwszoplanowe znaczenie. Na początku XVIII wieku postawa Kościoła wobec nowych idei oświeceniowych była nacechowana olbrzymią ostrożnością. Idee te ujawniały się z dużą intensywnością, stawiając sobie za cel wspieranie odnowienia myśli, a także transformacji życia społecznego w wielu dziedzinach. U podstaw tego zamknięcia leżały różne czynniki. Zdecydowana większość dostojników pełniących pierwszoplanową rolę w hierarchii kościelnej wywodziła się z tych samych rodzin szlacheckich, w których rękach spoczywała władza cywilna. Oznaczało to tę samą mentalność oraz identyczny sposób postrzegania świata. Kościół był zawsze uodporniony na uwarunkowania społeczne, jakie dominowały w doczesnym świecie. Można dojść do takiego wniosku przynajmniej w tym znaczeniu, że istniała w Kościele możliwość dotarcia na szczyty władzy duchowej i doczesnej dzięki wrodzonym zdolnościom, nawet dla osób niskiego pochodzenia. Wielu papieży, również spośród tych najbardziej znanych i sławionych, pochodziło z rodzin bardzo ubogich, wystarczy wspomnieć o słynnym Grzegorz VII, który będąc chłopcem, zarabiał na chleb jako tragarz, albo o współczesnym naszym czasom Janie XXIII, wywodzącym się z wielodzietnej rodziny chłopskiej, która miała trudności, aby powiązać koniec z końcem. Taka możliwość awansu istniała więc przynajmniej w teorii, gdyż rzeczywistość była często zupełnie inna. Olbrzymie majątki powiązane z wieloma funkcjami kościelnymi powodowały, że stawały się one łupem niezwykle pożądanym dla szlachty, która umieszczając swych młodszych synów w szeregach hierarchii kościelnej, znajdowała sposób, aby zapewnić im życie pełne zaszczytów, nie rozdrabniając przy tym majątku rodzinnego. Okres największej deprawacji na tym polu to czas odrodzenia, kiedy to utarł się zwyczaj sprzedaży - według ustalonego cennika - przynoszących największe dochody stanowisk, jak godność biskupa, kapelusze kardynalskie albo godność opatów majątnych klasztorów.

Skandale i niezdolność do przeprowadzenia w krótkim czasie skutecznej reformy obyczajów zintensyfikowały także kontestację polityczną, a wynikiem tego była schizma protestancka. Na początku XVIII wieku, ponad dwa wieki po wystąpieniu Marcina Lutra, w żaden sposób nie ustały gwałtowne polemiki rozpętane między XVI i XVII wiekiem przez myśl protestancką, która oskarżała papieżstwo o to, że pochwytiło ludzkość w sieć wymysłów skonstruowanych dla własnej korzyści, dając im pierwszeństwo nad jedynym prawdziwym fundamentem nauki chrześcijańskiej, jakim jest przesłanie Kościoła pierwotnego. W Magdeburgu założono szkołę nauk historycznych, której zadaniem było wykazać niemający końca ciąg fałszerstw, które - jak przypuszczano - nagromadziły się przez ponad tysiąc lat pod wpływem działań Kościoła katolickiego, mających na celu przekonanie wiernych do własnych korzyści materialnych. Przedstawiciele tej szkoły, zwani "centuriatorami z Magdeburga" od nazwy dzieł publikowanych w tomach, z których każdy obejmował jedno stulecie (Centurie), reprezentowali bezspornie pewien poziom intelektualny i choć ich rekonstrukcje historyczne były naszpikowane licznymi wytworami fantazji, to jednak pomieszały szyki pokoleniom badaczy katolickich. Rana wielkiej schizmy otwarta przez Lutra zrodziła w końcu uraz niełatwy do przezwyciężenia i każda nowość, która wydawała się tylko krytycznie oceniać tradycję myśli chrześcijańskiej, uważaną za zapewniającą spokój ducha, jawiła się jako przejaw kolejnego ataku. Galileo Galilei był jedną z bardziej sławnych ofiar tej reakcji. W krótkim czasie rozpowszechniła się tendencja do postrzegania Kościoła jako wpływowego narzędzia sprzymierzonego ze stosującą ucisk władzą świecką, którą chciano odsunąć od rządzenia, a rozmaite grupy masońskie nabrały charakteru zdecydowanie antyklerykalnego, którego nie miały na początku swojego istnienia.

Na bazie przekonania, że rozum jest najważniejszą, jeśli nie jedyną, drogą prowadzącą ku poprawie życia ludzkiego, narodziła się stopniowo idea samego intelektu o niemal boskich cechach. Rozum uważano bowiem za iskrę boskości powierzoną człowiekowi przez Boga, postrzeganego jako czysty intelekt i wysławianego jako Wielki Architekt, którego dziełem była konstrukcja wszechświata. Tajemnice, za pomocą których Najwyższy Architekt powołał do życia wszechświat, przywodziły na myśl tajemnice, dzięki którym inny legendarny architekt, Fenicjanin Fliram, wznosił świątynię w Świętym Mieście Jerozolimie. Świątynia była pragnieniem Salomona, któremu Mądrość Boża udzieliła nieprzebranych bogactw, a przywodziła na myśl templariuszy, doprowadzonych do upadku, ponieważ także im były dane bajeczne bogactwa i prawdopodobnie - wszystko wydawało się na to wskazywać - byli spadkobiercami sekretów Hirama. Zaś sam Kościół katolicki, tak zacofany, że wówczas wydawał się sprzeciwiać każdemu, najmniejszemu postępowi myśli innych osób, był co

najwyżej spadkobiercą papieżstwa średniowiecznego, instytucji, która przez wieki ukrywała wątle podwaliny swej prawdy historycznej, rzucając swą najstraszliwszą broń, Inkwizycję, przeciwko wszystkim tym, którzy byli w posiadaniu dowodów pozwalających na ukazanie jej prawdziwego oblicza.

Wszystkie te idee, niezależne jedna od drugiej, ale zrodzone w ramach tego samego kontekstu, ostatecznie stopiły się w jedną całość, a ich kształty dopasowały się do siebie do tego stopnia, że zgadzały się idealnie ze sobą niczym fragmenty skomplikowanej układanki. Z ofiar racji stanu i słabości politycznej Klemensa V templariusze stopniowo stali się nieszczęśliwymi bohaterami liczącej tysiące lat mądrości, mądrości przewyższającej chrześcijaństwo i zrodzonej wcześniej niż ono. Mądrość ta mogła stać się źródłem postępu i dobrobytu społecznego, niestety poświęcono ją w imię obrony niesprawiedliwych przywilejów instytucji będącej zawsze sojusznikiem władzy absolutnej i tym samym jej wielorakich nadużyć. Templaryzm, czyli obraz dawnego zakonu postrzegany w formie niemal powieściowej i projektowany w rzeczywistość społeczną XVIII wieku, stał się zjawiskiem fascynującym i wzbudzającym zainteresowanie do tego stopnia, że można uważać go za istotny element europejskiej kultury masowej. Były jednak istotne różnice w sposobie, w jaki zjawisko to przejawiało się w różnych krajach. O ile we Francji templariusze byli przedstawiani jako obrońcy wolnej myśli, przeciwstawiający się ciemieniu ze strony dwóch "dinozaurów" ancien regime'u, tzn. Korony i Kościoła, to w Niemczech przeciwnie - rozwój studiów nad templariuszami miał za zadanie przeciwstawić się tym radykalnym i dążącym do obalenia dawnych struktur grupom, które się do nich odwoływały.

Książę Metternich, promotor reakcji przeciw kataklizmom wywołanym w Europie przez Napoleona, zainicjował politykę kulturalną, której celem było nadwężenie wiarygodności nowożytnych grup masońskich uważających się za nowych templariuszy. W związku z tym usiłowano pokazać, że ci bohaterscy bracia tajnego zakonu, od którego pochodzeniem szczyli się Francuzi i rewolucja, nie byli w gruncie rzeczy niczym innym jak tylko gromadą zdeprawowanych heretyków, wrogów Boga, Kościoła i państwa. Z obrońców wolnej myśli i strażników wzniosłej wiedzy, którymi byli we Francji i Anglii, w Austrii templariusze stali się symbolem niewzruszonej herezji. Prawdopodobnie Napoleon był świadomy tej instrumentalizacji politycznej; a jeśli tak było, to fakt ten musiał niewątpliwie przyczynić się do wzrostu jego zainteresowania.

O Bafomecie i innych demonach

W tym samym roku, kiedy cesarz francuski miał wyrazić swą opinię na temat dalekiej od arcydzieła tragedii o templariuszach François Raynouarda, ukazała się w Londynie dla

członków Towarzystwa Bulmer & Cleveland książka Josepha von HammerPurgstalla zatytułowana *Objaśnienie alfabetów starożytnych i hieroglificznych*. Autorem tej publikacji był młody naukowiec austriacki pochodzący z Grazu w Styrii, który w 1796 roku wstąpił do służby dyplomatycznej i już trzy lata później wziął udział w poselstwie wysłanym do Konstantynopola. W późniejszym okresie uczestniczył w różnych ekspedycjach brytyjskich skierowanych przeciw Napoleonowi na Bliskim Wschodzie, badając starożytne cywilizacje i wiele podróżując. Ta ogromna aktywność badawcza i godna uwagi otwartość umysłu, która była wrodzoną cechą jego charakteru, spowodują, że w ciągu pięćdziesięciu lat HammerPurgstall stanie się jednym z bardziej znaczących orientalistów swego czasu, autorem między innymi podręcznika historii Imperium Osmańskiego, a jego niewątpliwą zasługą jest fakt, że była to praca pionierska na tym niezbadanym jeszcze polu nauki. W latach 1847-1849 ukoronowaniem jego kariery stanie się przyjęcie stanowiska przewodniczącego niezwykle cenionej austriackiej Akademii Nauk, której członkami były takie wybitne osobistości jak Christian Doppler i Konrad Lorenz. W roku 1806 oddawał do druku pierwsze rezultaty swych badań; być może, aby spełnić życzenie swego potężnego protektora, księcia Metternicha, a na pewno pod wpływem "czarnej legendy" templariuszy, tak modnej w jego czasach. Nakreślając panoramę alfabetów starożytnych, autor włączał w nią hipotezę sugerowaną przez proste podobieństwo dźwięków, która jednak i tak wywołała sensację. HammerPurgstall zidentyfikował słowo pisane w znakach hieroglificznych, które według jego lektury brzmiało Bahumid, a przetłumaczone na arabski oznaczało "cielę". Dzisiaj potrafimy zrekonstruować rozwój jego pracy i w związku z tym jesteśmy w stanie dostrzec pewną logikę w tych dziwacznych refleksjach młodego naukowca. Zauważamy, że faktycznie niektórzy świadkowie spoza zakonu templariuszy, którzy wzięli udział w procesie odbywającym się w Anglii, opowiadali o dziwnych pogłoskach obciążających zakon, według których templariusze przechowywali bożka pod postacią cielca. Ponadto w niektórych zeznaniach złożonych podczas procesu na południu Francji pojawiała się ta dziwna nazwa Baphomet, która wprowadziła w zdumienie HammerPurgstalla, ponieważ wydawała mu się niezwykle podobna do jego tajemniczego słowa. Nieznaczną liczbą zeznań wspominających o tych niełatwych do rozstrzygnięcia sprawach sięga co najwyżej dziesięciu świadectw i jest prawdziwie kroplą w morzu w porównaniu z ponad tysiącem zeznań zachowanych do dzisiaj z procesu templariuszy, w których w zdecydowanej większości nie ma nawet śladu ani potworów, ani cielców. Osiemnastowieczny uczyony, ulegający wpływowi ducha romantyzmu dominującemu w jego epoce i używający w swych badaniach metody w niewielkim stopniu naukowej, miał jednak dobre chęci, poczuł się też oczarowany swym odkryciem. Nie

przywiązał żadnej wagi do proporcji, skupił swą uwagę wyłącznie na tych niewielu opisach, pełnych niepokojących szczegółów, zapominając zupełnie o olbrzymiej ilości świadectw o wiele bardziej racjonalnych i godnych zaufania. I ku pełnej satysfakcji księcia Metternicha odmalował oblicze zakonu templariuszy w zdecydowanie ciemnych barwach, uwypuklając wątek ezoteryczny.

Wydawało mu się, że fragmenty układanki przylegają do siebie w sposób doskonały i to zachęciło go do głębszego zaangażowania w badania nad tym zagadnieniem. Dopiero jednak w roku 1818, po Waterloo i wygnaniu Napoleona na Wyspę Świętej Heleny, po kongresie wiedeńskim i początku restauracji, hipotezy wysunięte przez HammerPurgstalla dojrzały na tyle, aby przybrać formę w pełni przemyślaną. Pomocą w sformułowaniu tych hipotez było obfite korzystanie z innych źródeł. W tym roku ujrzało światło dzienne dzieło pod wymownym tytułem Tajemnica objawionego Bafometa, którego przeznaczeniem stał się największy rozgłos na tym polu badań. Autor porzucił swe wcześniejsze przekonanie, że starożytny termin hieroglificzny był u podstaw dziwnego imienia używanego dla określenia bożka templariuszy. Obecnie odwoływał się do teorii o wiele bardziej złożonej. Słowa tego nie wywodził już z języka egipskiego, lecz odczytywał jako wyraz złożony z dwóch greckich terminów, które połączone w jedno oznaczały "chrzest ducha". Zgodnie z tym wykazywał, że templariusze - za pośrednictwem heretyków z sekty katarów szerzącej się w owej epoce na południu Francji - odziedziczyli z przeszłości nauki starożytnej sekty ofitów. Członkowie tej sekty zawdzięczali swą nazwę temu, iż zarezerwowali szczególny kult dla węża (w języku greckim ophis), o którym mówi Biblia w Księdze Rodzaju. Dla nich Bóg Biblii nie był źródłem dobra, lecz zła, ponieważ przez małostkowość i zazdrość przymuszał człowieka do trwania w stanie niewiedzy. Dopiero wąż - nie wróg, lecz przyjaciel rodzaju ludzkiego - był tym, który objawił drogę prowadzącą do prawdy, czyli szlak wiodący do gnósis (w języku greckim "poznanie"), do boskiego poznania. Ta pierwotna religia, starsza od samego chrześcijaństwa, miała być ukryta w cieniu wraz ze swymi tajemnicami, ratując się na przestrzeni tysiącleci przed prześladowaniami zgotowanymi przez Kościół i rozmaite władze, które się na nim opierały. Jednym z największych oskarżeń, wysuniętym swego czasu przez króla Francji przeciw templariuszom, był zarzut, że zmuszali swych nowych członków do wyparcia się Jezusa i do spluwania w stronę krzyża. Fakt ten mógł mieć związek ze słowami teologa chrześcijańskiego Orygenesesa (ok. 185 - ok. 254) na temat ofitów, którzy nakładali na swych nowych członków obowiązek bluźnienia przeciw Jezusowi.

Niedługo po opublikowaniu teorii HammerPurgstalla zdarzyło się, że książę de Blacas, słynny kolekcjoner przedmiotów o charakterze ezoterycznym, znalazł jak za

dotknięciem czarodziejskiej różdżki dwie przedziwne szkatułki, przypisane epoce średniowiecznej, które przedstawiały pewien rodzaj kultu szatana. Wtedy to Bafomet został oficjalnie usankcjonowany i od tego momentu przybrał osławiony wygląd, którego w żaden sposób nie można było wydobyć ze źródeł templariuszy, w tej materii bardzo skąpych i całkowicie ze sobą sprzecznych. Wydawał on się czymś w rodzaju diabła z rogami i nogami kozła, piersiami kobiety i męskimi genitaliami. Przewrotny talent okultysty Eliphasa Leviego pod koniec XIX wieku wyłowił te błędne sugestie upodobań neogotyckich, znajdując w nich użyteczny materiał dla swych spekulacji, i wymyślił dla niewyraźnego Bafometa ten wygląd diabelski, pod którego postacią króluje groźnie jeszcze dzisiaj w tak wielu obrazach zrodzonych przez fantazję. Miłośnicy okultyzmu posiadają wolność wierzenia w to, co chcą, nie ma jednak wątpliwości, że w konfrontacji z dowodami historycznymi Bafomet jest jedynie szpetną kukielką, owocem fantazji epoki romantyzmu i przedmiotem wykorzystywanym często również dzisiaj, aby skutecznie oszukiwać prostych ludzi.

Prawdy o tajemniczym”bożku” czczonym przez templariuszy należy szukać zupełnie gdzie indziej.

Tajemnice dokumentów

Nawet jeśli jego książki brzmiały jak prawdziwe rewelacje, to jednak sam HammerPurgstall odkrył niewiele, a istota jego rozważań oparta była na ogłoszonych wcześniej tezach. Ideę, że templariusze byli ukrytymi kontynuatorami starożytnej mądrości religijnej, wywrotowej w stosunku do oficjalnego chrześcijaństwa, wysunął około dwudziestu lat wcześniej, choć w formie nie tak wyczerpującej, niemiecki wydawca Christian Friedrich Nicolai. Nicolai był właścicielem piwiarni w Berlinie, znanego miejsca spotkań ludzi kultury; pośród nich był także zaprzyjaźniony z właścicielem poeta Gotthold Ephraim Lessing, który prawdopodobnie był najslawniejszym przedstawicielem niemieckiego oświecenia.

W roku 1778 Lessing opublikował książkę, która miała się stać prawdziwą”sensacją”. Była ona fragmentem o wiele obszerniejszego tekstu napisanego przed laty przez mało znanego profesora języków orientalnych, który nadał swojemu dziełu prowokacyjny tytuł Apologia albo obrona racjonalnych czcicieli Boga. Lessing opublikował go pośmiertnie pod niebudzącym tylu emocji tytułem:

O celu Jezusa i jego uczniów. Inny fragment anonima z Wolfenbiittel. Według Reimarus Jezus nie miał w sobie nic z boskości, a Jego działalność była typowa dla mesjasza politycznego, patrioty, który pragnął wyzwolić Żydów spod panowania rzymskiego. Gdy umarł, Jego uczniowie nie chcieli pogodzić się z losem i w związku z tym podjęli decyzję wykradnięcia Jego ciała, aby następnie zmyślić nowinę, że zmartwychwstał, i założyć nową

religię. Samuel Reimarus był pierwszą osobą, która w chrześcijańskiej kulturze Zachodu oddzieliła Jezusa od Chrystusa, po tym jak przez wiele wieków te dwie rzeczywistości tworzyły jedną, nierozzerwalną całość. W tym momencie narodziła się jezusologia, czyli nowy kierunek poszukiwań dążący do rekonstrukcji prawdziwego oblicza historycznego Jezusa i wykraczający poza to wszystko, co - jak przypuszczano - wymyślił Kościół katolicki ze swymi dogmatami. Do tej pory istniała bowiem wyłącznie chrystologia, czyli badanie życia Jezusa w świetle Ewangelii i teologii. Zarówno Lessing, jak i Reimarus skłaniali się do tego rozumienia, które wówczas kryło się pod pojęciem "chrześcijaństwa racjonalnego", czyli światopoglądu bliskiego filozofii deistycznej. Do istoty tego światopoglądu należało zaprzeczenie boskości Chrystusa i przyjmowanie istnienia wyłącznie Boga Stwórcy, racjonalnej zasady absolutnego Dobra i początku wszystkich rzeczy.

W niektórych środowiskach radykalnych narastało przeświadczenie, że papieństwo i Kościół uparcie i nikczemnie taili przez tysiąclecia tę prawdę wyłącznie po to, aby nobilitować własne początki, wskazując na Boga jako ich bezpośrednie źródło, a silnie reakcyjna postawa pewnych środowisk katolickich, trwających uporczywie w absolutnym zamknięciu, wzmacniała w przeciwnikach przekonanie, że faktycznie mają oni dużo do ukrycia.

W 1810 roku Napoleon stał się panem większości Europy i zarządził, aby cała dokumentacja pokonanych królestw, włącznie z Państwem Kościelnym, została przeniesiona do Paryża dla włączenia jej w wielkie archiwum centralne cesarstwa. W ten sposób niezmierny ogrom dokumentów należących do papieży został zapakowany i ruszył w podróż do Francji. Z powodu rozwijającej się tradycji ezoterycznej przybyciu dokumentacji związanej z procesem przeciw templariuszom towarzyszyły wielkie oczekiwania, a nawet chorobliwa ciekawość. Uważano, że dokumenty te, pozostające przez wieki w zapomnieniu w potężnych murach Watykanu, z pewnością ujawnią bulwersujące wiadomości. Utrzymywano powszechnie i w dużej mierze nie bez racji, że archiwum papieskie było zawsze secretum, czyli zastrzeżone dla Kurii Rzymskiej, i że nikt obcy temu środowisku nie mógł nigdy zapoznać się z tymi dokumentami. W urzędnikach francuskich, oddelegowanych do przygotowania ekspedycji, ujawniło się pewne gorączkowe pragnienie: wydawało się oczywiste, że prawda o tej tak niejasnej i złożonej sprawie ujawni się wkrótce cała i nienaruszona przed oczami osoby, która jako pierwsza zapewni sobie dostęp do akt procesu. Osobisty szambelan prefekta Archiwum Watykańskiego, monsignore Marino Marini, musiał znieść niemało, ponieważ niektórzy generałowie francuscy domagali się otwarcia konkretnych skrzyń z dokumentami, jeszcze zanim konwój opuścił Rzym. I o ile pragmatyk

Mollis poszukiwał bulli ekskomuniki przeciw Napoleonowi, zamierzając osobiście usunąć niewygodną prawdę, to baron Etienne Radet zabrał się do poszukiwania gdzie indziej, usilnie pragnąc dostać w swe ręce akta procesu templariuszy.

Nawet po upadku Napoleona i restauracji monarchii, kiedy to archiwum papieskie mogło powrócić do ojczyzny, monsignore Marini musiał nadal prowadzić walkę o to, by pozostało nienaruszone, ponieważ nowy rząd zatrzymał przez nieuwagę pewne dokumenty, które miały bardzo duże znaczenie z historycznego punktu widzenia, a wśród nich były akta procesu Inkwizycji przeciw Galileuszowi oraz procesu przeciw zakonowi templariuszy. Odzyskał te dokumenty dzięki własnej przebiegłości. Marini wpadł na pomysł, aby uzmysłwić nowemu rządowi, że opisane w nich czyny Filipa Pięknego rzucają zdecydowanie złe światło na obraz monarchii francuskiej, którą obecny rząd zamierzał przywrócić, i dlatego w gruncie rzeczy będzie lepiej, aby powróciły do Archiwum Watykańskiego, które wówczas nie było dostępne dla ogółu¹⁵.

Księżę Richelieu uważał, że uwzględnienie protestów Stolicy Świętej i wzięcie pod uwagę przenikliwych racji uzmysłowionych mu przez kościelnego dostojnika będzie przejawem mądrości, choć towarzyszył temu żal, że akta procesu templariuszy opuszczają Paryż. Raynouard tymczasem zbadał je wnikliwie i, nawiasem mówiąc, nie znalazł tych wszystkich ukrytych prawd, na które czekała jego epoka. Ostatecznie dokumenty te powróciły w bezpieczne miejsce do zakamarków Watykanu, w których tajemnice Bafometa i wielu innych demonów miały pozostać ukryte prawdopodobnie przez wiele następnych stuleci. Tymczasem

10 grudnia 1879 roku w pustym rejestrze, przeznaczonym do odnotowywania próśb o konsultację w Tajnym Archiwum Watykańskim, został wpisany pierwszy taki wniosek. Od wieków różne osobistości otrzymywały w drodze przywileju pozwolenie na to, aby wejść do wielkiego pałacu, gdzie strzeżono dokumentów tysiącletniej historii papieży, ale dopiero teraz po raz pierwszy ofiarowano naukowcom do dyspozycji możliwość stałego i nieprzerwanego kontaktu z cennymi dokumentami. Od początku drugiej połowy XIX wieku badania historyczne uczyniły ogromne postępy, ponieważ powszechne myślenie - pod wpływem rodzącego się klimatu pozytywizmu - porzuciło upodobanie do pierwiastka irracjonalnego, który tak bardzo fascynował kulturę romantyzmu, i przyjęło w zamian o wiele bardziej realistyczne podejście do faktów. Olbrzymie postępy dokonały się na polu paleografii i dyplomatyki, czyli nauk, które uczą odpowiednio odcyfrować skomplikowane pisma przeszłości oraz rozróżnić dokumenty autentyczne od falsyfikatów. Rozpoczął się złoty okres w kulturze, który zaowocował publikacjami wielu źródeł średniowiecznych autorstwa

zawodowych historyków, a nie tylko osób prywatnych, prawdziwych erudytów, którzy prowadzili swe badania z czystego zamiłowania i czasem w sposób wręcz dyletancki. Powstało wiele cieszących się dużym prestiżem zbiorów, które zachowują swą wartość aż do dzisiaj, jak np. dla obszaru niemieckiego Monumenta Germaniae Historica - dzieło, które zawiera między innymi akty prawodawcze Karola Wielkiego i inne niezwykle ważne teksty Świętego Imperium Rzymskiego.

W latach 1841-1851 historyk francuski Jules Michelet - w równie miarodajnej i prestiżowej serii Collection des Documents inedits sur l'Histoire de France - opublikował zawartość starodawnego rejestru z okresu panowania Filipa Pięknego, który przechowywano wówczas w paryskiej Bibliotece Królewskiej, oraz wielu innych, podobnych dokumentów. Jak na owe czasy była to wspaniała edycja, która wreszcie proponowała naukowy obraz niektórych z najważniejszych dokumentów procesu przeciw templariuszom. Z edycji Micheleta korzysta się nadal, choć niewiele wie, że zasadniczy fragment, dokument długiego procesu prowadzonego w Paryżu w latach 1309-1312, pochodzi z kopii, którą król Francji zlecił sporządzić dla swej kancelarii, podczas gdy oryginał, swego czasu wysłany do papieża, znajduje się w Archiwum Watykańskim i wciąż nie został opublikowany

W dokumentach tych nie było wzmianek o Bafomecie, czarodziejskich szkatułkach gnostycznych i innych ukrytych tajemnicach, które ludzie wiązali z templariuszami; autorytet naukowy Micheleta oraz powaga założonej przez niego serii historycznej nie zaakceptowałyby zresztą obecności tego rodzaju fantazji. Nawet kultura masowa owego czasu dojrzała w sposób znaczący i tematy, które jeszcze dwadzieścia lat wcześniej były bardzo popularne, teraz nie interesowały prawdopodobnie nikogo. To wszystko zawdzięczano udoskonaleniu metody badań naukowych, które było rezultatem niełatwej decyzji papieża Leona XIII, aby otworzyć bramy Tajnego Archiwum.

Po niespodziewanej śmierci 1 czerwca 1879 roku Rosi Bernardiniego, prefekta Archiwum, wybór padł na kardynała Josefa Hergenrothera, naukowca, który w owej epoce był zaliczany do najważniejszych osobistości kultury niemieckiej. Kilkanaście lat później słynny historyk papieżstwa Ludwig von Pastor określił ten wybór jako jutrzenkę nowej epoki dla studiów nad katolicyzmem i nad historią cywilizacji zachodniej.

Od momentu udostępnienia archiwum dla ogółu historyk austriacki Konrad Schottmuller, rodak Josepha von HammerPurgstalla, pracował przy użyciu nowożytnej metody historycznej nad analizą i publikacją tych dokumentów, które wydawały mu się najważniejszymi aktami procesu przeciw templariuszom. Na początku XX wieku jego dzieło kontynuował Heinrich Finkę i całość ich pracy badawczej zaowocowała najbardziej

kompletną i wiarygodną edycją źródeł watykańskich na temat procesu, jaką dysponujemy do dzisiaj. Kompleksowa analiza przechowywanych w Watykanie dokumentów dotyczących procesu przeciw templariuszom z pewnością była wielkim rozczarowaniem dla wielu w chwili, gdy pierwsze edycje naukowe udostępniły opinii publicznej teksty zawarte w starych pergaminach, przechowywane kiedyś w forcie Zamku Świętego Anioła. W tekstach tych nie było śladu sensacyjnych "rewelacji", których wielu się spodziewało; w zamian ujrzały światło dzienne prawdy dotąd nieznanne, które wreszcie umożliwiały napisanie historii procesu na podstawie poważnych i nowożytnych kryteriów.

W 1978 roku historyk Malcolm Barber opublikował w cenionej serii wydawanej przez Cambridge University Press książkę zatytułowaną *Proces templariuszy*, która oznaczała początek nowego, płodnego okresu na tym polu studiów średniowiecznych. Po raz pierwszy - właśnie dzięki autentycznym dokumentom - pojawiła się możliwość zapoznania się z kolejnymi etapami całego procesu. Kilka lat później, w roku 1985, został wydany inny fundamentalny tekst pod redakcją Alaina Demugera, historyka z Sorbony, pod tytułem *Zycie i śmierć zakonu templariuszy*, który podejmował sugestie Barbera i rozwijał inne wątki za pomocą tej samej metody naukowej. Kiedy następnie w roku 1987 historyk Peter Partner publikował dla Oxford University Press pracę zatytułowaną *Zamordowani magowie: templariusze i ich mit*, naukowcy na całym świecie mieli przejrzysty obraz tego, w jaki sposób zrodziły się liczne legendy ezoteryczne o templariuszach, które przez ponad dwa wieki fascynowały i ożywiały dyskusje w wielu kręgach intelektualnych i politycznych. Czasem powodem ich powstania była sugestia kulturalna, a niektóre z nich powstały wręcz na serwetkach. Zapoznanie się z autentycznymi dokumentami nie zostawiało już miejsca na te zabarwione magią fantazje rycerskie, które pisarze przeszłości podtrzymywali, usiłując interpretować historię templariuszy w świetle szkatulek, napisów hieroglificznych albo tekstów o wątpliwej wiarygodności, powstałych przynajmniej trzysta lat po upadku zakonu.

Po opublikowaniu tych istotnych badań historycznych całościowe spojrzenie na dawny, sławetny zakon rycerski nie mogło już być takie samo. Obecnie ujawniono niewątpliwe dowody, że proces był olbrzymią i tragiczną intrygą, mającą na uwadze cel polityczny, wzmocniony silnymi względami ekonomicznymi oraz innymi kwestiami, które są jeszcze niejasne. W pewnym sensie jest to pogląd wyrażony jednoznacznie przez słynne osobistości tamtych czasów, pośród których - jak już wspomniano - znajduje się także Dante Alighieri, i które w taki czy inny sposób były świadkami wydarzeń związanych z procesem, zostawiając na ten temat świadectwo. W Boskiej Komедii, w Czyścęcu, poeta toskański

wkłada w usta króla Francji Hugona Kapeta jednoznaczną wypowiedź, że jego potomek Filip Piękny zniszczył templariuszy wyłącznie z zachłanności.

Konfratry chwalebne baussant

Założenie zakonu templariuszy sięga początków XII wieku. W latach następujących po pierwszej krucjacie rycerz francuski Hugon z Payns, pan posiadłości ziemskiej niedaleko miasta Troyes i wasal hrabiego Szampanii, zgromadził wokół siebie kilku towarzyszy w Jerozolimie, która dopiero niedawno wróciła do rąk chrześcijańskich. Wraz z nimi utworzył konfraternię złożoną z osób świeckich rycerskiego stanu, które żyły jako konwersi u Kanoników Regularnych Stróżów Świętego Grobu Jerozolimskiego. W 1119 roku banda rozbójników saraceńskich wymordowała orszak pielgrzymów chrześcijańskich udających się do miejsc świętych. Wydarzenie to odbiło się olbrzymim echem. Nawet w najdalej położonych krainach Europy Zachodniej społeczność chrześcijańska była wstrząśnięta losem tych zamordowanych z wyjątkowym okrucieństwem, bezbronnych pielgrzymów. Ważne osobistości Królestwa Jerozolimskiego wyrażały coraz większe zmartwienie z powodu problemu, który miał stać się piętą achillesową w historii Ziemi Świętej. Znajdujące się do dyspozycji oddziały wojskowe były absolutnie niewystarczające, aby zorganizować skuteczną obronę, w związku z czym ludność żyła pod nieustanną groźbą ataków. Być może w konsekwencji tej tragedii w roku 1120 Hugon z Payns i jego towarzysze złożyli przyrzeczenie przed patriarchą Jerozolimy, że będą walczyć zbrojnie w obronie pielgrzymów chrześcijańskich. Po tym, jak z własnej woli zrezygnowali z dobrobytu związanego z własnym stanem społecznym i przyjęli ubóstwo na znak nawrócenia, aby pokutować za swe grzechy, nawróceni rycerze zgromadzeni wokół Hugona z Payns przybrali nazwę "ubogich rycerzy Chrystusa", żyjąc z jałmużny otrzymywanej od ludności i nosząc zniszczone stroje, które także były owocem hojności innych.

Kilka lat później grupa powiększyła się do około trzydziestu osób. Z uwagi na fakt, że stali się zbyt liczni, aby nadal zamieszkiwać u Kanoników w Bazylice Grobu Świętego, a może i dlatego, że król Jerozolimy intuicyjnie przeczuł możliwości tkwiące w konfraterni i zdecydował się wziąć ją pod swoją opiekę, ubodzy rycerze Chrystusa przenieśli się do skrzydła pałacu, który władca uczynił siedzibą królewską. Budynek ten wznosił się w pobliżu ruin utożsamianych z pozostałościami starożytnej Świątyni Salomona. W związku z tym ludzie zaczęli ich nazywać "militia Salomonica Templi" albo także "milites Templi", a później powszechnie "Templarii".

Hugon z Payns i jego towarzysze złożyli na ręce patriarchy Jerozolimy trzy śluby zakonne: ubóstwa, posłuszeństwa i czystości. Nie otrzymując święceń kapłańskich, gdyż było

to nie do pogodzenia z aktywnością wojskową charakteryzującą ich misję, tworzyli oni rodzaj konfraterni na służbie Grobu Świętego i dostąpili w Kościele godności równej wielu mnichom, którzy nie byli księżmi, ale wiodli życie pokuty i modlitwy w klasztorach wielu zakonów. Prawdopodobnie to ich szczególne powołanie podsunęło królowi Jerozolimy Baldwinowi II kolejne posunięcie. Jeśli bowiem konfraternia stałaby się prawdziwym zakonem Kościoła rzymskiego, wraz ze wszystkimi zwolnieniami i przywilejami właściwymi dla tego rodzaju instytucji, uwolniłoby ją to od wszelkich możliwych instrumentalizacji. Stałaby się znaczącym zasobem sił służących do obrony Ziemi Świętej.

Przed projektem tym piętrzyły się jednak liczne trudności. W tysiącletniej historii chrześcijaństwa nie patrzono nigdy przychylnie na rzemiosło wojskowe, a niektórzy z dawnych Ojców Kościoła uważali wręcz zawód żołnierza za akt obrazy Boga. Dla rozwiązania tego dylematu wezwano na pomoc największego mistyka tego czasu, Bernarda, opata Clairvaux, który w opinii niektórych uczonych był związany z rodziną Hugona z Payns więzami pokrewieństwa. W liście skierowanym do niego król Jerozolimy prosił go o wsparcie dla narodzin nowego zakonu i znalezienie dla niego specjalnej reguły życia zakonnego, w której służba Bogu "nie byłaby sprzeczna ze szczękiem oręża wojennego".

W roku 1126 albo 1127 Hugon z Payns opuścił Bliski Wschód i dotarł do Europy, aby zaprezentować skuteczność swego projektu panom feudalnym i szukać nowych członków wspólnoty. W czasie tej podróży spotkał również słynnego opata, który wcześniej pozostawał głuchy na jego prośby. Być może właśnie wtedy, pod wpływem tego spotkania i osobistej rozmowy z przełożonym konfraterni o trudnościach, w jakich znajdowali się chrześcijanie w Jerozolimie, Bernard zmienił stosunek do propozycji monarchy. Uświadomił sobie, że można uważać aktywność wojskową tych braci - o ile ograniczy się ją tylko do obrony pielgrzymów i innych bezbronnych chrześcijan - za rzecz dobrą i równocześnie za bardzo pożyteczną dla królestwa Ziemi Świętej. Od tej chwili opat zaangażował się w założenie nowego zakonu z całą powagą swego autorytetu. Bernard wyraził swój wielki entuzjazm dla nowego projektu w traktacie zatytułowanym *De laude novae militiae*, w którym rycerz templariusz jest sławiony jako święty wojownik. W sprawę zaangażował także inne wielkie osobistości zakonne swego czasu, jak chociażby będącego w podeszłym wieku, poważanego Stefana Hardinga, który był autorem reguł ważnych fundacji zakonnych. Udało mu się także zapewnić sobie aprobatę papieską dzięki poparciu wywodzącego się z Burgundii Aymerica z La Chatre, przewodniczącego kancelarii papieskiej oraz prawej ręki papieża Honoriusza II. Dzięki jego cennemu wstawiennictwu w styczniu 1129 roku, podczas synodu ekumenicznego sprawowanego w Troyens, legat papieski Mateusz z Remois, kardynał biskup Albano, udzielił

zatwierdzenia papieskiego nowemu zakonowi "milites Templi" i w imieniu papieża zaaprobował ich regułę zakonną. Niedawno wydana książka historyczki Simonetty Cerrini przybliżyła w sposób przejrzysty prawdziwego ducha reguły templariuszy oraz ujawnia kontekst jej zatwierdzenia.

Członkowie konfraterni Świątyni żyli we wspólnocie, oddzieleni od świata, dzieląc swój czas między modlitwę a służbę wojskową, której celem była obrona ludności chrześcijańskiej. Ich organizacja przewidywała dwa podstawowe stopnie hierarchii: milites, posiadający godność rycerską, którzy nosili śnieżnobiałe stroje na znak czystości i doskonałości, oraz bracia służebni (servientes), którzy musieli zadowolić się strojami w kolorach ciemnych i zasadniczo wykonywali w zakonie różnorakie prace służebne. Sympatia ludu oraz poparcie ze strony rządzących sprawiły, że zakon stał się potężną instytucją. Z czasem potęga ta rosła dzięki specjalnym przywilejom: w roku 1139 papież Innocenty II, uczeń świętego Bernarda, w bulli *Omne datum optimum* udzielił templariuszom przywileju, który kładł podwaliny pod niezależność zakonu od wszelkiej władzy świeckiej i kościelnej, i w konsekwencji, wzmocniony przez kolejne nadania, uczynił z niego instytucję całkowicie niezależną, podległą tylko osobie papieża.

W 1147 roku papież Eugeniusz III zarządził, aby strój templariuszy był ozdobiony czerwonym krzyżem. Ten charakterystyczny znak miał upamiętniać krew, jaką bracia wylewali w obronie wiary (ilustr. 3). Krótko mówiąc, w odniesieniu do nowego zakonu przyjęto zasadę *ora et labora*, regulującą życie wszystkich klasztorów benedyktyńskich, tyle że w tym przypadku pracą fizyczną wykonywaną przez braci Świątyni była prowadzona przez nich działalność wojskowa. Zaledwie trzydzieści lat po założeniu zakon doświadczył takiego wzrostu, że nieodzowny okazał się podział jego struktur na różne prowincje i rozwój ten trwał przez cały XII wiek. Kilka lat przed rokiem 1200 Świątynia była obecna w całym basenie Morza Śródziemnego, od Europy Północnej do Sycylii i od Anglii do Armenii, dysponując setkami dóbr, wśród których były twierdze, komandorie i dobra ziemskie różnego typu. Prowincje były podporządkowane władzy nadintendenta generalnego, zwanego wizytatorem, który miał za zadanie wizytować różne regiony świata templariuszy, aby następnie przekazać relację na ten temat Wielkiemu Mistrzowi i Kapitułce Generalnej zakonu, zbierającej się raz do roku. Pod koniec XIII wieku było nawet dwóch wizytatorów, jeden dla terytoriów wschodnich i drugi dla zachodnich. Podziwiani dzięki reputacji bohaterów wiary, darzeni zawiścią ze względu na bogactwa i przywileje, które przypadły w udziale zakonowi, templariusze posiadali także dar, który był niezwykle ceniony w ówczesnym społeczeństwie. Ich dostojnicy byli uważani za wiarygodnych ekspertów w dziedzinie rozpoznawania

autentyczności relikwii, których olbrzymią kolekcję posiadał zakon. Uzasadnione jest pytanie, na jakiej podstawie ludzie ich epoki doszli do tego przekonania, czyli w jaki sposób templariusze potrafili rozróżnić autentyczność tych przedmiotów. Z pewnością wielką pomocą była dla nich głęboka znajomość świata Bliskiego Wschodu, gdzie zakon powstał; w oparciu o kilka źródeł wydaje się jednak, że kapłani zakonni posługiwali się relikwiami Jezusa, aby ich święta siła wzmacniała oddziaływanie modlitwy wypowiedzianej podczas egzorcyzmów.

Wojownicy Świątyni byli formowani w żelaznej dyscyplinie wojskowej, która w momencie walki czyniła z nich zwarty oddział o dużych zdolnościach koordynacji. Z walorami natury wojskowej łączyło się wielkie zrozumienie dla znaczenia ciała, które normy zakonne starały się faworyzować na wszelkie sposoby, oraz niezwykle surowy kodeks honorowy, który nie tolerował odstępstw. Ich sztandarem była sławna chorągiew zwana baussant, z uwagi na to, że była podzielona na dwie części, białą i czarną, która była symbolem dumy i doskonałości Świątyni. Razem z bojownikami innego wielkiego zakonu rycerskiego, szpitalników, templariusze tworzyli zasadniczą część wojska chrześcijan w Ziemi Świętej. Między dwoma zakonami istniała jednak istotna różnica. O ile Świątynia powstała jako instytucja kościelna przeznaczona wyłącznie do ochrony wojskowej Ziemi Świętej, to Zakon Szpitala św. Jana w Jerozolimie powstał jak bractwo, którego zasadniczym celem była opieka nad chorymi pielgrzymami. Dopiero w późniejszym okresie dokonała się jego transformacja w zakon o charakterze także wojskowym, dla wsparcia obrony królestwa chrześcijan.

Utrata Grobu Świętego i honoru

W roku 1187 sułtan Egiptu Saladyn, któremu udało się utworzyć koalicję islamską przeciw państwu krzyżowców, zadał wojsku chrześcijańskiemu tragiczną w skutkach klęskę w pobliżu miejsca zwanego Rogami Hattinu. Zwycięzcy urządzili rzeź wziętych do niewoli templariuszy i szpitalników; wiele fortec wpadło w ręce muzułmanów, utracono Jerozolimę, a Grób Święty nigdy już nie powrócił do chrześcijan, z wyjątkiem krótkiego okresu za panowania cesarza Fryderyka II, który zawarł z sułtanem al - Kamilem specjalny układ, dla wielu zdradziecki. Utrata Jerozolimy wyrządziła olbrzymią szkodę Świątyni, która powstała jednoznacznie w celu obrony Ziemi Świętej. Historycy wykazali wielokrotnie ogromne straty poniesione przez zakon w sferze materialnej. Wiele należałoby jednak jeszcze powiedzieć na temat niszczącego wpływu, jakie to wydarzenie miało na ten wymiar, który dzisiaj określilibyśmy jako "morale oddziały". Templariusze byli bardzo ściśle związani z grobem Chrystusa i właśnie w tym miejscu, w najwyższym stopniu świętym - idealnym i materialnym

centrum chrześcijaństwa - została powołana do życia pierwsza konfraternia Hugona z Payns. Utrata Grobu Świętego oznaczała utratę honoru.

Na początku XIII wieku zrodził się wielki ruch zbiorowy na rzecz ponownego rozpalenia idei krucjaty oraz odzyskania Świętego Miasta. Papież Innocenty III, który był bardzo czuły na ten problem, starał się pomóc na różne sposoby zakonom rycerskim rzuconym na kolana po zwycięstwie Saladyna. W latach 1202-1204 zorganizowano nową wyprawę na Bliski Wschód pod przewodnictwem Wenecji i niektórych wielkich możnowładców francuskich. Po dotarciu do Konstantynopola wojsko chrześcijańskie wykorzystało jednak fakt, że imperium bizantyjskie przeżywało fazę bardzo poważnej dekadencji politycznej, a olbrzymie bogactwa miasta rozbudziły u uczestników krucjaty żądę zdobycia go. Pomimo ekskomuniki Innocentego III wyprawa, która powinna być czwartą krucjatą w celu odzyskania Grobu Świętego, przerodziła się w straszną rzeź, a jej ofiarą padli ci, którzy także nosili miano chrześcijan, choć należeli do Kościoła odłączonego od jedności z Rzymem w rezultacie schizmy z 1054 roku. Wenecjanie, którzy w znaczącym stopniu spowodowali zmianę kierunku wyprawy z Jerozolimy ku bogactwom Bizancjum, podzielili się z Francuzami łupem zagrabionym w mieście, a był to niemożliwy do oszacowania skarb szlachetnych metali, dzieł sztuki oraz jedynych w swym rodzaju na świecie relikwii. Terytoria dawnego imperium bizantyjskiego rozdzielono także między zwycięzców i w konsekwencji powstało nowe państwo na Bliskim Wschodzie zwane Cesarstwem Łacińskim (1204-1261). Wydarzenie to rzuciło głęboki cień na samą ideę krucjaty jako takiej. Widać było jak na dłoni, że pewne idee nie chwytały już za serce ludzi tamtej epoki; interesy natury ekonomicznej i politycznej były już ważniejsze od wszystkiego. Od tego momentu społeczność chrześcijańska zaczęła wątpić w to, że kiedykolwiek będzie jeszcze możliwe odzyskanie Grobu Świętego.

W XIII wieku rekonkwista islamska w Ziemi Świętej postępowała naprzód bez chwili wytchnienia i zakony rycerskie musiały się pogodzić z nieustannymi porażkami. Zakon Świętyni musiał stopniowo dostosować się do nowego stanu rzeczy, wprowadzając zmiany w istotę swego funkcjonowania. W sytuacji, gdy skoncentrowanie służby wyłącznie na działalności wojskowej nie było już możliwe, ponieważ front islamski okazał się zbyt silny, można było zwiększyć aktywność finansową, gromadząc fundusze, którymi pewnego dnia, gdy będzie to znów realne, będzie się można posłużyć, aby ponownie odzyskać Jerozolimę. Tym samym Świętynia stanie się rodzajem banku na służbie krucjaty. Papieże posługiwali się nią, aby przechować i zainwestować pieniądze pochodzące z datków zebranych na rzecz

Ziemi Świętej, a zakon, cieszący się znakomitą opinią uczciwego, był wykorzystywany jako skarbiec także przez władców chrześcijańskich.

W latach 1260-1270 sułtan Bajbars ograniczył królestwo chrześcijańskie do niewielkiego skrawka na wybrzeżu, którego centrum znajdowało się w Syrii, w mieście Akka. Społeczność zachodnią nurtowały coraz większe wątpliwości co do użyteczności zakonów rycerskich. W wielu środowiskach rodziło się pytanie o sensowność podtrzymywania przy życiu tych pełnych przywilejów gigantów, którzy zaliczali jedną porażkę po drugiej i nie byli w stanie odzyskać miejsc świętych. W roku 1291 doszło także do zdobycia Akki, pomimo rozpaczliwego oporu, podczas którego templariusze dali dowód bohaterstwa, a Wielki Mistrz Wilhelm z Beaujeu poniósł śmierć na polu walki, aby umożliwić ucieczkę innym. Tym samym utracono także ostatni bastion w Ziemi Świętej. Epoka krucjat dobiegła końca, ponosząc klęskę. Wydarzenie to w sposób nieunikniony miało niezwykle poważne następstwa przede wszystkim dla zakonów rycerskich, które zostały zmuszone do szukania nowej siedziby na Bliskim Wschodzie. Templariusze i szpitalnicy osiedlili się na Cyprze, natomiast krzyżacy, członkowie zakonu założonego pod koniec XII wieku, zmienili cel swej działalności, koncentrując się na podboju Europy Wschodniej.

Upadek Akki przekonał papieża Mikołaja IV do tego, że jest nieodzowne, aby doprowadzić do połączenia templariuszy i szpitalników w jeden nowy zakon, większy i silniejszy, który wreszcie będzie w stanie odzyskać Ziemię Świętą. Był to projekt, o którym mówiło się już podczas soboru w Lyonie w 1274 roku; w owym czasie rozważano także możliwość powierzenia kierownictwa nowego zakonu jednemu z władców chrześcijańskich, najlepiej wdowcowi albo kawalerowi, aby respektować naturę zakonną tych instytucji kościelnych. Inicjatywa ta nie doszła nigdy do skutku, ponieważ Wielcy Mistrzowie zakonów templariuszy i szpitalników zdecydowanie sprzeciwili się temu pomysłowi. W roku 1305 nowy papież Klemens V zainteresował się osobiście projektem integracji i w związku z tym poprosił przełożonych obu zakonów o wypowiedzenie się odnośnie do tej kwestii, a także o ujawnienie planu nowej krucjaty. Wielki Mistrz templariuszy Jakub z Molay był tej idei absolutnie przeciwny. Jego sposób argumentacji był następujący: jeśli dwa zakony stałyby się jednym ciałem, które w przyszłości trafiłoby w ręce jednego władcy chrześcijańskiego, wtedy ta monarchia wykorzystałaby go dla swych celów politycznych, zapominając o Jerozolimie i o Ziemi Świętej.

W sprawie organizacji nowej krucjaty przełożony templariuszy tłumaczył papieżowi, że nie należy powierzać władzy wojskowej w ręce Filipa Pięknego, lecz raczej złożyć ją w ręce Jakuba II, króla Aragonii. Władca z Półwyspu Iberyjskiego mógłby być o wiele bardziej

pomocny dzięki swej znacznej flocie, a ponadto - co nie było z pewnością bez znaczenia - wiadomo było, że jest człowiekiem okazującym szacunek władzy apostolskiej i w tym punkcie był tego samego ducha co templariusze, którzy uważali papieża za władcę i pana ich zakonu. W przeciwieństwie do niego Filip Piękny głosił publicznie, że jest władcą całkowicie niezależnym wobec władzy papieskiej. Zaledwie kilka lat wcześniej, w latach 1294-1303, król Francji wszedł w otwarty konflikt z papieżem Bonifacym VIII i został przez niego ekskomunikowany. Zamach w Anagni, którego celem było aresztowanie papieża i deportowanie go poza Alpy, uniemożliwił rozpowszechnienie bulli z ekskomuniką, ale pozycja króla i tak była bardzo skompromitowana. Był jeszcze jeden aspekt, o którym nie powinno się zapomnieć: ukrytym zamiarem Filipa Pięknego było, aby oddziały krzyżowców przeszły przez terytorium Armenii, podbijając to królestwo - chrześcijańskie, choć niekatolickie - i czyniąc z niego kolonię Francji. Świątynia miała jedną ze swych prowincji w Armenii i miejscowi władcy poinformowali templariuszy, że nigdy nie wyrażą zgody na wkroczenie rycerstwa francuskiego do ich twierdz, ponieważ obawiają się, iż zostaną zdradziecko zaatakowani. Memoriał napisany przez Jakuba z Molay odsłaniał prawdziwe zamiary monarchii francuskiej wobec przyszłej krucjaty i niewątpliwie uniemożliwił realizację planów Filipa Pięknego. Władca i jego doradcy z pewnością widzieli w zakonie templariuszy poważną przeszkodę do wcielenia w życie ich zamiarów na płaszczyźnie polityki międzynarodowej. W tym samym 1306 roku Filip Piękny musiał stawić czoła rozruchom chłopskim spowodowanym zarządzonymi przez niego operacjami finansowymi, które doprowadziły do powstania straszliwej inflacji w królestwie. Monarcha potrzebował pilnie pieniędzy, aby zlikwidować zagrożenie, a w wieży Świątyni w Paryżu (potężna twierdza o imponującym wyglądzie) przechowywano ogromne aktywa płynne. To właśnie wtedy zapadła decyzja o ataku na zakon templariuszy³³.

Na początku roku 1307 Jakub z Molay opuścił Cypr i dotarł do Europy, aby spotkać się z Klemensem V. W tym samym czasie przełożony zakonu szpitalników odłożył wyjazd, ponieważ zmuszały go do tego pewne działania wojskowe wymagające zaangażowania jego zakonu. Wielki Mistrz Świątyni miał już nigdy nie powrócić na Bliski Wschód; kilka miesięcy później rozpoczął się długi proces, którego napawający smutkiem przebieg, jakże znany, musimy teraz pokrótce przedstawić, uwydatniając kilka jego zasadniczych faz.

Okryci kirem hańby

O świcie 13 października 1307 roku żołnierze króla Francji wkroczyli zbrojnie do wszystkich komandorii Świątyni w królestwie, aresztując przebywających w nich braci. Błyskawicznie poddano ich przesłuchaniu, zdobyto określone zeznania za pomocą tortur i

zredagowano je w formie urzędowej, aby następnie wysłać je do papieża jako dowody. Żołnierze postępowali zgodnie z nakazem aresztowania, który Filip Piękny promulgował, a następnie rozpowszechnił potajemnie miesiąc wcześniej, 14 września. Władca oznajmiał, że działa po zapoznaniu się z opinią papieża i na wyraźną prośbę Inkwizycji francuskiej, ponieważ w stosunku do templariuszy pojawiło się mocne podejrzenie o herezję. Powiadał:

Ci, którzy zostają przyjęci, proszą najpierw o chleb i wodę zakonu; następnie preceptor albo mistrz, który ich przyjmuje, prowadzi ich potajemnie na tył ołtarza lub do zakrystii. Wtedy, ciągle w tajemnicy, pokazuje krzyż i postać Pana Naszego Jezusa Chrystusa i nakazuje im trzy razy zaprzeczyć się proroka, to znaczy Pana Naszego, którego postać widzi, a następnie trzy razy splunąć na krzyż. Następnie każe im się rozdziać z szat, a ten, który ich przyjmuje, całuje ich u dołu kręgosłupa, poniżej pasa, potem w pępek i wreszcie w usta, i mówi im, że jeśli któryś z braci zakonnych pragnie obcować z nimi cieleśnie, to nie wolno im odmówić, ponieważ są do tego zobowiązani na podstawie statutu zakonu, i że dlatego wielu z nich obcuje ze sobą cieleśnie na sposób sodomitów. A każdy z nich jest opasany pod koszulą sznurkiem, który musi nosić przy sobie, jak długo żyć będzie; i mówi się, że owe sznurki zostały umieszczone i zawiązane wokół szyi bożka, mającego kształt głowy człowieka z długą brodą, i że głowę tę całują i oddają jej cześć podczas ich kapituł prowincjalnych. O tym jednak nie wszyscy bracia wiedzą, tylko Wielki Mistrz i najstarsi. Ponadto księża w ich zakonie nie konsekrują Ciała Naszego Pana; w sprawie tej zostanie przeprowadzone specjalne śledztwo, gdy zostaną poddani przesłuchaniu księża zakonni.

Z niewiarygodną dla tych czasów szybkością - owoc precyzyjnej strategii przygotowanej od lat - urzędnicy Filipa Pięknego zgromadzili setki zeznań w całym królestwie, które zostały przedstawione Klemensowi V jako niewątpliwe dowody herezji, zanim Kuria Rzymska miała czas, aby zareagować. Prawnicy królewscy pragnęli w ten sposób związać ręce papieżowi, zostawiając mu niewiele miejsca do działania. Natychmiast po aresztowaniu Wilhelm z Nogaret, doradca królewski, który został wysłany do Anagni, aby aresztować Bonifacego VIII, zorganizował publiczne zgromadzenia, w czasie których winę templariuszy przedstawiano jako coś pewnego. Nakazano braciom franciszkańskim i dominikańskim, aby głosili ludowi kazania na temat herezji templariuszy, aby w ten sposób wzbudzić wśród zwykłych ludzi przekonanie o ich winie.

Przesłuchania były kontynuowane w całej Francji w błyskawicznym tempie aż do początku następnego roku. W krótkim czasie lista oskarżeń sporządzona przez prawników królewskich rozrosła się niesamowicie i do zarzutów podanych w dossier z października 1307 roku dołączono wiele nowych oskarżeń, będących rezultatem zebranych stopniowo zeznań,

które uzyskano pod wpływem nacisków i tortur. Było to tragiczne w skutkach crescendo, podsycane obficie przez fantazję ludu, narastające z biegiem procesu niczym wezbrana rzeka, która płynąc w kierunku morza, gromadzi w swych wodach każdy rodzaj odpadków pojawiających się wzdłuż jej biegu. Obok zarzutu zaparcia się Chrystusa i znieważenia krzyża, przewinienia podane na wstępie do wiadomości przez króla francuskiego powiększyły się o wiele innych zarzutów, co sprawiło, że liczba oskarżeń przeciw templariuszom wzrosła z siedmiu do ponad siedemdziesięciu.

Po okresie całkowitej konsternacji w pierwszych tygodniach po aresztowaniu Klemens V zaczął podejrzewać, że król działał we wszystkim w złej wierze. To podejrzenie stało się pewnością po tym, jak pod koniec listopada 1307 roku dwóch kardynałów, wysłanych do Paryża dla przesłuchania templariuszy uwięzionych na rozkaz króla, powróciło do Kurii, przekazując papieżowi, że nie pozwolono im nawet zobaczyć więźniów. W grudniu miało miejsce drugie poselstwo do Paryża, w skład którego wchodził ci sami dostojnicy kościoła, którzy jednak tym razem otrzymali uprawnienie do ekskomunikowania Filipa Pięknego, jeśli ponownie uniemożliwi im spotkanie z więźniami. Dzięki temu Jakub z Molay mógł ujawnić wszystkie przejawy przemocy i nieprawidłowości, których doświadczył. W lutym roku następnego papież zawiesił działalność całej Inkwizycji francuskiej z powodu poważnych nieprawidłowości i nadużycia władzy. W związku z tym proces znalazł się w sytuacji patowej. Przez całą wiosnę 1308 roku trwała intensywna wojna dyplomatyczna między królem, który skonfiskował już dobra templariuszy i pragnął uzyskać wyrok skazujący, a papieżem, który nie chciał podjąć jakiegokolwiek decyzji, zanim nie otrzyma możliwości osobistego przesłuchania więźniów. Wobec uporu Klemensa V król pojął, że nie ma wyboru. W związku z tym zezwolił, aby niewielka grupa templariuszy, pośród których był także Wielki Mistrz i inni ważni dygnitarze zakonnicy, opuściła pod eskortą Paryż celem udania się do Kurii Rzymskiej, która mieściła się wówczas w Poitiers, i poddania się przesłuchaniu przez papieża. Między 28 czerwca a 2 lipca 1308 roku Klemens V mógł wreszcie przeprowadzić swoje dochodzenie w sprawie templariuszy. Choć papież był jedyną osobą na świecie, która miała prawo wszcząć śledztwo dotyczące tego zakonu, paradoksalnie dopiero teraz po raz pierwszy mógł zobaczyć osobiście oskarżonych, po tym jak ich wymuszone torturami zeznania od miesięcy krążyły po całej Europie. Dowody zostały już całkowicie wypaczone, a honor zakonu - zmiażdżony i okryty rozległym kirem hańby.

W wyniku przeprowadzonego przez siebie śledztwa Klemens V przekonał się, że królewscy urzędnicy nagminnie stosowali tortury, by wymusić na templariuszach przyznanie się do stawianych im zarzutów. Ponadto papież odkrył, że - pomijając oszczerstwa będące

dziełem prawników króla Francji - templariusze przyznawali, iż istniała pewna tradycja, pewien zwyczaj przekazywany w ścisłej tajemnicy, który zobowiązywał nowego członka zakonu do zaparcia się Chrystusa i do popełnienia czynu znieważającego krzyż (z reguły było to splunięcie). Bracia zakonni tłumaczyli to postępowanie, mówiąc: *modus est ordinis nostri* („jest to zwyczaj naszego zakonu”). Istnienie tego tajemnego obrzędu, rodzaju próby posłuszeństwa wymaganej na końcu ceremonii wstąpienia do zakonu, przesuwało jednak odpowiedzialność na instytucję zakonu templariuszy. Było oczywiste, że nie można było obarczać winą poszczególnych braci, jeżeli zostali zmuszeni do dokonania tych niegodziwych gestów przez swych przełożonych, którzy wymagali od nich przestrzegania tradycji zakonu. Saraceni mieli zwyczaj torturowania więźniów chrześcijańskich, aby zmusić ich do wyrzeczenia się chrześcijaństwa, a namacalnym dowodem odstępstwa miało być splunięcie na krzyż. Dziwny rytuał templariuszy powtarzał ten zwyczaj w ramach bardzo realistycznej inscenizacji, podczas której pojawiały się także groźby, uderzenia, a nawet odizolowanie w ciężkim więzieniu. Jego celem było zahartowanie charakteru nowego członka zakonu za pomocą traumatycznego doświadczenia, tak by zrozumiał, jaki los go czeka, jeśli wpadnie w ręce wrogów. Prawdopodobnie zwyczaj ten miał go także nauczyć absolutnego posłuszeństwa, którego wymagał zakon, wyrzeczenia się własnej wolności, aby zawierzyć siebie decyzji przełożonych, podporządkowując się im całkowicie.

Do zaparcia się Chrystusa, wyrażonego przez splunięcie w kierunku krzyża, dołączono z czasem pewne obce temu rytuałowi czynności, które dzisiaj moglibyśmy wspólnie sklasyfikować jako przejawy fali w wojsku. Były to mocne i upokarzające żarty, które weterani robili nowo przybyłym: pośród nich były trzy pocałunki (w usta, w pępek i w pośladki) oraz zalecenie, aby nie odmawiać braciom szukającym stosunku homoseksualnego; zaproszenie do stosunków homoseksualnych było zwykłym, słownym upokorzeniem, które nie miało odbicia w rzeczywistości. Jedynie sześciu spośród ponad tysiąca templariuszy zeznających podczas procesu mówiło w praktyce o stosunkach homoseksualnych ze współbraćmi zakonnymi.

Proces bez wyroku

Przed obliczem papieża templariusze mieli możliwość wyjaśnienia, że gesty przewidziane w ceremonii wstąpienia do zakonu były zwykłą inscenizacją, której nie odpowiadało rzeczywiste przekonanie wewnętrzne. Cały obrzęd był wyłącznie pewnego rodzaju próbą, bardzo nieprzyjemnym dokuczaniem, któremu należało się podporządkować, ponieważ tego oczekiwał zakon.

Dokonywanie aktu wyparcia się pod wpływem przymusu wykluczało wolność osobistą, a w związku z tym nie można było mówić o prawdziwej winie, jeśli znieważenie religii nie nastąpiło w sposób dobrowolny. Klemens V przekonał się, że templariusze nie byli heretykami, choć sam zakon nie pozostawał bez winy, ponieważ tolerował istnienie prostackiej i agresywnej tradycji wojskowej, która była całkowicie niegodna dla ludzi, którzy złożyli śluby zakonne. Ostatecznie papieski osąd był surowy, lecz nie był to wyrok potępienia. Głosił on, że templariusze nie są heretykami, ale ich postępowanie nie jest bez skazy, w związku z tym papież nakazał im odbycie uroczystej pokuty i przebłaganie Kościoła za ich winy, jako warunek otrzymania rozgrzeszenia i przywrócenia do wspólnoty Kościoła katolickiego. Między

2 i 10 lipca 1308 roku papież uczynił wszystko, aby wysłuchać tych próśb o przebaczenie i rozgrzeszyć templariuszy stających przed nim jako penitenci. W postępowaniu papieskim brakowało jednak najważniejszego elementu: Wielki Mistrz i inni dostojnicy zakonnicy, którzy wyruszyli z Paryża z całą grupą, zostali zatrzymani przez żołnierzy królewskich w niewielkiej twierdzy Chinon nad brzegami Loary, pod pozorem że są zbyt chorzy, aby podróżować konno aż do Poitiers. Klemens V pojął szybko, że władca francuski zamierza pomniejszyć znaczenie przesłuchania papieskiego. Jeżeli bowiem papież nie miałby możliwości wysłuchania przełożonych Świątyni, czyli tych, którzy znali całą prawdę, to zawsze można było powiedzieć, że jego osąd nie był kompletny i wiążący, ponieważ opierał się na zeznaniach świadków niewiele znaczących w strukturze zakonu. Po zakończeniu przesłuchania tych templariuszy, którzy dotarli przed jego oblicze, Klemens V wysłał do zamku w Chinon w tajemnicy trzech kardynałów, którzy w dniach od 17 do 20 sierpnia 1308 roku wysłuchali przełożonych Świątyni, odebrali od nich prośbę o przebaczenie i udzielili im rozgrzeszenia w imię papieża. Nie był to akt, który dzisiaj nazywamy uniewinnieniem, lecz rozgrzeszenie sakramentalne, które jednak miało także pewien wymiar prawny: powodem, dla którego templariusze zostali postawieni w stan oskarżenia, było przestępstwo przeciw religii.

Papież, zaatakowany w swych prawach poprzez nielegalne aresztowanie templariuszy, a następnie wprowadzony w błąd przez podstęp króla, który chciał uniemożliwić mu spotkanie się z przełożonymi zakonu, mógł uważać, że przesłuchanie w Chinon było jego wielkim, moralnym zwycięstwem. Niestety to jedyny sukces, jaki był w stanie osiągnąć, biorąc pod uwagę wyjątkową słabość jego pozycji politycznej. Jeszcze w październiku tego samego roku, krótko po tym jak wydarzenie w Chinon stało się powszechnie znane, stratedzy Filipa Pięknego wprowadzili w życie przygotowaną od dawna kolejną operację, która bezpośrednio atakowała Kościół rzymski. Biskup Troyes Guichard, który już wcześniej

popadł w niełaskę na dworze francuskim, a następnie został wciągnięty w skandal o charakterze finansowym, został oskarżony o czary i na rozkaz króla skazany na spalenie na stosie (choć ostatecznie do tego nie doszło), pomimo że sam Klemens V uniewinnił go wcześniej od tych oskarżeń. Wydarzenie to było powtórzeniem przebiegu procesu, który odbył się zaledwie kilka lat wcześniej wobec biskupa Pamiers Bernarda Saisseta, prześladowanego przez Filipa Pięknego, a następnie skazanego za obrazę majestatu, niezależnie od woli papieża.

Wszystko to pozostawało w związku z procesem przeciw Bonifacemu VIII oraz z procesem przeciw templariuszom i było wyrazem planu mającego na celu destabilizację. Oto biskup, papież i cały zakon zostali postawieni w stan oskarżenia na skutek ciężkich przestępstw jak herezja i czary, a wszystko to oznaczało, że Kościół rzymski uległ zepsuciu w każdej części swego ciała. Prawnicy Filipa Pięknego planowali ekshumację doczesnych szczątków Bonifacego VIII, by wytoczyć mu publiczny proces, na mocy którego ciało papieża, skazanego za herezję, bluźnierstwa i czary, zostałoby spalone na stosie. Spalenie na stosie zmarłego papieża pozostawiłoby cały Kościół w trudnej sytuacji, gdyż oznaczałoby, iż wszyscy papieże - od Bonifacego VIII począwszy - kierowali nim nielegalnie. Zakwestionowany zostałby cały pontyfikat Bonifacego VIII, a w konsekwencji za nieważne należałoby uznać wszystko, co nastąpiło po abdykacji Celestyna V, włącznie z samą elekcją Klemensa V. W sytuacji, gdy kolegium kardynalskie było podzielone, a znaczna część biskupów francuskich pozostawała wierna Filipowi Pięknemu, król groził schizmą, która oznaczałaby oddzielenie się Kościoła francuskiego od Kościoła Rzymu. Klemens V stanął przed straszliwym dylematem: musiał wybrać, czy potępić zakon templariuszy, jak życzył sobie tego król, czy też ocalić go, a w związku z tym stawić czoło skazaniu na stos Bonifacego VIII oraz schizmie Kościoła francuskiego z wszystkimi jej zgubnymi konsekwencjami.

Papież wybrał ochronę całości instytucji, za którą był odpowiedzialny, poświęcając jedną część, aby zachować wszystko. Zakon templariuszy w praktyce zaznał już zniszczenia, fala skandali i oszczerstw przygniotła go ku ziemi. Wielu braci zakonnych umarło w więzieniach królewskich, wielu z nich straciło na zawsze motywację do dalszego życia zakonnego. W latach 1311-1312 obradował w Vienne sobór ekumeniczny, który między innymi miał podjąć decyzję co do dalszego losu zakonu templariuszy. Papież nie ukrywał, że osąd w tej materii był co najmniej dyskusyjny, a znaczna część ojców soborowych sprzeciwiała się potępieniu zakonu. Po długiej refleksji papieżowi wydawało się, że jedynym sposobem wyjścia z impasu, który mógłby zażegnać nieodwracalne skandale i jednocześnie

służyć interesowi krucjaty, było uniknięcie wydania wyroku (*difinitiva sententia*) i wybór rozporządzenia administracyjnego (*promio*), czyli aktu władzy podyktowanego racjami natury praktycznej.

Jako wielki znawca prawa kanonicznego papież szukał sposobu, aby nie potępić zakonu templariuszy, o którego niewinności był przekonany, przynajmniej w kwestii najcięższych oskarżeń. W bulli *Vox in excelso* papież oświadczył, że zakon nie mógł zostać skazany za herezję, dlatego też zostaje "zamknięty" na mocy rozporządzenia administracyjnego i bez wydania wyroku, aby uniknąć wielkiego niebezpieczeństwa dla Kościoła. Dobra templariuszy zostały przekazane innemu wielkiemu zakonowi rycerskiemu szpitalników. W ten sposób znalazły one schronienie przed chciwością Korony francuskiej i mogły jeszcze służyć dla odzyskania Grobu Świętego i Jerozolimy, czyli w celu, dla którego tak wiele osób w przeszłości ofiarowało swe dobra na rzecz Świątyni. Filip Piękny niechętnie przyjął tę decyzję; ostatecznie szpitalnikom przypadła jednak istotna część tego, co było wcześniej majątkiem Świątyni.

Koniec zakonu templariuszy nie był czymś sprawiedliwym, z perspektywy historii jawił się jednak jako działanie stosowne.

Istotną rzeczą było uspokojenie sytuacji po skandalu, jaki wzbudził proces, i rozproszenie wątpliwości, które zasiały zeznania templariuszy. Na skutek tego skandalu zakon budził niechęć wśród władców i u wszystkich katolików, a więc trudno byłoby szukać uczciwego człowieka, który pragnąłby zostać templariuszem. Zakon nie byłby więc użyteczny dla krucjaty, czyli celu swego istnienia, a ponadto dobra Świątyni zostałyby całkowicie zużytkowane na potrzeby króla, jeśliby nie podjęto błyskawicznie decyzji w tej materii. Klemens V decydował się więc na "usunięcie" zakonu templariuszy, uchylając się od wydania ostatecznego wyroku, choć zakazywał dalszego używania nazwy, stroju i charakterystycznych znaków Świątyni. Pod karę ekskomuniki podpadał automatycznie ten, kto odważyłby się w przyszłości nazywać templariuszem. Postępując w ten sposób, papież usuwał zakon z ówczesnej rzeczywistości historycznej, zaś odmawiając wydania faktycznego wyroku, pozostawiał w zawieszeniu osąd nad zakonem.

Na zakończenie nie było więc winnego, a tylko oskarżony, który został surowo ukarany za zupełnie inne przestępstwa. Coś podobnego zdarzyło się także w procesie wytoczonym zmarłemu Bonifacemu VIII. Fakt ten nie powinien dziwić, ponieważ obie sprawy były ze sobą nierozłączne, a postanowienia podjęte w tych kwestiach były owocem długich rokowań dyplomatycznych, podczas których dochodziło do pertraktacji, a obie strony często uciekały się do szantażu.

Los przywódców templariuszy znajdował się jeszcze w zawieszeniu, a oni sami oczekiwali na wyrok papieża, kiedy 18 marca 1314 roku, po ogłoszeniu niewinności zakonu, Wielki Mistrz Jakub z Molay i Galfryd z Charny, preceptor templariuszy w Normandii, zostali porwani przez żołnierzy królewskich i skazani na spalenie na stosie na małej wysepce na Sekwanie, bez konsultacji tej decyzji z papieżem. Będąc w podeszłym wieku, chory od lat i potężnie naznaczony długim mocowaniem się z monarchią francuską, Klemens V nie miał już sił, aby dłużej pracować. Umarł miesiąc później, a po jego śmierci nastąpił dla Kościoła rzymskiego czas "niewoli awiniońskiej". Kolejni papieże, zaprzętnięci innymi zagrożeniami, woleli nie zajmować się tą dziwną sytuacją zakonu templariuszy, który nigdy nie został potępiony, ale w praktyce "zamknięty" na mocy zupełnie wyjątkowego rozporządzenia.

Ukryta obecność

Niedawno przeprowadzone badania dokumentów procesu przeciw templariuszom pozwoliły na wyjaśnienie wielu spraw, pokazując między innymi, że teoremat oskarżycielski Filipa Pięknego miał tak bardzo niszczący efekt, ponieważ opierał się na pewnych elementach prawdy. Niektóre oskarżenia (zaparcie się Chrystusa, plucie na krzyż i niestosowne pocałunki) pochodziły z tych kilku rzeczywistych faktów, które zostały odpowiednio przekręcone i spreparowane w taki sposób, aby móc je przedstawić jako dowody herezji. Kilka lat przed zaatakowaniem Świątyni król Francji nakazał w tajemnicy, aby kilku jego szpiegów wstąpiło do zakonu celem zebrania informacji na temat wszystkiego, co mogłoby działać na jego szkodę. Następnie grupa prawników pod kierownictwem Wilhelma z Nogaret przeanalizowała te informacje, tworząc powiązany ze sobą ciąg oskarżeń. Ci błyskotliwi znawcy prawa, wychodząc od kilku podstawowych punktów zaczepienia, wyprowadzili z nich niektóre prawdy, posługując się dedukcją, jak robi się to w naukach matematycznych, gdy zamierza się skonstruować pewien teoremat. Nie jest przesadą stwierdzenie, że Nogaret i jego koledzy po fachu wnieśli "teoremat herezji templariuszy". Ta konstrukcja była wznoszona za pomocą techniki stosowania półprawd. Każde oskarżenie było powiązane z prawdziwym faktem, który był źle postrzegany, a w każdym razie godzien potępienia, choć popełniany bez grzesznych intencji. Templariusze w czasie przesłuchania przyznawali, że tego rodzaju fakt miał miejsce, na przykład że byli zobowiązani do zaparcia się Chrystusa, choć następnie przeczyli powiązanemu z tym faktem oskarżeniu, mianowicie że nie wierzą w Chrystusa. W tym momencie ich oświadczenia wydawały się już jednak mało wiarygodne. Ten sam schemat dedukcji wykorzystywano również w argumentacji, że wszyscy templariusze wspólnie odwrócili się od Chrystusa, aby oddać się kultowi tajemniczego bożka.

Punktem wyjścia dla oskarżenia był fakt namacalny i oczywisty: templariusze nosili na swych koszulach sznury z lnianych nici. Była to rzecz, której nie sposób było zaprzeczyć, ponieważ widzieli ją wszyscy, a ponadto istnienie owych sznurów było nawet przedmiotem rozważań w tej części statutów templariuszy, które regulowały kwestię stroju braci. Templariusze wiedzieli, że sznury miały znaczenie symboliczne, a nie praktyczne, ponieważ byli zobowiązani do tego, by nigdy ich nie zdejmować, nawet nocą, gdy byli pogrążeni w śnie. Opierając się na tych bezspornych danych o użyciu lnianych sznurów, Nogaret i inni stratedzy królewscy argumentowali, że przedmiot w rzeczywistości jest znakiem przewrotności. Wykorzystując fakt, że większość templariuszy nie wiedziała, jaką funkcję pełnił ten element stroju, wysunięto twierdzenie, że sznur pocierano o przedmiot diabelski, o nieznanego i tajemniczego bożka, który miał postać głowy mężczyzny z długą brodą. Według oskarżenia templariusze rezerwowali dla tego bożka specjalne nabożeństwa liturgiczne, dostępne tylko dla ważnych dostojników. Były to uroczyste ceremonie, podczas których oddawano mu cześć, całowano go i ocierano o niego sznury, które następnie były rozdzielane wszystkim braciom zakonnym. Sznur lniany był banalnym przedmiotem, który sam w sobie nie mógł doprowadzić do zniesławienia templariuszy; miał jednak coś wspólnego z całym zakonem, z każdym z jego członków. Bożek natomiast miał w sobie coś wyjątkowego; coś, co mogło być przydatne tylko do zaatakowania najwyższych stopniem przywódców zakonnych. Twierdząc, że sznury templariuszy zostały niejako "zbrukane" pod wpływem kontaktu z nieznanym bożkiem, Nogaret sprawiał, że podejrzenie bałwochwalstwa spadało na każdego brata Świątyni, "splamionego" przez bożka, nawet w przypadku swej niewiedzy, właśnie poprzez ten pasek, który nosił na sobie każdego dnia.

Pośród wszystkich win, którymi obarczono templariuszy, zarzut bałwochwalstwa był niewątpliwie najbardziej mroczny i okryty tajemnicą. Nie dziwi więc, że tego rodzaju sugestia stała się inspiracją dla wielu powieściopisarzy. Ciekawostką jest, że to oskarżenie nie było jednak asem w talii kart Nogareta podczas procesu, nie było jego podstawową bronią, lecz rodzajem niewielkiego uzupełnienia, doczepionego do innych oskarżeń. W dokumencie ujawniającym przewinienia templariuszy Filip Piękny podkreślał wyraźnie, że tylko niewielka liczba templariuszy posiadała wiedzę na temat bożka. Czym wytłumaczyć podobną nielogiczność? Odpowiedź jest prosta: oskarżyciel, który sformułował swój teoremat na solidnych podstawach, dzięki informacjom zebranych przez "szpiegów" w ciągu około dziesięciu lat, wiedział dobrze, że trzy niestosowne czynności wykonywane podczas rytu wstąpienia do zakonu były zjawiskami powszechnymi, praktykowanymi we wszystkich komandoriach zakonu. Wszystkich albo prawie wszystkich templariuszy można było skłonić

groźbami albo innymi metodami do przyznania się do faktów, które należały do rzeczywistości codziennego życia Świątyni i które dawały możliwość do manipulacji i instrumentalizacji. Istnienie bożka i jego kult, jakkolwiek to rozumieć, było natomiast zjawiskiem ograniczonym tylko do elit władzy, co w znacznym stopniu zmniejszało nadzieję na uzyskanie jakichś zeznań.

Pogłoski na temat tego tajemniczego przedmiotu były czymś bardzo kuszącym dla Nogareta, ponieważ oferowały mu możliwość stworzenia sugestywnego porównania, którego celem było wzbudzenie zgorszenia u papieża. Jak Mojżesz z gniewem i bólem odkrył, że pod jego nieobecność Żydzi porzucili kult jedyne Boga i utworzyli sobie cielca ze złota, tak papież Klemens V otrzymałby dowody, że templariusze, będąc braćmi zakonnymi, oddawali w tajemnicy cześć dziwnemu bożkowi, który był w ich posiadaniu. Istniała jednak pewna poważna trudność: jedynie najważniejsi dygnitarze Świątyni posiadali wiedzę na temat tego bożka, co oznaczało, że liczba możliwych do zgromadzenia na ten temat zeznań będzie niewielka.

Filip Piękny dążył do zniszczenia całego zakonu, dlatego musiał przekonać papieża, że całe ciało zakonu templariuszy zżerane jest przez niemoralność i herezję. Dla króla pożytek ze skazania samych przywódców zakonnych był niewielki, zostaliby oni bowiem usunięci ze swych stanowisk, a następnie zastąpieni przez inne osoby; użyteczne było natomiast obwinienie wielu osób, gdyż pozwalało to na wystosowanie prośby do papieża o kasatę całego zakonu. Niewielka liczba zeznań, choćby były one źródłem skandalu, nie miała wartości dla oskarżenia. Nawet jeśli udałoby się znaleźć dziesięciu albo dwudziestu templariuszy gotowych do przyznania się, że praktykowali czary i wzywali diabłów, to niewiele by pomogło, ponieważ od początku byłoby to postrzegane jako niedoskonałość (choćby nawet najcięższa i niewybaczalna) tych, którzy przyznali się do winy. W takim przypadku Inkwizycja wszczyniała postępowanie zmierzające do skazania poszczególnych winowajców. Nogaret i Filip Piękny potrzebowali natomiast wielu winowajców, musieli więc znaleźć przewinienia, może nie tak ciężkie, które jednak były w zakonie rozpowszechnione do tego stopnia, by ocenić, iż z wielkim trudem udałoby się znaleźć jakiegoś templariusza wolnego od podobnych złych występków. Zakonny ryt wstąpienia nadawał się do tego doskonale; ten tajemny ceremoniał i jego pozornie obraźliwe wobec wiary chrześcijańskiej gesty idealnie odpowiadał oczekiwaniom oskarżycieli. Wiadomo było, że rytuał ten praktykowano powszechnie, choć w formach znacznie różniących się od siebie, a w związku z tym prawie wszyscy członkowie zakonu mogli przyznać, że popełnili przynajmniej jeden z tych występnych uczynków, jak wyparcie się Chrystusa albo splunięcie na krzyż. Biorąc zaś

pod uwagę, że praktyka sądowicza owego czasu nie wchodziła zbyt w subtelności, można było - w powszechnym zamieszaniu będącym owocem skandalu - łatwo wysunąć twierdzenie, że cały zakon był wrogo nastawiony do chrześcijaństwa.

Bożek był więc łakomym kąskiem, ale w sumie jako argument zbyt pozbawionym konkretnej treści. Lud udawał się na msze do kościołów templariuszy, widywał braci, którzy się modlili, przystępowali do komunii i uczęszczali na wszystkie przepisane zwyczajem liturgie, w których nie było żadnych dziwnych bożków. Przypisanie nadmiernego znaczenia w oskarżycielskim teoremacie kultowi oddawanemu bożkowi nie było rozropne, ponieważ wzrastało ryzyko, że wiele osób mogłoby mieć wrażenie, iż cała konstrukcja oskarżenia opiera się na najzwyczajszych pomówieniach. Jako świetny adwokat Nogaret wołał położyć nacisk na te oskarżenia, co do których istniało dużo większe prawdopodobieństwo, że bracia zakonni potwierdzą je publicznie. W związku z tym ograniczył kwestię bożka do niejasnego, mrożącego krew w żyłach szczegółu: w akcie oskarżenia wyraźnie nadmienił, że istnienie tego obrazu bożka było nieznane zdecydowanej większości braci zakonnych. Zgodnie z oczekiwaniami w sprawie bałwochwalstwa dowody były bardzo skąpe. Były to opisy często sprzeczne ze sobą, którymi stratedzy Filipa Pięknego starali się manipulować, przedstawiając je w ponurych barwach.

Mozaika fragmentów

Analiza dokumentów nie budzi wątpliwości: jedynie niewielka, bardzo niewielka grupa templariuszy, wobec których toczył się proces, była w stanie powiedzieć cokolwiek na temat owego tajemniczego przedmiotu, a w ramach tej niewielkiej grupki wielu mówiło o tym tylko dlatego, iż słyszeli niestworzone historie z ust innych osób, nie dysponowali więc bezpośrednim i osobistym doświadczeniem w tej sprawie. To niewielki procent wszystkich świadectw, w których w zdecydowanej większości nie ma nawet słowa na ten temat. Na 1114 zeznań złożonych przez templariuszy w czasie procesu tylko w 130 z nich pojawia się przynajmniej wzmianka na temat bożka, jednakże zdecydowana większość z nich ogranicza się do potwierdzenia sugestii wysuwanych przez oskarżyciela. Widać wyraźnie, że chodzi tu o potwierdzenia uzyskane pod wpływem tortur lub innych form przymusu. Tylko 52 zeznania przynoszą choćby nikłe informacje na temat bożka, co stanowi ledwie 4,6% wszystkich zeznań. Przynajmniej o tym Filip Piękny mówił prawdę: tylko niewielu braci w zakonie wiedziało cokolwiek o tajemniczym bożku. Zdecydowana większość nie wiedziała nic. Dane te możemy uważać za wiarygodne, ponieważ inkwizytorom i prawnikom królewskim nie brakowało z pewnością środków perswazyjnych. Ci nieliczni świadkowie, prawdziwe "białe kruki", jeśli można użyć tego określenia, nie opisują identycznego przedmiotu, lecz

przeciwnie - mówią o szczegółach, które zdecydowanie różnią się między sobą. Uważam, że wszystkie te fakty zniechęciły naukowców do podjęcia badań na tym polu. Istotnie, wielka różnorodność wypowiedzi w tej materii sprawia, że wszystko wydaje się plątaniną rzeczy powiedzianych w zależności od okoliczności; rodzi się pokusa, aby wsadzić wszystko do jednego worka, mechanicznie traktując te opisy jak tragiczne w skutkach kłamstwa wypowiedziane pod wpływem tortur.

Dodatkową komplikacją jest także to, że niektórzy z braci zeznają w czasie procesu więcej niż jeden raz, a ich wypowiedzi zmieniają się z jednego przesłuchania na drugie z przyczyn, których możemy się tylko domyślać (tortury, obietnica nagrody, pragnienie pomsty jakiejś doznanej krzywdy itd.). Typowym przykładem jest historia brata Raula z Gizy, przełożonego komandorii w Latigny i delegowanego do pobierania podatków królewskich w hrabstwie Szampanii. Zakonnik ten w pierwszej wersji zeznań - niebywale skandalicznej - poświadczył, że widział bożka co najmniej siedem razy i był on podobny do diabła. Później natomiast utrzymywał, że zdarzyło mu się widzieć bożka zaledwie jeden raz i że nie miał najmniejszego pojęcia o tym, kogo wyrażała ta podobizna. Jego zeznania były więc sprzeczne. Wszystko tłumaczy fakt, że Raul z Gizy złożył swe pierwsze zeznanie 9 listopada 1307 roku pod "czujnym okiem" Wilhelma z Nogaret i inkwizytora Francji, w czasie przesłuchania przeprowadzonego na drugi dzień po niezgodnym z prawem aresztowaniu, kiedy król potrzebował natychmiast najcięższych dowodów przeciw templariuszom, aby usprawiedliwić przed papieżem to, że aresztowano ich, łamiąc przy tym prawa Kościoła. Drugie zeznanie doszło natomiast do skutku 1S stycznia 1312 roku podczas przesłuchania prowadzonego przez komisję biskupią, kiedy to papież już wziął w swe ręce kierowanie procesem, a przesłuchania dawały większą gwarancję bezpieczeństwa osobistego przesłuchiwanym.

Wobec tych faktów historyk może czuć się zdezorientowany, jak prawdopodobnie zdarza się to archeologowi, który otworzył prastarą, zatęchłą studnię służącą jako wysypisko śmieci i odkrył bezładną mieszaninę tysięcy malutkich fragmentów waz, różniących się między sobą zewnętrznym kształtem, materiałem i kolorami. Te właśnie wazy archeolog będzie musiał starannie zidentyfikować i poskladać w jedną całość. Pomimo różnic istniejących między obiema dyscyplinami metoda mająca na celu uporządkowanie tego chaosu i dotarcie do wiedzy wystarczająco przekonującej jest taka sama: trzeba pracować z cierpliwością benedyktyńską, układając w wielu oddzielnych grupach wszystkie podobne do siebie fragmenty i równocześnie usuwając stopniowo materiały nienależące do nich, prawdziwe odpadki, które przez przypadek znalazły się w tej masie.

Pewne prawdy udaje się nam dostrzec, gdy uważnie przyjrzymy się okolicznościom, w jakich miały miejsce poszczególne przesłuchania braci. To nam się przyda, gdy spróbujemy zrozumieć niektóre wątki procesu przeciw templariuszom. Wiemy na przykład, że w pewnych przypadkach templariusze byli przesłuchani pierwszy raz, ale inkwizytorzy nie byli zadowoleni z ich zeznań, ponieważ zaprzeczyli oni prawie wszystkim głównym punktom oskarżenia. Tych zeznań nie uznano jednak za przekonujące i poddano ich torturom, następnie pozostawiono im czas do namysłu i wreszcie przesłuchano po raz kolejny. Tym razem ich zeznania, pełne szczegółów, które prześladowcy uznawali za zadowalające, zostały zaakceptowane i zaprotokołowane. Wiemy ponadto, że w procesie występowały różne fazy, które różniły się znacznie od siebie metodami i podejściem do przeprowadzanych przesłuchań. Z tego względu także informacje, które śledczy pragnęli uzyskać, zmieniają się całkowicie w zależności od czasu i miejsca przesłuchania: ten, kto stawiał pytania, mógł uwarunkować w sposób rozstrzygający odpowiedzi.

Problem bożka jest jednym z bardziej złożonych, ponieważ oskarżenie to, o wiele bardziej niż inne, pobudzało fantazję, w pewnej mierze w wyniku tortur, w części pod wpływem sugestii - wielkiej siły, której nigdy nie należy lekceważyć, a która panowała w mrocznej atmosferze skandalu. Gdy uporamy się z pierwszym wstrząsem, staje się jasne, że pośród tych wszystkich opisów bożka mowa jest tylko o pięciu rodzajach przedmiotów, które powtarzają się częściej, choć czasem ich opis różni się nieco w szczegółach. Trzy z nich były przedmiotami mającymi zastosowanie w kulcie, podobnymi - pod każdym względem - do wielu innych przedmiotów kultu, które wierni średniowiecza widzieli każdego dnia w kościołach. Chodzi tu o relikwiarz - rzeźbę w formie popiersia, obraz na drewnianej desce i wreszcie wizerunek człowieka o dziwnej i nieokreślonej sylwetce. Niewątpliwie już to, że tego rodzaju wizerunki były przedmiotem ukrytej adoracji ze strony templariuszy, rodziło u śledczych nasilające się pragnienie, aby wiedzieć, kim był przedstawiony na nich człowiek, ale sama obecność tych podobizn w kościołach zakonu nie wystarczała, aby wysunąć oskarżenie o herezję. Do tego celu nadawały się natomiast znakomicie dwa ostatnie opisy tego przedmiotu, ponieważ były to rzeczy pomocne do całkowitego zapanowania za pomocą siły sugestii nad umysłem człowieka średniowiecznego. Jeśli oskarżeniu udało się udowodnić występowanie przynajmniej jednego z nich w komandoriach templariuszy i przedstawić ten fakt papieżowi, istniała nadzieja, że to wystarczy do błyskawicznego uzyskania potępienia całego zakonu. Pierwszym z tych domniemyanych "bożków", w związku z którym wymuszano na braciach zeznania, była podobizna Mahometa. Zostało to wykorzystane jako dowód na to, że templariusze zdradzili wiarę chrześcijańską, przechodząc

po kryjomu na islam. Drugim - postać jakiegoś monstrum albo wręcz diabła, przydatna do tego, aby utrzymywać, że templariusze oddali się czarom.

Wizerunki islamu

Identyfikacja bożka z wizerunkiem świętym dla islamu opiera się na sześciu świadectwach, chociaż nie można uważać jej ani za pewną, ani za identyczną we wszystkich przypadkach. Brat sierzant Wilhelm Collier z BuislesBaronnies powiedział wyraźnie, że konfratry nazywali tę dziwną głowę Magometum, podczas gdy dwaj bracia przesłuchiwani we Florencji i w Clermont stwierdzili, że widzieli bożka zwanego odpowiednio Maguineth i Mandaguorra. W czasie przesłuchania prowadzonego w Carcassonne bracia Gaucerand z Montpezat i Raymond Rubei utrzymywali, że był on zrobiony”in figura bafometti”, a drugi z nich opisywał szczegółowo, że zwracał się do niego, używając arabskiego słowa: Yalla. W śledztwie prowadzonym w Patrimonium Świętego Piotra w Tuscia sierzant opowiedział, że w czasie ceremonii wstąpienia do Świątyni toczyła się prawdziwa dysputa teologiczna negująca dogmaty chrześcijaństwa, a bożek przedstawiający Allaha był głównym tematem wywodów: powiedział, że brat Albert nakazał mu wyprzeć się Chrystusa i powiedział mu, że nie powinien wierzyć w niego. Brat Gualtiero zapytał go:

W kogo więc powinienem wierzyć? Ten sam brat Albert odpowiedział:

W tego wielkiego i jedyne Boga, którego czczą Saraceni.

Następnie dodał, że nie należy wierzyć w Ojca, w Syna i w Ducha Świętego, ponieważ są oni trzema różnymi bogami, a nie Bogiem jedynym. Wreszcie na koniec stwierdził, że Wielki Mistrz Świątyni i przełożeni odpowiedzialni za prowincję posiadali wizerunek tego wielkiego Boga, oddawali mu cześć jako Stwórcy i wystawiali jego podobiznę na widok publiczny podczas kapituł generalnych i innych ważniejszych zgromadzeń. Z tym zeznaniem można prawdopodobnie powiązać świadectwo Piotra Segrona, któremu przełożony powiedział, że nie powinien wierzyć w Jezusa Chrystusa, lecz tylko w Ojca Wszchemogącego, chociaż świadectwo to nie nawiązuje w żaden sposób do religii islamu.

Na temat formy imienia, jakim był nazywany ten domniemany wizerunek, istnieje bardzo wyraźnie świadectwo, według którego było to Magometum, forma bardzo zbliżona do rzeczywistej wymowy. Według dwóch braci przesłuchiwanych w Carcassonne mówiono o nim bafometum. Jest to słowo pochodzące od wcześniejszego wyrażenia, którego wymowa została jednak zniekształcona pod wpływem transpozycji oryginalnego dźwięku arabskiego na język francuski. To właśnie ta dziwaczna forma zaowocowała fantastycznymi domysłami etymologicznymi zaproponowanymi w swoim czasie przez HammerPurgstalla, które dzisiaj

budzą zainteresowanie tylko u miłośników literackiego gatunku fantasy. Także dwa pozostałe warianty, Maguineth i Mandaguorra, są przekręceniami oryginalnego słowa, podczas gdy dziwna inwokacja do bożka wspomniana przez jednego z templariuszy, czyli Yalla, usiłuje powtórzyć słowo arabskie Allah wraz z mocnym przydechem na początku wyrazu, który notariusz odpowiedzialny za zapisywanie zeznań oddaje w języku łacińskim literą Y.

Czy można jednak przypuścić, że templariusze, nawet ich nikła mniejszość, stali się naprawdę muzułmanami?

Dziwny rytuał wstąpienia, który templariusze sprawowali po zakończeniu oficjalnej ceremonii przewidzianej przez ich prawo, miał rzeczywiście u swych podstaw bezpośredni związek ze światem islamu. Na Bliskim Wschodzie było wiadomo, że Saraceni zmuszali więźniów chrześcijańskich do zaparcia się Jezusa Chrystusa i do spluwania na krzyż pod karą śmierci, jak opisuje to kronika franciszkanina Fidencjusza z Padwy. Rytuał posłuszeństwa stworzony przez templariuszy, aby wystawić na próbę swych nowo przyjętych członków, powtarzał, jak już powiedzieliśmy, te same gesty, niczym w pantomimie. Prawnicy króla Francji dowiedzieli się o tym po latach prowadzonego tajnie śledztwa. Sukces w udowodnieniu oskarżenia, że templariusze przeszli w całości na islam, miałby zasadnicze znaczenie w uzyskaniu wyroku skazującego. W związku z tym byłoby jeszcze lepiej, gdyby udało się wykazać, że nieuchwytny bożek, na temat którego król zgromadził pewne informacje, był w rzeczywistości podobizną Mahometa.

Wystarczy wskazać na dwa fakty, aby udowodnić, że oskarżenie to jest całkowicie niezgodne z prawdą. Są w nich elementy ze sobą sprzeczne, sprawy niedające się pogodzić, które jednak w mentalności XIV wieku mogły w pewien sposób być postrzegane wspólnie. Przede wszystkim wiadomo, że religia islamu absolutnie zakazuje przedstawiania oblicza proroka; w związku z tym wszystkie wyobrażenia Mahometa przedstawiają w rzeczywistości jego postać z twarzą zakrytą przez zasłonę świętego ognia. "Bożek" przypisany templariuszom jest natomiast normalnym wizerunkiem, który przedstawia oblicze mężczyzny z brodą, i tym samym nie można go w żaden sposób uważać za podobiznę Mahometa. Te same spostrzeżenia zachowują swą wartość także w przypadku zeznania tego templariusza, według którego bożkiem była podobizna Allaha. Koran surowo zakazuje przedstawiania Boga w jakikolwiek sposób, ponieważ działanie tego rodzaju byłoby bałwochwalstwem, a kultura islamu zawsze niezwykle ostro zwracała uwagę na przestrzeganie tej normy.

Drugi fakt jest jeszcze bardziej wymowny: według jednego z zeznań podobizna tego domniemanego Mahometa miała wręcz rogi. Wypowiedź ta pokazuje niewątpliwie, że opowiadanie jest pozbawione jakiegokolwiek realnego związku z islamem, jest wynikiem

tortur zarządzonych przez inkwizytorów i zmierza precyzyjnie w tym kierunku, do którego oprawcy zamierzają doprowadzić świadka, by zrealizować swe plany. Żaden z chrześcijan, który rzeczywiście wszedł w kontakt ze światem islamu, nigdy nie wpadłby na myśl, że jego wyznawcy oddają cześć diabłu. Pominąwszy wyraźne różnice religijne, muzułmanie byli osobami bardzo pobożnymi, mającymi w wierze kilka punktów wspólnych z chrześcijanami, jak na przykład oddawanie czci jednemu Bogu, który jest Stwórcą, ale także Ojcem miłosiernym i dobrym. Precyzyjne świadectwa historyczne pokazują nam, że w Jerozolimie istniał pewien dialog międzyreligijny, a z drugiej strony wiadomo, że święty Franciszek z Asyżu był przyjęty przez sułtana Egiptu i spędził z nim czas, prowadząc dyskusję teologiczną. W Ziemi Świętej muzułmanie byli zasadniczo przeciwnikami politycznymi, ludźmi, którzy walczyli z chrześcijanami o posiadanie Jerozolimy i o kontrolę nad SyriąPalestyną. W czasie całej historii Królestwa Jerozolimskiego udokumentowano wiele przymierzy między władcami chrześcijańskimi i różnymi emirami lokalnymi; przymierza te opierały się na wspólnym interesie i były zawiązywane z pozostawieniem na boku różnic religijnych.

W kraju takim jak Francja, gdzie nie istniały wspólnoty muzułmańskie, żyjące wśród miejscowej ludności, ludzie nie mieli prawie żadnego wyobrażenia o ich zwyczajach religijnych. Lud, w dużej części niewykształcony, przywykły do wyznawania upraszczającego wszystko przekonania, że do Ziemi Świętej udaje się po to, aby zabijać nieprzyjaciół wiary, był niezwykle podatny na przekonanie, że ci "nieprzyjaciele wiary" mieli w sobie coś tajemnego i diabelskiego. Prawdopodobnie nie jest to przypadek, że ten rodzaj wnioskowania nie natrafił na żyzny grunt ani w Hiszpanii, ani na Cyprze, gdzie kontakty z ludźmi wyznającymi islam były częste, a chrześcijanie mieli jasne poglądy na ich temat. Według Nogareta nie było żadnej różnicy, czy bracia oddawali cześć Mahometowi czy wręcz diabłu, oczywiście pod warunkiem, że dawało to możliwość oskarżenia ich o niewybaczalne przestępstwo i celowego wmówienia tego większości ludu.

Cień Rideforta

Na podstawie obecnego stanu badań uważam, że ci templariusze, którzy powiedzieli, że bożek był podobizną Mahometa, widzieli prawdopodobnie wizerunek w pewnym stopniu podobny do człowieka, ale jednak o kształcie dziwnym i odmiennym od obrazów świętych obecnych wszędzie w kościołach. Nie wiedząc nic na temat tożsamości przedstawionej na nim osoby i będąc pod presją tortur, siłą rzeczy byli skłonni do głoszenia podobnych wypowiedzi. Nie budziło wątpliwości, że był to wizerunek człowieka; ponieważ jednak nie udawało się pojąć, kim była ta osoba, stąd rodził się oczywisty wniosek, że to coś zakazanego. Jest faktem, że w świecie średniowiecza nie istniała możliwość, aby swobodnie

interpretować dzieło sztuki, ponieważ wszystkie wizerunki podlegały surowej kontroli. W konsekwencji były one rozpoznawane na pierwszy rzut oka. Sztuka sakralna średniowiecza miała ustalone formy ikonograficzne, ponieważ jej celem było pouczanie dusz i prowadzenie ich ku niebu. Już papież Grzegorz Wielki (590-604) zalecał gorąco, aby przestrzegać tego nakazu. Wierni w zdecydowanej większości byli analfabetami i tym samym nie byli w stanie pojąć zbyt wyszukanych idei. Dlatego też postacie obrazujące historię świętą na ścianach kościołów były wielkim dziedzictwem kulturalnym dla ludu, ponieważ formowały wiedzę zwykłych ludzi.

Istniała utrwalona, starożytna tradycja, która była znana wszystkim i pełniła rolę normy: święty Piotr musiał zawsze trzymać w dłoni duży klucz jako symbol swej władzy, a święty Antoni opat musiał być zawsze przedstawiony w habicie mniszym, ze spokojnym prosiaczkim przycupniętym u jego stóp - tak aby wierny mógł rozpoznać ich natychmiast. Artyści musieli trzymać się ustalonych kanonów, ich wolność artystyczna mogła znaleźć ujście tylko w szczegółach drugorzędnej wagi i w każdym przypadku owoc ich pracy był poddany kontroli ze strony uprawnionych do wydania tego rodzaju oceny władz kościelnych. Przedstawienie świętych misterii w sposób niezgodny z tradycją Kościoła budziło podejrzenie i było potępiane; istotnie, mogło ono rodzić zamęt w tym, kto nie dysponował wystarczającą kulturą, aby bronić się przed błędem. Gdyby wizerunek templariuszy był tradycyjnym wyobrażeniem jakiegoś świętego, wtedy bracia rozpoznaliby go natychmiast. Wszyscy jednak, którzy widzieli ten wizerunek, zgodnie stwierdzili, że nie byli w stanie pojąć, kogo on przedstawiał, że brakowało tam elementów pomocnych do jego identyfikacji. Ukazywanie następowało często nocą, w mrokach kościoła rozpraszanych drgającym światłem świec. Atmosfera ta powodowała, że cała uroczystość sprawiała wrażenie kultu złowrogiego i okrytego tajemnicą. Zmuszani do adoracji wizerunku kogoś, kogo nie znali, i świadomi, że chodzi o kult sprawowany w ukryciu, bracia ulegali sugestii i przeżywali te liturgie ze strachem.

Agenci króla Francji wykorzystali ten fakt i włączyli go do oskarżenia, utrzymując, że templariusze przeszli na islam za pośrednictwem prostego (i sprzecznego z historią) sylogizmu: zakon Świątyni sprzyja muzułmanom; w ceremoniach zakonnych oddaje się cześć obliczu człowieka, którego tożsamość nie jest znana; prawdopodobnie tym tajemniczym człowiekiem jest prorok religii islamu, czyli Mahomet. Oskarżenie oczywiście nie miało pokrycia w rzeczywistości, ponieważ religia muzułmańska zakazuje sporządzania podobizn Mahometa. W związku z tym, gdyby rzeczywiście było prawdą, że templariusze stali się muzułmanami, to kult opisywany w procesie nigdy nie mógłby mieć miejsca. Nogaret nie

martwił się jednak o to, czy oskarżenie jest prawdziwe. Dla niego było ważne, aby wydawało się ono wiarygodne w oczach społeczeństwa zachodniego, które proszono o wydanie na zakon Świątyni wyroku skazującego. Wielki strateg królewski odkurzył ponadstuletnią pogłoskę, która rozprzestrzeniła się w swoim czasie i na chwilę naruszyła dobre imię zakonu.

Kiedy w roku 1187 Saladyn osiągnął pamiętne zwycięstwo pod Rogami Hattinu i przywrócił światu muzułmańskiemu Jerozolimę, wykazał wielką wspaniałomyślność wobec ludności chrześcijańskiej i ze względu na miłość Bożą obdarzył wolnością nie tylko bogatych, którzy byli w stanie zapłacić za siebie okup, ale także ubogich. Jedynie wobec templariuszy i szpitalników nie chciał okazać żadnej litości i kazał odciąć im głowy. Tymczasem Wielki Mistrz templariuszy Gerard z Ridefort, który wpadł w ręce nieprzyjaciół, powrócił cały i zdrowy do swoich konfratrów w momencie, gdy wszyscy już go uważali za straconego. Jako że uczucia sułtana wobec templariuszy były powszechnie znane, fakt ten natychmiast wydał się wszystkim bardzo podejrzany. Ridefort znany był zresztą jako awanturnik, oportunist, zdrajca przyjaciół, który zaszedł wysoko w hierarchii Świątyni, ale nie cieszył się wcale dobrą opinią, a ta pogorszyła się jeszcze znacznie, kiedy dowiedziano się, że odzyskał wolność, gdyż oddał twierdze, będące w rękach templariuszy. Krótko mówiąc, zdradził zakon w sposób najbardziej podły z możliwych.

Warunki ugody zawartej w owym czasie przez Rideforta z Saladynem z pewnością wywołały takie zgorszenie w społeczności chrześcijańskiej, że echa tego skandalu zostały uwiecznione w kronice z SaintDenis. Z drugiej strony społeczność chrześcijańska czuła się dotknięta straszliwą zniewagą, zakony rycerskie były wytykane palcami przez wszystkich jako odpowiedzialne za klęskę i poszukiwanie kozła ofiarnego było w tej sytuacji nieuniknione. Ridefort, uważany za tchórza, aroganta i niegodziwca, nadawał się do tego idealnie.

To właśnie źródło odszukał i odkurzył Wilhelm z Nogaret, aby oskarżyć templariuszy, że przeszli oni na islam. Podobne pogłoski rozbrzmiewały tu i ówdzie także pod koniec XIII wieku, kiedy na Zachodzie nie rozumiano dobrze niektórych porozumień dyplomatycznych zawartych przez przywódców chrześcijańskich z nieprzyjacielem muzułmańskim, co w konsekwencji wywołało ostre spory. Podczas procesu stawiał się niespodziewanie Wilhelm z Nogaret i przypomniał wszystkim historię, na której temat stosownych wyjaśnień musiał udzielić Jakub z Molay:

W kronikach przechowywanych w opactwie SaintDenis znajdowało się pismo mówiące o tym, że za czasów Saladyna, sułtana Babilonu, ówczesny Wielki Mistrz templariuszy i inni przywódcy zakonu złożyli akt hołdu Saladynowi; sam Saladyn,

dowiedziawszy się o wielkiej niedoli, która stała się udziałem templariuszy, powiedział publicznie, że spotykają ich te wszystkie problemy, ponieważ splamili się grzechem Sodomy i ponieważ sprzeniewierzyli się swej wierze i swemu prawu. Wielki Mistrz [Jakub z Molay] był zdumiony tymi słowami i odpowiedział, że nigdy nie słyszał wypowiedzi tego rodzaju. Pamiętał natomiast, że w okresie, gdy przełożonym Świątyni był Wilhelm z Beaujeu, on sam, który znajdował się w Ziemi Świętej razem z wieloma innymi braćmi zakonu templariuszy, którzy byli młodzi i spragnieni walki, jak to jest w zwyczaju młodych rycerzy łaknących boju, ale także inne osoby nienależące do ich grupy, szemrały przeciwko Wielkiemu Mistrzowi. Istotnie, w czasie obowiązywania rozejmu ustanowionego z Saracenami przez króla Anglii, który później zmarł przedwcześnie, Wielki Mistrz oddawał posługi sułtanowi i uważał go za dobrego człowieka. Ostatecznie jednak zarówno on, jak i inni byli zadowoleni z tej decyzji, ponieważ zrozumieli, że Wielki Mistrz nie mógł uczynić inaczej: powiedział, że w owym czasie zakon templariuszy miał pod swą ochroną wiele miast i twierdz położonych na terytoriach graniczących z ziemiami poddanymi sułtanowi, wymieniając nazwy tych miejscowości, które nie mogłyby pozostać w rękach chrześcijan, jeśliby król Anglii nie zadbał o zaopatrzenie ich w środki do życia.

W Ziemi Świętej walczone być może jeszcze bardziej za pośrednictwem rokowań dyplomatycznych niż za pomocą oręża. Pierwsze dziesięciolecia istnienia królestwa krzyżowców zaznały stosunkowego spokoju, ponieważ poszczególni władcy muzułmańscy, których terytoria graniczyły z królestwem, często woleli raczej sprzymierzyć się z chrześcijanami i zachować swą autonomię, niż zaakceptować podporządkowanie się władzy o wiele silniejszej od nich. Postępowanie Wielkiego Mistrza Beaujeu, który poniósł później bohaterską śmierć z rąk Saracenów, osłaniając ucieczkę cywilów drogą morską, było podyktowane koniecznością polityczną, a jego działanie w absolutnie dobrej wierze było uzasadnione współpracą z królem Anglii, który był także zwolennikiem tego przymierza. W latach, kiedy niezdolność zakonów rycerskich do odzyskania Jerozolimy była przyczyną powstania wielu planów mających na celu ich zreformowanie, nowina o tym wyjątkowym przymierzu skłoniła z pewnością osoby nieprzychylnie nastawione do zakonu do podejrzeń, że templariusze byli tak nieudolni, ponieważ w rzeczywistości nie zamierzali wcale atakować islamu, który potajemnie pozyskał ich sympatię. Kontekst procesu oraz jego przebieg przekształcił tę zwykłą gadaninę w prawdziwe oskarżenie.

Wiele twarzy

Opisy, w których templariusze przedstawiali "bożka" jako wizerunek diabła, są pełne nierealnych szczegółów: monstrum ma wiele twarzy; jest łączony z obecnością złowrogięgo

czarnego kota, pojawiającego się i znikającego w tajemniczy sposób; oddaje mu się cześć podczas sabatu czarownic; pewnego razu udziela nawet odpowiedzi bratu, który zanosi modły do niego i obiecuje mu znaczne korzyści materialne. W obliczu tych wypowiedzi historyk odczuwa natychmiast pokusę, aby odrzucić a priori te okropne opisy, uważając je za przygnębiający owoc tortur. Lepiej jest jednak unikać pospiesznych sądów, ponieważ doświadczenie pokazuje, że nawet najbardziej absurdalne oświadczenia mogą czasem kryć w swych głębinach ziarenka prawdy. Są to rzeczywiste fakty, które powtórnie należy wydobyć na światło dzienne, separując je od dużej ilości mrocznych szczegółów, które powstały pod wpływem tortur, presji psychologicznej, głębokiej sugestii powodowanej atmosferą procesu.

Wiadomo na przykład, że w chrześcijańskiej tradycji średniowiecznej dogmat Trójcy Świętej był przedstawiany w postaci Trzech Osób - różnych, a jednak tych samych - albo wręcz w postaci jednej osoby o trzech obliczach. Był to vultus trifrons, postać z trzema twarzami, środek artystyczny wymyślony w XIII wieku, aby przynajmniej w pewien sposób móc wyrazić bardzo złożoną ideę Boga, który równocześnie był jeden, ale w trzech różnych osobach. Podczas Soboru Trydenckiego (1545-1563) wiele aspektów religijności ludowej, które w przeszłości wszyscy akceptowali, rozważono ponownie i poddano krytyce; między nimi także postać z trzema twarzami. Widać wyraźnie, że ten wizerunek sztuki sakralnej przypominał pewne starożytne wyobrażenia pogan, jak na przykład rzymską Dianę, którą Wergiliusz w Eneidzie (IV, 511) nazywa "dziewicą o trzech twarzach", albo grecką Hekate, boginię ciemności łączoną z księżycem i przedstawianą z trzema twarzami, które były aluzją do jej trzech faz (rosnącej, pełnej i malejącej).

Hekate była królową podziemnego świata umarłych i w niektórych czarnoksiężskich tekstach pogańskich była wzywana przez czarodziei i czarowników; w rzymskim świecie symboli - a potem także w wyobrażeniach pierwszych chrześcijan - była uważana za personifikację diabła, choć samo bóstwo u początków nie miało w sobie nic okrutnego, zaś w tradycji sztuki średniowiecznej można czasem spotkać wizerunki diabłów z trzema głowami (jak na fasadzie kościoła romańskiego pod wezwaniem świętego Piotra w Tuscanii). W roku 1628 papież Urban VIII zakazał dalszego przedstawiania Trójcy Świętej za pomocą tego schematu wywodzącego się z pogaństwa i rzeczywiście potwornego. Następnie w roku 1745 Benedykt XIV nakazał, aby trzy Osoby Trójcy były przedstawiane w sposób zgodny z tym, co można było przeczytać w Piśmie Świętym: Ojciec jako czcigodny starzec, czyli "Przedwieczny", jak mówi się o Nim w Księdze Daniela; Syn jako młody mężczyzna; Duch Święty pod postacią gołębicy. Wiemy, że zakon Świątyni u swych początków był poświęcony Trójcy Świętej, a w tekście reguły zaaprobowanej w Troyes założyciel i jego

pierwsi towarzysze są nazywani właśnie "ubogimi komilitonami Świętej Trójcy". Nie można więc w żaden sposób wykluczyć, że w kościołach zakonu były przechowywane jakieś rzeźby tego tak szczególnego rodzaju, rzadkiego w sztuce gotyku, ale absolutnie dozwolonego i wykorzystywanego w odrodzeniu jeszcze przez Donatella, który ozdobił nim tabernakulum świętego Tomasza Apostoła we florenckim kościele San Michele in Orto. W przepięknym rękopisie Biblioteki Watykańskiej sporządzonym w Neapolu przez Matteo Planisio w roku 1362 znajduje się cykl miniatur, które przedstawiają stworzenie świata: Bóg jest ukazany jako trzy Osoby Trójcy, czyli jako czcigodny starzec, który ma głowę o dwóch twarzach, jedną człowieka starego (Ojciec) a drugą - dorastającego młodzieńca, jeszcze bez zarostu (Syn), podczas gdy gołębica symbolizująca Ducha Świętego przysiadła na jego ramieniu. Pozostawiając na boku kwestię gołębicy, która nie jest dobrze widoczna na wszystkich miniaturach, trzeba przyznać, że Stwórca jawi się jako osobliwa postać, która ma tylko jedną głowę z dwoma twarzami: oblicze chłopca o rysach delikatnych i bez zarostu wydaje się w rzeczywistości twarzą kobiety.

Jedną z charakterystycznych cech sztuki średniowiecznej jest to, że dla niej nie jest istotna prezentacja rzeczy w sposób realistyczny, lecz przede wszystkim uwypuklenie znaczeń symbolicznych i duchowych. Pewne wizerunki tego rodzaju musiały wydawać się nad wyraz wstrząsające dla osoby, która oglądała je bez zapoznania się ze stosownym wyjaśnieniem.

Trudno powiedzieć, czemu dokładnie odpowiadały te wizerunki bóstwa z dwoma, trzema czy nawet czterema twarzami, które opisywali niektórzy templariusze podczas procesu. W niektórych zeznaniach świadkowie opowiadają niewątpliwie o prawdziwych przedmiotach, o naczyniach świętych używanych w kulcie i liturgii, podczas gdy pozostałe zeznania są tylko straszliwym wytworem lęku i przemocy. W połączeniu z tym argumentem trzeba też uwzględnić kwestię obszarów, w których odbywały się różne przesłuchania. Proces toczył się właściwie w całym świecie chrześcijańskim. Przesłuchania miały miejsce na terytorium Francji, Anglii i Szkocji, Italii, Niemiec, na Półwyspie Iberyjskim i na Cyprze; drastyczne zeznania składane były jednak tylko we Francji, zwłaszcza w historycznym regionie MidiPyrenees, który był główną kwaterą budzącej lęk Inkwizycji. Z tego terytorium wywodzi się dokument, niestety zachowany tylko w fragmentach, który obecnie można obdarzyć mianem "śledztwa z Langwedocji", ponieważ brakuje w nim jakiegokolwiek odniesienia do miejsca i do czasu, w jakim odbyło się to przesłuchanie. Wiele poszlak pozwala jednak przypuszczać, że przynajmniej w fazę dochodzenia zaangażowany był słynny inkwizytor Bernard Gui. Dokument ten jest prawdziwą kopalnią informacji na temat

czynników, które oddziaływały w procesie, pozwalając zrozumieć, w jaki sposób tacy badacze jak Nicolai, HammerPurgstall, ale także wielu innych, wyrobili sobie tak mroczny pogląd na temat ceremonii, które odbywały się wewnątrz Świątyni.

Już w pierwszym zeznaniu, które zachowało się do naszych czasów w całości, ze śledztwa prowadzonego w Langwedocji przesłuchiwany brat, pochodzący z BuisleBaronnies (Drôme) sierżant zwany Wilhelm Collier, opowiadał, że przyjęto go do zakonu podczas normalnej ceremonii, ale natychmiast po jej zakończeniu preceptor zaprzeczył kilku podstawowym dogmatom chrześcijaństwa, jak bóstwo Jezusa i Jego narodzenie z Dziewicy. Następnie otworzył sekretne okno w ścianie kościoła, gdzie był przechowywany bożek ze srebra, który miał aż trzy twarze. Powiedziano mu, że bożek ten jest potężnym protektorem zakonu i posiada moc, aby zapewnić mu każdą łaskę w niebie; następnie nieoczekiwanie ujrzał, jak obok bożka pojawił się tajemniczy czerwony kot: w tym momencie preceptor i wszyscy obecni natychmiast obnażyli głowy i oddali hołd bożkowi, którego imię było Mahomet (Magometum).

Można zauważyć pewien utarty schemat, który nadaje ton procesowi wyznania winy i który powtarza się w przypadku każdego zeznania. W miarę składania zeznań przez templariuszy schemat staje się bogatszy w szczegóły coraz bardziej gorszące, niczym w jakimś straszliwym crescendo. Według brata, którego przesłuchiowano chwilę później, innego sierżanta zwanego Ponce z Alundo, pochodzącego z Montelimar (ponownie z Drôme), bożek ma także rogi, nie jest już tylko zwykłym wizerunkiem, lecz staje się prawdziwym demonem, który realnie istnieje i mówi. Przesłuchiwany prowadzi z nim rozmowy, podobnie jak czyni się to z jakąś osobą, prosi go o pomoc materialną, a on przyrzeka mu wsparcie. Tym razem tajemniczy kot pojawiający się u boku bożka jest czarny, a więc bardziej podobny do tego zwierzęcia, które zgodnie z wyobrażeniami owego okresu towarzyszyło czarownicom. Na rozkaz preceptora diabelskiemu kotu należało oddać cześć i pocałować go w odbyt. Zapoznając się głębiej z materiałem zeznań, można zauważyć, że motyw obscenicznego pocałunku kota pozostaje stałym elementem, podobnie jak kolor zwierzęcia; dochodzą do tego natomiast jeszcze dwa szczegóły o charakterze niewątpliwie "scenograficznym": czarnoksiężski kot znika w cudowny sposób natychmiast po otrzymaniu hołdu od nowego brata zakonnego, a niektórzy wyciągają wniosek, że w istocie chodzi o diabła pojawiającego się pod postacią kota.

Następne przesłuchanie to prawdziwy wstrząs. Oto rycerz Galfryd z Pierrevert, preceptor domu zakonnego z Rue w departamencie Var, opowiedział, że uczestniczył w ceremonii wstąpienia, podczas której obecność - oprócz bożka z czterema twarzami i kotem -

ujawniła się także w pojawieniu się kilku kobiet w czerni, które ukazały się niespodzianie w pomieszczeniu, chociaż drzwi były zamknięte na wszystkie spusty. Według jego wypowiedzi te dziwne kobiety nie miały stosunków cielesnych z braćmi obecnymi na ceremonii, co z pewnością mocno rozczarowało inkwizytorów, którzy szybko jednak powetowali sobie te braki przy następnym przesłuchaniu. Mieli bowiem przyjemność wysłuchiwać zeznań brata Garniera z Luglet w diecezji Langres, który wspomniał, że podczas jego ceremonii wstąpienia - oprócz bożka i kota diabelskiego - pojawiły się także czarownice, które miały moc sprowadzania braci na złą drogę, a następnie znikwały, pozostawiając ich w stanie grzechu śmiertelnego”.

Pytania stawiane w śledztwie były więc skonstruowane według schematu, którego celem jest drażnienie kolejnych”warstw” wysuwanych zarzutów: najpierw wypytuje się oskarżonego o obecność diabła, następnie zadaje się pytanie, czy pojawił się także kot, a gdy odpowiedź była twierdząca, to indaguje się nadal na temat roli, jaką miało to zwierzę w ceremonii i jaka była jego prawdziwa natura. W stosunku do wszystkich tych osób, które wykazywały gotowość, aby odpowiadać twierdząco na to crescendo, kontynuowano zadawanie pytań, wypytując dociekliwie o celebrowanie diabelskiej orgii. Sposób postępowania stosowany w Langwedocji jest wyjątkowy w ramach całego procesu. Osobiście uważam, że w złożonych w tym regionie zeznaniach najbardziej uwidacznia się wpływ inkwizytorów. W tym przypadku winy, którymi obciążono braci zakonnych, są o wiele cięższe od tych, które Filip Piękny wymieniał w swym nakazie aresztowania, a których celem było przecież wydanie wyroku skazującego na templariuszy możliwie jak najszybciej. Same akty przesłuchań obrazują wyraźnie tę tendencję. Najpierw przygotowywano świadków do zeznań za pomocą odpowiednich tortur, potem przez wiele dni dawano im możliwość zastanowienia się (a może i powrotu do sił, aby móc mówić?), wreszcie przesłuchiwano ich ponownie. Czas trwania tego procesu mówi wiele na temat warunków, w jakich on się odbywał. W czasie przesłuchania w Poitiers, prowadzonego od 28 czerwca do 2 lipca 1308 roku, Klemens V z pomocą towarzyszących mu kardynałów przesłuchiwał 72 templariuszy w ciągu pięciu dni. Sam Filip Piękny i inkwizytor Francji Wilhelm z Paryża, zaraz po aresztowaniu, poddali przesłuchaniu w okresie nieco ponad miesiąca - od 19 października do 24 listopada 1307 roku - 138 braci ujętych na obszarze Świątyni Paryża. Śledczy prowadzący dochodzenie w Langwedocji potrzebowali natomiast aż dwa miesiące, aby przesłuchać zaledwie 25 osób. Jest to znak, że przygotowanie świadków do składania zeznań musiało się charakteryzować budzącą wrażenie surowością.

List napisany przez inkwizytora Francji Wilhelma z Paryża do Bernarda Gui, najślynniejszego inkwizytora XIV wieku, informuje go o niektórych działaniach w procesie przeciw templariuszom i wzbudza pewne uzasadnione podejrzenie, że w śledztwie toczącym się w Langwedocji, głównym obszarze działalności Bernarda Gui, nie wzorowano się na teoremacie Wilhelma z Nogaret, lecz prowadzono je według sposobu preferowanego przez budzącego lęk inkwizytora, czyli według schematu koncentrującego się w całości na czarach i wzywaniu demonów.

W akcie oskarżenia napisanym w Paryżu przez prawników królewskich bożek był w istocie wątkiem bardzo marginalnym, a o diable nie ma w nim nawet wzmianki. Natomiast w zeznaniach złożonych przez templariuszy w Langwedocji osobliwy bożek stanowił jedną całość z diabłem pod postacią kota oraz wiedźmami, a opis tych złowrogich obrzędów zajmuje znaczną część tekstu. Przeciwnie, oskarżenie o homoseksualizm na północy Francji jest mocno wyartykułowane, jakby miało to zniszczyć zakon bezpowrotnie. Pojawia się chłopiec gotów zeznać, że Jakub z Molay (mający już ponad sześćdziesiąt lat) miał go wykorzystać trzykrotnie w ciągu jednej nocy. Na południu tymczasem nie wspomina się w ogóle o stosunkach homoseksualnych. Być może wynikało to z bardziej tolerancyjnej mentalności powszechnej albo z prostego faktu, że prowadzący śledztwo woleli skoncentrować się na czymś bardziej „wybuchowym”. W pewnym sensie bożek miał rzeczywiście wiele twarzy: były to różne twarze, czasem wręcz nie do pogodzenia ze sobą, które oskarżyciele odkrywali bądź zakrywali w zależności od gustu i wrażliwości opinii publicznej, na której chcieli wywołać wrażenie.

ROZDZIAŁ DRUGI

„Ecce homo!”

Szczególny charakter sakralny

Po ustaleniu, co w omawianym przez nas zagadnieniu jest wynikiem zamętu, i zweryfikowaniu, skąd pochodziły oskarżenia o wyznawanie islamu i uprawianie czarów, inne opisy odnoszące się do bożka templariuszy wydają się bardzo konkretne: chodzi po prostu o wizerunek człowieka, wykonany z różnych materiałów i przedstawiający nieznanego mężczyznę. To właśnie w tej grupie realistycznych opisów, opisów zwyczajnych przedmiotów sztuki sakralnej, możemy znaleźć najbardziej interesujące informacje. Wizerunek jest najzwyczajniejszym przedmiotem, chociaż wydaje się, że templariusze z jakiegoś powodu uważali go za wyjątkowo cenny. Było wiadomo od razu, że jest to wizerunek, już

podczas pierwszego przesłuchania odbywającego się zaraz po aresztowaniu w październiku 1307 roku. Atmosfera sensacji, która towarzyszyła podaniu do publicznej wiadomości faktu aresztowania templariuszy, zmąciła jednak wszystkim w głowach. Z przekonaniem mówiono o herezji i uprawianiu czarów, dlatego też wszędzie dostrzegano siły tajemne.

Sierzant Rayner z Larchent widział go dwanaście razy podczas dwunastu różnych kapituł generalnych, z których ostatnia odbyła się w Paryżu, we wtorek po święcie apostołów Piotra i Pawła, w lipcu niedługo przed aresztowaniem. Według jego wypowiedzi chodziło o głowę z brodą, której bracia oddają cześć, całują ją i nazywają ich "zbawicielem"; nie wiedział, gdzie była schowana ani kto jej strzegł, ale sądził, że zadanie przechowywania jej spoczywało na Wielkim Mistrzu albo dostojniku, który przewodniczył kapitule generalnej. W Paryżu widzieli go także bracia: Gautier z Liencourt, Jan z La Tour, Jan le Duc, Wilhelm d'Erreblay, Raul z Gizy i Jan z Le Puy. Ceremonii wystawienia przewodniczył Wielki Mistrz bądź częściej wizytator Zachodu Hugon z Perraud, który w hierarchii templariuszy znajdował się na drugim miejscu, biorąc pod uwagę prawo do wydawania rozkazów. Kiedy główny przełożony Świątyni przebywał na Bliskim Wschodzie, stawał się on de jacto najbardziej wpływowym templariuszem Europy. W wyniku przesłuchania Hugon z Perraud potwierdził istnienie tego wizerunku i jego kultu, jednak nie mówił nic o szczegółach, które byłyby użyteczne dla naszych, współczesnych celów badań historycznych:

Przesłuchiwany na temat głowy, o której była wzmianka powyżej, powiedział pod przysięgą, że widział wizerunek, trzymał w rękach i dotykał w okolicach Montpellier podczas kapituły. Zarówno on, jak i inni bracia obecni tam oddawali mu cześć; on jednak udał tylko, że oddaje mu cześć, czyniąc to ustami, a nie sercem, i nie potrafi powiedzieć, czy inni oddawali mu cześć sercem. Zapytany o to, gdzie znajduje się wizerunek, powiedział, że pozostawił go bratu Pierre'owi Allemandin, który był preceptorem domu w Montpellier. Nie wie jednak, czy funkcjonariusze królewscy go znajdą. Powiedział, że głowa ta miała cztery podpory, dwie z przodu i dwie z tyłu.

W zeznaniu nie wspomina się szczegółowo o tym, jakiego rodzaju był ten wizerunek, ale wzmianka o czterech podporach wydaje się wskazywać na to, że był to przedmiot trójwymiarowy, podtrzymywany na wspornikach. Na koniec przesłuchania z ramienia Kurii Rzymskiej latem 1308 roku papież odebrał prawo prowadzenia dochodzenia inkwizytorom i zarządził, że w przypadku każdego terytorium będą one spoczywać w rękach specjalnych komisji utworzonych z inicjatywy biskupów lokalnych. Byli oni osobami niezależnymi od króla Francji i planów strategów królewskich; ich zadaniem, powierzonym im przez papieża, było po prostu rzucenie światła na tę skomplikowaną sprawę. Niektórzy z tych biskupów

mogli co prawda żywić antypatię do templariuszy z powodów osobistych (wiadomo było na przykład, że w wielu miejscach dawała o sobie znać zazdrość w stosunku do tego zakonu rycerskiego: bogatego, potężnego i obdarzonego wieloma przywilejami), nie mieli jednak żadnej bezpośredniej korzyści w prześladowaniu ich, jak miało to miejsce w przypadku króla Francji i osób zgromadzonych wokół Wilhelma z Nogaret. Nie jest przypadkiem, że podczas przesłuchań prowadzonych przez biskupów wiele z oskarżeń puszczonego w obieg we wcześniejszym okresie poczęło się chwiać, podczas gdy inne od razu były traktowane bardziej racjonalnie i w sposób bardziej wiarygodny.

Biskupi diecezjalni pojęli stosunkowo szybko, że cieszący się złą sławą bożek templariuszy w formie głowy jest w rzeczywistości relikwiarzem w formie popiersia, zawierającym relikwie jakiegoś świętego, czyli przedmiotem bardzo rozpowszechnionym w sztuce sakralnej średniowiecza. Stało się to ewidentne w momencie, gdy przeprowadzenie przesłuchań przeszło w ręce papieża, i już podczas tego samego dochodzenia odbywającego się w Poitiers w czerwcu 1308 roku Klemens V mógł przekonać się o tym osobiście. W jego obecności brat sierżant Etienne z Troyes opowiadał:

Odnosnie do głowy powiedział, że było zwyczajem zakonu zwoływać każdego roku kapitułę generalną z okazji święta apostołów Piotra i Pawła, i jedna z nich odbyła się w Paryżu w ciągu tego roku, w którym wstąpił do zakonu. Brał udział w kapitule przez wszystkie trzy dni jej trwania: zaczynała się w pierwszej części nocy i trwała aż do godziny pierwszej za dnia. W czasie pierwszej nocy trwania kapituły przyniesiono głowę: niósł ją kapłan, który posuwał się naprzód poprzedzany przez dwóch współbraci niosących w rękach wielkie, zapalone pochodnie i świece na srebrnych świecznikach. Kapłan postawił głowę na ołtarzu na dwóch poduszkach i jedwabnej serwecie. Wydawało mu się, że była to głowa ludzka od szczytu czaszki aż do stawu nagłośni; miała białe włosy i nie była niczym nakryta. Także twarz była ciałem człowieka i wydawała mu się bardzo sina i wyblakła, ze splątaną brodą o ciemnych i siwych włosach, podobną do brody noszonej przez templariuszy. Wtedy wizytator zakonu powiedział: "Oddajemy mu cześć i składamy mu hołd, ponieważ to on nas uczynił i on jest tym, który może złożyć nas z urzędu". Wszyscy zbliżyli się w postawie najwyższego szacunku, złożyli mu hołd i oddali cześć tej głowie. Słyszał, jak ktoś mówił, że czaszka ta należała do pierwszego Mistrza zakonu, brata Hugona z Payns: od jabłka Adama aż kości ramiennych była ona pokryta złotem i srebrem inkrustowanym cennymi kamieniami.

Ten sam przedmiot, z dużym prawdopodobieństwem relikwiarz założyciela Hugona z Payns, widział zawsze w Świątyni Paryża brat Bartholome Bocher z diecezji Chartres, który wstąpił do zakonu w roku 1270. Według jego słów relikwiarz nie znajdował się zawsze w tym

miejscu, lecz przywożono go tam tylko na pewne szczególne okazje, aby następnie zabrać go i ukryć w innym miejscu:

Templariusz, który przyjął go do zakonu, pokazał mu pewną głowę, którą ktoś umieścił na ołtarzu w małej kaplicy znajdującej się przy świątyni, oraz wazy z relikwiami. Powiedział mu, że kiedy znalazłby się w trudnościach, to powinien wzywać pomocy tej głowy. Po zapytaniu go o to, w jaki sposób była zrobiona ta głowa, odpowiedział, że była podobna do głowy templariusza z nakryciem głowy oraz siwą i długą brodą; nie potrafił jednak powiedzieć, czy była ona zrobiona z metalu, drzewa, kości, czy też było to ciało człowieka, a jego preceptor nie poinformował go, czyja była to głowa. Nie widział jej wcześniej ani też nie zobaczył jej nigdy w późniejszym okresie, chociaż później przebywał w tej kaplicy przynajmniej sto razy.

Opowiadanie mogło mieć pewną siłę sugestii, zwłaszcza że było przytoczone w obecności papieża, któremu udało się po raz pierwszy wysłuchać osobiście templariuszy po prawie roku donosów i pogłosek krążących wśród ludu. Sceneria tego tajemnego kultu, który wynurzał się z ciemności przy migocącym świetle dużych woskowych świec, nie mogła z pewnością zrobić dobrego wrażenia, ale świadectwo to samo w sobie nie było szczególnie poważne. Templariusze zastrzegli sobie prawo do specjalnego kultu swego założyciela Hugona z Payns, czcili go jako wielkiego świętego podczas niektórych liturgii nocnych i wystawiali na pokaz jego zmumifikowaną (a może zakonserwowaną w naturalny sposób) głowę, umieszczoną we wnętrzu wielkiego i drogiego relikwiarza. Hugon z Payns nie został nigdy oficjalnie kanonizowany i dla Kościoła pozostawał po prostu chrześcijaninem, który przeżył nawrócenie i wybrał służbę Bogu, podobnie jak uczyniła to niezliczona ilość nieznanymi mnichów i kapłanów. Klemens V jako kanonista niechętnie konstatawał, że zarezerwowano mu tak bardzo uroczyste oddawanie czci. W średniowieczu ludzie byli jednak przyzwyczajeni do uważania za święte osoby wyróżniające się prostym stylem życia, jeszcze przed ich śmiercią. Gdy umarli, ich ciała, wraz z przedmiotami codziennego użytku, stawały się natychmiast cennymi relikwiami, ludzie zaczęli się modlić na ich grobach, prosić o cuda i wstawiennictwo u Boga, nie czekając, aż urzędy kościelne zakończą długą i mozolną drogę gromadzenia dokumentów i dowodów świętości. Święci stawali się świętymi przez aklamację ludu. Kiedy w Asyżu rozeszła się pogłoska, że Franciszek umiera w Porcjunkuli, lud zaczął się modlić, czekając niecierpliwie, aby zobaczyć stygmaty na jego ciele i oddać im cześć. Jest to powszechnie znany i szczególny przypadek, ale można podać także wiele innych, podobnych.

Myśl, że kontakt z ciałem świętych przynosi efekty dobroczynne, nie była na pewno nowością w średniowieczu, lecz należała do najstarszej tradycji chrześcijańskiej. Dzieje Apostolskie mówią o tym, że ludzie przysuwali się do Pawła, gdy głosił kazanie, i dotykali jego szat chustkami i przepaskami z materiału, ponieważ byli przekonani, że w ten sposób wejdą w posiadanie relikwii. Charyzmat Boży apostoła przechodził z jego ciała na jego szaty, zaś z jego szat na chustki i przepaski. Fakt oddawania czci założycielowi zakonu Hugonowi z Payns, który według templariuszy był człowiekiem świętym, mógł skłonić Klemensa V do udzielenia im napomnienia i do nakazania im, aby ograniczyli kult do bardziej wstrzemięźliwej pobożności; papież był jednak daleki od tego, aby przejawy tego kultu traktować jako potwierdzenie hipotezy herezji.

Wiadomo również, że podczas przesłuchania na Cyprze, powierzonego komisji złożonej z lokalnych dostojników kościelnych, będących daleko, tysiące kilometrów, od Filipa Pięknego i jego nacisków, templariusze zaprzeczyli zdecydowanie wszystkim oskarżeniom dotyczącym niewłaściwych zachowań i idei w sprawach wiary. Ponadto na przesłuchaniu stawilo się wielu dostojników świeckich, księży i przedstawiciele innych zakonów, którzy oświadczyli, że templariusze sprawują kult z przykłądną pobożnością. Ze świadectw tych wynika, że w Wielki Piątek odprawiali oni bardzo szczególne i sugestywne nabożeństwa adoracji krzyża i że uczestniczyły w nich także inne osoby, które nie należały do zakonu. Pewien kapłan powiedział, że uczestniczył w mszach odprawianych w kościołach Świątyni i czasem także odprawiał je wspólnie z kapelanami zakonu: formuły konsekracji hostii były wymawiane tak, jak należy to czynić. Pewien dominikanin, który często przebywał z posługą kapłańską u templariuszy, powiedział, że słucał spowiedzi wielu z nich - zarówno na Cyprze, jak i we Francji - i nikt z nich nie miał na sumieniu zachowań heretyckich.

Oskarżenie o bałwochwalstwo i brak wiary w obecność Chrystusa w komunii świętej okazało się bardzo szybko wielkim blefem. A przecież tworząc je, Wilhelm z Nogaret i jego pomocnicy posłużyli się tą samą metodą, jaką zastosowali w przypadku innych posądzeń, czyli kryterium półprawdy. Punktem wyjścia był maleńki załączek faktów mających pokrycie w rzeczywistości, okrucz prawdy, która stosownie do potrzeby chwili była nagłaśniana i zniekształcana.

Intuicje

W roku 1978 historyk Ian Wilson opublikował książkę pod tytułem Całun Turyński. Całun Jezusa Chrystusa. Książka była napisana w sposób interesujący, a także stosunkowo dobrze udokumentowana. W publikacji tej autor przedstawiał historię całunu na przestrzeni prawie dwóch tysięcy lat, od opisów w Ewangeliach aż po ostatnie badania naukowe w roku

1973, i w ramach tej niezwykle szerokiej perspektywy autor poświęcał rozdział liczący około piętnastu stron, aby zaprezentować swą nadzwyczaj śmiałą teorię. W historii całunu istnieje okazały „dziura”, okres około półtora wieku (od 1204 do 1353), podczas którego przedmiot ten w pewnym sensie znika ze źródeł historycznych. Na podstawie różnych dowodów - wyprowadzonych z dokumentów oraz z przedmiotów należących do templariuszy - autor utrzymuje, że nieuchwytny „bożek” czczony przez templariuszy był w rzeczywistości całunem przechowywanym dzisiaj w Turynie, złożonym w większej części i zamkniętym w specjalnie zrobionym w tym celu relikwiarzu, zbudowanym tak, by można było oglądać utrwalone na płótnie oblicze. Teoria wzbudziła sensację, ponieważ w jej świetle stawały się natychmiast zrozumiałe także różne niejasne punkty w sprawie templariuszy. Wilson nie był jednak specjalistą od tego zagadnienia, znał tylko najbardziej znane źródła procesu, dlatego też nie miał dostępu do bardzo wielu cennych informacji. W każdym razie na tych piętnastu stronach ujawniła się intuicja budząca olbrzymie zainteresowanie z historycznego punktu widzenia i bardzo dużą ciekawość we wspólnocie naukowców, której nie mogło jednak zaspokoić kilka przedłożonych dowodów. W ostatnich latach źródła procesu przeciw templariuszom były badane w sposób o wiele bardziej wszechstronny i bardziej systematyczny w porównaniu z badaniami przeprowadzonymi w przeszłości, a to pozwoliło nam ujawnić prawdy historyczne, które w swoim czasie wydawały się wątpliwe, niewyraźne, prawie niczym cienie. Czy mogą one nam coś powiedzieć na temat związku między templariuszami a całunem? Na szczęście tak; co więcej, mogą powiedzieć wiele. Wszystko to dzięki przede wszystkim kilku świadectwom, które pozostawały jakby „ukryte” w dokumencie autentycznym, lecz mało znanym specjalistom. Jest to dokument, który w całościowej perspektywie procesu miał mniejsze znaczenie z politycznego i sądowego punktu widzenia, natomiast pełni pierwszoplanową rolę w badaniach nad duchowością templariuszy. Są to informacje, które specjaliści od historii templariuszy cytują z trudem w swych publikacjach, i to samo następuje w dziedzinie badań, w której już od ponad stulecia stosuje się metody naukowe: jest to sydonologia, czyli całość badań nad całunem z Turynu. Uważam za właściwe przedstawienie czytelnikowi tych nowych dowodów wynikających ze źródeł zakonu templariuszy, zajmując się na razie tylko ich prezentacją i nie odnosząc się wcale do teorii Wilsona. Jest to nieodzowne dla uniknięcia sytuacji, w której obie formy prezentacji nakładałyby się na siebie i warunkowały nawzajem. Zapoznamy się więc z samymi źródłami, tak jak ujawniają się one badaczowi, który je czyta po raz pierwszy, bez wpływów albo idei powziętych z góry, które mogą pochodzić z lektury innych badań. Następnie cały materiał

zostanie skonfrontowany z intuicjami wyrażonymi swego czasu przez Iana Wilsona, a wtedy będziemy mogli zweryfikować wynikającą z tego scenierię historyczną.

Podczas całej drugiej fazy procesu przeciw templariuszom, czyli od przełomu po lecie 1308 roku, kiedy to przesłuchania były już prowadzone przez biskupów diecezjalnych, prowadzący dochodzenie są już prawie pewni, że "głowa" templariuszy to w rzeczywistości relikwiarz jakiegoś świętego. Z tego względu stawiają wiele szczegółowych pytań w tym kierunku. Znaczącym przykładem jest historia sierżanta Wilhelma d'Erreblay, w pewnym okresie jałmużnika króla Francji, który został przesłuchany przed komisją biskupów prowadzącą dochodzenie w Paryżu w latach 1309-1311. Człowiek ten widział wiele razy piękny relikwiarz ze srebra wykorzystywany w zwyczajnych liturgiach Świątyni, wystawiony celem adoracji dla wiernych, którzy przybywali modlić się w kościołach zakonu. Niektórzy mówili, że był to relikwiarz, w którym znajdowały się szczątki jednej z jedenastu tysięcy dziewic, towarzyszek świętej Urszuli, które poniosły śmierć męczeńską w Kolonii, i tak też wierzył on sam. Po aresztowaniu pod wpływem atmosfery oskarżenia stwierdził jednak, że było tam coś dziwnego. Wydawało mu się bowiem, iż przypomina sobie, że ten relikwiarz miał potworny wygląd, że miał wręcz dwie twarze, z których jedna miała brodę. We współczesnym historyku budzi się natychmiast podejrzenie, że na świadka tak bardzo negatywnie wpłynął cały kontekst procesu, a jego wywody są pełne niedorzeczności. Jak można bowiem wystawić do adoracji ze strony wiernych wizerunek świętej młodej dziewczyny z dwiema twarzami i w dodatku z brodą? W rzeczywistości ten templariusz widział i opisał dwa różne przedmioty: informację o relikwiarzu jednej z jedenastu tysięcy dziewic słyszał od innych współbraci, podczas gdy ten, który widział na własne oczy, prawdopodobnie miał rzeczywiście dwie twarze. Jego opis jest identyczny z miniaturami namalowanymi przez malarza Matteo Planisio na manuskrypcie watykańskim łacińskim 3550, gdzie Stwórca jest przedstawiony z dwoma twarzami, jedną - męż - czynny z brodą (Osoba Ojca) i drugą - młodego chłopca (Syna), która może wydawać się podobna do twarzy kobiety. Wspaniała miniatura neapolitańska jest tylko przykładem, ale nie jest wykluczone, że wiele podobnych przedmiotów znajdowało się w kościołach średniowiecza.

Biskupi uczestniczący w pracach komisji wysłuchali tego zeznania i natychmiast zarządzili jego skontrolowanie. Odkryto w ten sposób, że w Świątyni Paryża rzeczywiście znajdował się relikwiarz z kośćmi jednej z jedenastu tysięcy dziewic; nie miał on jednak potwornego wyglądu, ale przeciwnie - był piękny i przedstawiał naturalne piękno dziewczęcej twarzy:

W tej sytuacji nakazano przybyć na przesłuchanie dozorca, któremu powierzono wszystkie dobra Świątyni po aresztowaniu, niejakiego Wilhelma Pidoye, który razem z innymi zarządcami przechowywał skrzynie z relikwiami, które znaleziono w domu templariuszy w Paryżu. Dozorca otrzymał rozkaz, aby dostarczyć na proces wszystkie przedmioty w formie głowy - czy to z metalu, czy z drzewa - które znaleziono w tym budynku. W związku z tym dostarczył komisarzom wielki, piękny relikwiarz ze srebra powlekanego złotem, który przedstawiał postać dziewczyny. W środku znajdowały się kości, które zdawały się być częścią czaszki, zaszyte w tkaninę z białego lnu, a następnie owinięte w inną tkaninę koloru czerwonego. Był także mały skrawek pergaminu przyszyty do materiału, na którym było napisane "głowa LVIII M". Wydawało się, że głowa należała do dziewczynki, a niektórzy mówili, że były to relikwie jednej z jedenastu tysięcy Dziewic. Jako że dozorca utrzymywał, że nie ma innych przedmiotów w formie głowy, komisarze kazali wezwać Wilhelma d'Erreblay i zarządzili jego konfrontację z tym relikwiarzem. Templariusz powiedział jednak, że nie był to ten sam relikwiarz, i powątpiewał w to, aby ten relikwiarz widział kiedykolwiek wcześniej w domu Świątyni.

Przekonanie się o tym, że nieuchwytna głowa, której templariusze oddawali cześć, była w rzeczywistości relikwiarzem ze srebra, osłabiło teoremat oskarżenia, ponieważ spowodowało podejrzenia, że także inne winy przypisane templariuszom mogły być owocem podobnego blefu. Tak czy inaczej komisarze zorientowali się, że w zakonie miały miejsce szczególnego rodzaju nabożeństwa liturgiczne i formy kultu, co do których bracia zakonni nie wiedzieli jednoznacznie, z czym mają do czynienia.

Sierzant Piotr Maurin został przyjęty do zakonu przez Wielkiego Mistrza Tybalda Gaudina około roku 1286, w pomieszczeniu wielkiego domu templariuszy w ChateauPelerin w Ziemi Świętej. Przy tej okazji nie pokazano mu żadnych wizerunków, zainteresował go jednak wręczony mu sznurek z lnu, którego miał nigdy nie ściągać, chociaż nie wiedział wcale, do czego miałby on służyć. Po upływie dwóch albo trzech lat, gdy znajdował się w ChateauPelerin, dowiedział się od współbrata Piotra z Vienne, że w głównym skarbcu Świątyni w Akce był przechowywany tajemniczy przedmiot kultu oraz że ten przedmiot miał kształt głowy. Wszystkie sznurki templariuszy były poświęcane poprzez zetknięcie ich z tą głową. Mówiono, że relikwiarz ten zawierał kości czaszki świętego Błażeja albo świętego Piotra; on jednak od tego dnia zaczął odczuwać silny dyskomfort i nie chciał już nosić sznurka na swoim ciele.

Skarbnik Świątyni Paryża Jan z La Tour widział natomiast obraz, który wisiał w kaplicy zakonu obok znajdującego się w centrum krucyfiksu. Nie udało mu się dowiedzieć,

jaka osoba była na nim przedstawiona, i sądził, że jest to wizerunek jakiegoś świętego. Był jednak pewny, że człowiek przedstawiony na obrazie nie był templariuszem, ponieważ nie nosił stroju typowego dla templariuszy. W każdym razie jego wygląd nie był wcale straszny i choć nie chciał oddawać mu czci, to nie budził w nim żadnego lęku.

Trop wizerunku mężczyzny przedstawiającego postać osoby, której tożsamość nie jest znana templariuszom, budzi z pewnością największe zainteresowanie. Wydaje się prowadzić bezpośrednio do podobizny świętego, któremu templariusze oddawali cześć z wielką pobożnością, chociaż tylko niewielu spośród nich wiedziało, o kogo chodzi. W istocie nie było łatwo go rozpoznać; ten, kto go widział, ma trudności, aby go opisać. Kim jest ta osoba?

Wizerunek mężczyzny na płótnie

Relacja z przesłuchania templariuszy uwięzionych w Carcassonne, przeprowadzonego jesienią 1307 roku, czyli zaledwie kilka miesięcy po aresztowaniu, przetrwała dzięki jednemu dokumentowi zachowanemu w Archiwach Narodowych Paryża. Chodzi o papierową kopię napisaną w celu wysłania jej do Filipa Pięknego. Materiał jest bardzo przyciemniony i niezbyt dobrze zachowany, ale okazuje się łatwy do odczytania dla osoby, która jest obeznana ze źródłami procesu przeciw zakonowi Świątyni. Na początku XX wieku Heinrich Finke zdecydował się na jego publikację, ale natrafił na olbrzymie trudności i w swym wydaniu dokumentów procesu templariuszy ostatecznie podjął bardzo kontrowersyjną decyzję, aby dokonać transkrypcji tylko niewielkich wycinków, które udało mu się zidentyfikować, szczątków zdań, którym towarzyszyła pewna ilość wielokropków, aby wskazać te fragmenty, których nie udało mu się odczytać. Te krótkie fragmenty po łacinie, zmieszane z wywodami w języku niemieckim, tworzą dziwaczny patchwork różnych języków, a całość jest odległa od norm stosowanych w pracy naukowej przez współczesnego historyka i szczerze mówiąc, jest w stanie zdezorientować każdego. Być może z tego powodu historycy do tej pory pomijali to źródło. W swoim czasie przedstawiłam i omówiłam je razem z wieloma innymi w mojej pracy doktorskiej z historii na Uniwersytecie Weneckim (1996-1999), kiedy to gromadziłam wszystkie zachowane świadectwa z procesu, aby dokonać analizy systematycznej danych i porównać je ze sobą. Od samego początku wydawało mi się, że treść tego dokumentu ma duże znaczenie, ponieważ - moim zdaniem - pokazuje w połączeniu z wieloma innymi danymi, że nieuchwytny "bożek" templariuszy był doskonale znanym przedmiotem o jasno określonej tożsamości. W istocie chodziło o pewien wizerunek i można przynajmniej wyrazić przekonanie, że nie był to jakikolwiek wizerunek.

Templariuszowi Wilhelmowi Bos, przyjętemu do zakonu około roku 1297 w komandorstwie templariuszy w Perouse w pobliżu Narbony, pokazano "bożka", który miał

bardzo szczególną postać. Był to wizerunek różniący się od innych, które były w większości relikwiarzami w formie płaskorzeźby. Bos zobaczył monochromatyczny rysunek, ciemny rysunek na jasnym tle tkaniny, który na pierwszy rzut oka był kawałkiem płótna bawełnianego („*signum fustanium*”).

I natychmiast zaprowadzono go do tego samego miejsca i ukazano mu coś w rodzaju rysunku na tkaninie z płótna bawełnianego. Zapytany, czyją postać przedstawia, odpowiedział, że był do tego stopnia oszołomiony tym, co nakazano mu robić, że mógł go widzieć z ledwością, ani nie był w stanie rozróżnić, kim była osoba przedstawiona na tym rysunku. Wydawało mu się jednak, że była ona stworzona jakby z bieli i czerni, i oddał jej cześć.

Podobny przedmiot widział Jan Taylafer, przesłuchany w Paryżu podczas długiego śledztwa w latach 1309-1311. Także jego zdaniem był to rodzaj rysunku o bardzo nieokreślonej formie, uczyniony farbą, która wydawała mu się czerwona. Zdołał odróżnić tylko wizerunek twarzy, która miała naturalne rozmiary głowy człowieka. Także i on nie potrafił stwierdzić, czy był to rysunek, czy też nie, jednak także i w tym przypadku chodziło o wizerunek wykonany tylko jednym kolorem. Inny templariusz, zwany Arnaut Sabbatier, powiedział natomiast jednoznacznie, że pokazano mu całą postać człowieka na płótnie lnianym i nakazano mu, aby oddał jej cześć, całując trzykrotnie stopy („*quoddam lineum habentem ymaginem hominis, quod adoravit ter pedes obsculando*”).

Dokument jest autentyczny i fragment ten odczytuje się bez problemu, pomimo nie najlepszego stanu zachowania. Bez próby zniekształcenia rzeczywistości historycznego źródła pokazuje on, że niektórym templariuszom na południu Francji pokazano „bożka” identycznego z Całunem Turyńskim, płótnem, na którym widać postać człowieka. Nie ma również wątpliwości co do tego, że wizerunek przedstawiał całe ciało, a nie tylko głowę; świadectwo mówi bowiem jednoznacznie, że templariusze oddawali mu cześć, całując stopy. Nie sposób zaprzeczyć, że całun, widziany po raz pierwszy przez osobę, która go w ogóle nie zna ani nie ma pojęcia o tradycji, która go otacza, wydaje się rodzajem odbicia albo wielkiej, nieokreślonej plamy na długim płótnie lnianym; jest to odbicie bardzo wyraźne i bez konturów, ujawniające rysy ciała ludzkiego. Wizerunek ma właściwość stawania się widzialnym albo niewidzialnym w zależności od odległości, w której się znajduje osoba patrząca na niego, i przywołuje natychmiast w pamięci różne świadectwa templariuszy, którzy przypominali sobie, że obraz ten właśnie w taki sposób nieoczekiwanie „pojawiał się” i „znikał”. Istnieje rzeczywiście sporo poszlak sugerujących, że wiele opisów wizerunku templariuszy to nic innego jak opis Całunu Turyńskiego, wyrażony w sposób

fragmentaryczny i nieścisły przez osoby, które miały sposobność, aby widzieć go przez chwilę i w większości przypadków wtedy, gdy był złożony w relikwiarzu, z którego była widoczna tylko głowa. Nie możemy również zapomnieć, że ceremonie templariuszy miały miejsce w pierwszych godzinach poranka, kiedy słońce jeszcze nie wzeszło, w związku z czym przedmiot ten był widziany w ciemnych pomieszczeniach przez osoby, które w zdecydowanej większości nie miały bladego pojęcia o tym, co to jest. Świadek Arnaut Sabbatiera opisuje natomiast w sposób jednoznaczny wystawienie na widok publiczny prawdziwego całunu, w momencie gdy płótno było w całości rozłożone, tak aby było możliwe zobaczenie wizerunku całego ciała. Opisuje także szczegóły liturgii adoracji, która przewiduje trzykrotne ucałowanie odbicia stóp; interesujące jest, że jest to ten sam gest, który spełnił z najwyższą pobożnością święty Karol Boromeusz i orszak towarzyszących mu kapłanów podczas ich słynnej pielgrzymki do całunu, jaką odbyli pieszo z Mediolanu do Turynu w październiku roku 1578. Jezuita Francesco Adorno, który towarzyszył świętemu Karolowi i napisał relację z tego wydarzenia, wiedział dobrze, co było mu dane oglądać, a w każdym razie dał świadectwo temu, że był zupełnie osłupiały i jakby ogłuszony, znajdując się przed całunem. Jest to ten sam rodzaj wzruszenia, które opisywało wielu templariuszy podczas procesu. Jezuita widział bowiem wcześniej pięknie wykonaną, identyczną kopię całunu, którą nakazał sporządzić właściciel, książę Sabaudii Emanuel Filibert, oryginał był jednak czymś całkowicie innym: wizerunek na Całunie Turyńskim robił wrażenie, że jest to żywy i cierpiący człowiek, który wydaje ostatnie tchnienie. Templariusze oddawali cześć całunowi w taki sam sposób, w jaki czcił go święty Karol Boromeusz mniej więcej trzy wieki później, a przynajmniej dokonywali tego ci z nich, którzy dostąpili przywileju, aby kontemplować autentyczną relikwię, a nie jedną z wielu kopii znajdujących się w komandorstwach zakonu. Według Adorno święty Karol z kilkoma innymi osobami ucałowali także ranę boku, oprócz ran widocznych na stopach, i z tonu rozżalenia, który wyczuwa się w jego słowach, można wnioskować, że ten wielki przywilej go nie spotkał. Na razie nie wiemy, czy templariusze mieli zwyczaj całowania także boku; brat, który pozostawił nam świadectwo tego kultu, znajdował się nisko w hierarchii zakonnej, wszystko więc skłania mnie do tego, aby przypuszczać, że przywilej całowania boku - jeśli takowy istniał - mógł być zarezerwowany wyłącznie dla wyższych dostojników zakonnych.

Przebitą ranę Chrystusa, z którego - według Ewangelii świętego Jana - wypłynęły krew i woda, od najdawniejszych czasów budził wzruszenie u wielu chrześcijan. Byli oni przekonani o jego olbrzymiej wartości i o tym, że był w pewien sposób znakiem boskości Jezusa. Według niektórych znawców Pisma Świętego sam ewangelista już w swym

opowiadaniu o tym zdarzeniu uwydatnia jego znaczącą teologiczną wagę, bowiem w jego kulturze woda jest symbolem Ducha Świętego. Według tradycji chrześcijańskiej z tej to właśnie rany narodził się Kościół, tak jak rodzi się dziecko jako owoc bólu i miłości matki. Większość braci była niewykształcona, ale wśród dygnitarzy zakonnych znajdowały się z pewnością osoby bardzo wykształcone. Jako przykład możemy podać poetę Ricautu Bonomela, który napisał bardzo popularny wiersz liryczny poświęcony klęsce chrześcijan w Ziemi Świętej, albo kapelana Piotra z Bolonii, który był bardzo zdolnym prawnikiem i starał się bronić swój zakon w czasie procesu. Tak czy inaczej nie trzeba było wielkiego intelektualisty, aby pojąć, że ta rana przebitego boku była źródłem Eucharystii sprawowanej przez księdza na ołtarzu właśnie poprzez zmieszanie wina i wody, na pamiątkę tego fragmentu Ewangelii.

Wiele było powodów - wyjaśnię je obszernie w dalszej części książki - dla których templariusze byli pod głębokim wrażeniem tej rany w boku. W ich oczach miała ona nieocenioną wartość. Być może uważali ją za zbyt świętą, aby każdy mógł ważyć się ją dotknąć, a już z pewnością nie templariusz nisko stojący w hierarchii, jakim był człowiek, który zostawił świadectwo na ten temat podczas śledztwa w Carcassonne. Wiadomość, że templariusze oddają cześć wizerunkowi mężczyzny na kawałku tkaniny, najwyraźniej stała się głośna i ostatecznie wzbudziła ciekawość zwykłych ludzi, być może o wiele większą, niż moglibyśmy wnioskować na podstawie źródeł. De facto nowina ta została zanotowana w Kronice SaintDenis, wielkiej księdze zapisków prowadzonej przez opactwo paryskie, które w szczególny sposób było związane z monarchią francuską. Dla mnichów SaintDenis”bożek” templariuszy nie był ani obrazem diabła, ani wizerunkiem Mahometa, lecz raczej opisywano go zasadniczo pod dwoma różnymi postaciami:

I wkrótce później zaczęli adorować fałszywego bożka. Według niektórych z nich bożek ten był wykonany ze skóry ludzkiej bardzo starodawnej, która wydaje się zabalsamowana (une vieille peau ainsi comme toute embasmeć), albo był pod postacią czystego płótna (toile polie): w nim templariusze pokładają ich niezwykle podłą wiarę i w niego wierzą ślepo.

Kwestia cieszącego się złą sławą bożka czczonego przez templariuszy była zatem prawdziwym niepowodzeniem oskarżenia, szczególnie gdy podjęto próby odmalowania tego przedmiotu w ciemnych barwach, jako rzecz pozostającą w związku z uprawianiem czarów. Nogaret przeczuł to od samego początku. Podczas pierwszego przesłuchania prowadzonego w Paryżu przez inkwizytora Francji teren został w tej materii próbnie wybadany. Templariuszy, którzy wiedzieli coś na ten temat, było jednak niewielu, a ich relacje - niezwykle mętne,

dlatego też prawnicy królewscy zdecydowali się pominąć tę sprawę i skoncentrowali się na oskarżeniach, które prawie wszyscy bracia byli gotowi potwierdzić. Inkwizytorzy z południa Francji, prawdziwi fachowcy w procesach o czary, przypisali wizerunkowi templariuszy cechy wcielonego zła, zgodnie z tym, co było szczególną cechą ich mentalności. Być może działali oni w złej wierze albo sami byli uwarunkowani swoim smutnym zawodem, będąc w pewnym sensie więźniami tych upiorów, które rodziły się w ich umysłach w czasie słuchania wyznań tych nieszczęśników. W każdym razie idea "bożka" jako obrazu diabła albo wizerunku Mahometa nie wyszła daleko poza wielkie śledztwo w Langwedocji, które było bez wątpienia najbardziej krwiożercze. Później, kiedy po lecie 1308 roku papieżowi Klemensowi V udało się powierzyć przesłuchania komisjom złożonym z miejscowych biskupów, natura "bożka" zaczęła się coraz bardziej krystalizować i w oparciu o zebrane fakty tożsamość obu przedmiotów, które służyły do celów liturgicznych, stawała się coraz wyraźniej widoczna. Pierwszym z nich był relikwiarz wykonany w formie płaskorzeźby, który zawierał relikwie jakiegoś świętego; drugim - przedziwne płótno lniane, na którym była odcisnięta cała postać człowieka, postrzegana jako rysunek monochromatyczny, jako rodzaj odbicia o niewyraźnych rysach.

Siła kontaktu

Kogokolwiek przedstawiał wizerunek, któremu templariusze oddawali cześć, był on uważany za kogoś tak świętego i potężnego, że - w pewnym momencie, który trzeba jeszcze precyzyjnie określić - uznano za odpowiednie postępować w taki sposób, aby jego charyzmat mógł fizycznie chronić templariuszy przez całe ich życie. A wszystko to miało dokonywać się nawet bez ich wiedzy, dzięki małemu przedmiotowi, który zawierał i przekazywał pochodzącą od niego moc. W aktach procesu znajduje się wiele świadectw, które przypisują sznurkowi z nici lnianych noszonemu przez templariuszy szczególny charakter sakralny, pochodzący z kontaktu z przedmiotem godnym największej czci. Jedynie niewielu spośród nich wiedziało, że sznurek ten został uświęcony mocą czegoś, co było niezwykle cenne, a w ramach tej mniejszości ktoś był świadomy, że owe sznurki same były potężnymi relikwiami, ponieważ zostały uświęcone dzięki kontaktowi z tajemniczym "bożkiem".

Zwyczaj noszenia zawsze, także nocą, lnianego sznurka na koszuli wprowadził już święty Bernard w regule templariuszy zatwierdzonej w Troyes w roku 1129. Miał on nade wszystko wymiar symboliczny, ponieważ pełnił rolę przypomnienia, aby przestrzegać ślubu czystości. Udawanie się na spoczynek w spodniach i w koszuli związanej pasem oznaczało, że w gruncie rzeczy spano w ubraniu, co uważano za coś wysoce stosownego ze względu na to, że w sypialniach łóżka współbraci stały jedno obok drugiego. Światła małych lampek

oliwnych płonęły przez całą noc, aby chronić intymność osób o uczciwych intencjach, zniechęcając ludzi o wszelkich wrogich zamiarach oraz szukających okazji do nieprzyzwoitych spotkań.

Z upływem czasu zatarła się jednak świadomość tego starodawnego znaczenia, i to do tego stopnia, że w epoce procesu jedynie nieliczni byli w stanie go sobie przypomnieć. W XIII wieku zrodziła się nowa tradycja symboliczna związana ze sznurkiem, rozprzestrzeniając się z uwagi na fakt, że tradycja pierwotna była już zapomniana. Już około roku 1250 templariusze mieli zwyczaj poświęcania sznurów swych szat, dbając o to, aby miały styczność z najważniejszymi miejscami Ziemi Świętej związanymi z życiem Jezusa albo pocierając je o szczególne relikwie przechowywane w Outremer (Zamorzu), które darzono w zakonie wielką czcią.

Rycerz Guy Dauphin, preceptor Świątyni w regionie francuskim Owernii i członek sztabu głównego, objaśniał to jednoznacznie w czasie procesu:

Powiedział, że opasywali się sznurkiem związanym na koszuli, z którym spali na znak czystości i pokory; sznurki, którym opasywał się on sam, były pocierane o filar znajdujący się w Nazarecie, w tym właśnie miejscu, w którym anioł zwiastował błogosławionej Pannie Maryi, podczas gdy inne były potarte o cenne relikwie przechowywane za morzem, jak na przykład o relikwie świętych Polikarpa i Eufemiusza.

Guy Dauphin został przyjęty do zakonu templariuszy w roku 1281, ale zwyczaj poświęcania sznurków za pośrednictwem kontaktu z relikwiami był starszy. Brat rycerz Gerard z SaintMartial, który w czasie procesu był już w podeszłym wieku, wstąpił do Świątyni w 1258 roku i opowiadał, że już wtedy istniał zwyczaj, aby ze sznura czynić relikwię, uświęcając ją świętym charyzmatem, który pochodził z bazyliki w Nazarecie, z miejsca, w którym archanioł Gabriel zaniósł Dziewicy nowinę o Wcieleniu.

Jak wyjaśnić ten zwyczaj? Odpowiedź jest bardzo prosta i znajduje się już w Piśmie Świętym, wyrażającym żydowską mentalność religijną, od której wywodzi się religijny sposób myślenia chrześcijan. Kiedy Bóg objawił się Mojżeszowi na górze Horeb pod postacią płonącego krzewu, który nie spłonął od ognia, nakazał mu, aby zdjął sandały, ponieważ było to miejsce święte (Wj 3,1-6). Miejsce objawienia miało więc zachować na zawsze część mocy tego najwyższego Bytu, który się tam objawił, a wejście w kontakt z miejscem świętym stawało się na zawsze wielkim dobrodziejstwem dla osób wierzących.

Po roku 1250, gdy Jerozolima była już utracona od dziesięcioleci, a perspektywa odzyskania jej - coraz bardziej odległa, templariusze odczuwali potrzebę podtrzymania fizycznego i konkretnego kontaktu z miejscami związanymi z życiem Chrystusa. W związku

z tym stworzyli zwyczaj czynienia sobie osobistych relikwii noszonych zawsze na ciele jako obrona przeciw grzechom duszy i ochrona przed ryzykiem, jakie niósł ze sobą udział w walce. W gruncie rzeczy zwyczaj ten był całkowicie zgodny z naturą zakonu rycerskiego i religijnego i także święty Bernard podkreślał, że templariusz toczy zawsze walkę na dwóch frontach przez wszystkie dni swego życia. We wcześniejszym okresie, kiedy Jerozolima i Grób Święty były pod opieką chrześcijan, templariusze udawali się do wielkiej bazyliki, aby sprawować w nocy szczególne nabożeństwa, o których źródła nic nie mówią. Prawdopodobnie poświęcali swoje sznury, symbol ślubów zakonnych Świątyni, składając je właśnie na tym kamieniu, na którym zostało złożone ciało Jezusa po ukrzyżowaniu. Jeśli tak było, to w ten sposób czynili z nich bezcenne relikwie Męki Chrystusa, aby nosić je zawsze na sobie celem obrony swego zbawienia w ciele i duchu. W późniejszym okresie, gdy utracono Grób Święty w wyniku zdobycia go przez Saladyna, musieli pogodzić się z tym, że odtąd będą poświęcać swe sznury pod wpływem kontaktu z czymś innym: z innymi świętymi miejscami królestwa chrześcijańskiego, które z pewnością jednak nie miały tej samej wartości co Grób Święty, albo z innymi relikwiami, które znajdowały się w posiadaniu zakonu i które w drugiej połowie XIII wieku tworzyły skarbiec przechowywany w mieście Akka.

Pogłoska, że tajemniczy "bożek" był przechowywany właśnie w skarbcu w Akce, krążyła między templariuszami i wszystko na to wskazuje, że jego tożsamość była ukrywana przed większością braci. Cokolwiek to było, w zakonie istniały liczne kopie, rozproszone tu i tam między różne komandorstwa. Wydaje się, że wizerunki te były wystawiane na widok publiczny, aby mogli oddawać im cześć templariusze, ale także wierni świeccy przybywający do kościołów Świątyni, tak jakby należały do tajemniczej, świętej osoby, która chroniła zakon w szczególny sposób. Wizerunek był uważany bardziej za relikwię niż za zwykły obraz, był przechowywany i wystawiany na widok publiczny razem z innymi relikwiami templariuszy, a liturgia jego adoracji przewidywała rytualne ucałowanie, które zgodnie z tradycją przysługiwało relikwiom. Według niektórych templariuszy wizerunek ten nazywano "Zbawicielem"; modlono się do niego, prosząc go nie o pomoc materialną, bogactwo, powodzenie u kobiet czy władzę w świecie, ale raczej o najwyższą wartość chrześcijaństwa, jaką jest zbawienie duszy.

Czy istnieje możliwość, aby zdobyć pewną wiedzę na temat tego, kim był człowiek przedstawiony na tym wizerunku? Na szczęście tak. W roku 1268 sułtan Bajbars zawładnął małą twierdzą Safed, która była w posiadaniu templariuszy. Z pewnością był zdumiony, że w sali głównej fortecy (właśnie tej, w której odbywała się kapituła zakonu) znalazł płaskorzeźbę przedstawiającą głowę mężczyzny z brodą. Sułtan nie pojął, kim był ten człowiek, i niestety

także współczesny historyk nie może wysunąć żadnej hipotezy w tej materii, ponieważ dzieło to uległo zniszczeniu. Zachowały się jednak niektóre wizerunki tej samej osoby, które znajdują się na przedmiotach należących z pewnością do templariuszy; przedmioty te przetrwały do dzisiaj i dają możliwość poznania tożsamości tego tajemniczego człowieka, czy nawet dotknięcia jej dłonią. W archiwach Niemiec znajduje się kilka pieczęci Wielkich Mistrzów Świątyni, które na odwrotnej stronie noszą wizerunek mężczyzny z brodą, istnieje również wizerunek na płycie drewnianej, znaleziony w kościele domu templariuszy w Templecombe, w Anglii. Na wszystkich tych kopiach oblicze Chrystusa jest przedstawione bez aureoli i bez szyi, tak jakby głowa była w jakiś sposób oddzielona od reszty ciała. Jest to model ikonograficzny stosunkowo rzadki w Europie średniowiecznej, jednak bardzo rozpowszechniony w chrześcijaństwie wschodnim, ponieważ odtwarza prawdziwy wygląd Chrystusa, tak jak ukazywał go mandylion, najcenniejsza z relikwii będących w posiadaniu cesarzy bizantyjskich. Według bardzo starodawnej tradycji chodziło o wizerunek Chrystusa uczyniony nie ręką ludzką, lecz powstały w cudowny sposób w momencie, gdy Jezus przyłożył swą twarz do chusty (w języku greckim właśnie mandylion). Nie był to wizerunek w ścisłym tego słowa znaczeniu; nie rysunek, lecz odbicie. Przechowywany w wielkim sanktuarium pałacu cesarskiego w Konstantynopolu, mandylion był kopiowany niezliczoną ilość razy i uwieczniany na freskach, miniaturach, ikonach na drewnie, a tradycja tego cudownego wizerunku rozprzestrzeniła się stopniowo także w chrześcijaństwie zachodnim. Jeszcze dzisiaj w niektórych spośród większych bazylik Europy znajdują się dzieła sztuki, które go odtwarzają, jak na przykład ikona na płótnie znana jako Święte Oblicze z Manoppello, ikony przechowywane w Genui, Jaen, Alicante, a także ta znajdująca się w Bazylice Świętego Piotra w Watykanie, w kaplicy Matyldy z Canossy. Wszystkie one są kopiami mandylionu wykonanymi na Wschodzie.

Ikona znaleziona w kościele templariuszy w Templecombe jest bardzo interesująca, ponieważ odtwarza nawet formę szkatułyrelikwiarza z Konstantynopola, tak jak to widzimy w wielu innych przypadkach. Pierwszy z nich to nade wszystko zachwycająca miniatura na kodeksie Rossiano greckim 251 Biblioteki Apostolskiej Watykańskiej (wiek XII): oblicze wydaje się umieszczone w środku pewnego rodzaju prostokątnego cyborium, które ma właśnie rozmiary chusty, szerszego niż dłuższego, a to cyborium ma otwór w środku, który pozwala widzieć tylko oblicze Chrystusa oddzielone od szyi i reszty ciała. Na ikonie z Templecombe formą tego czworoboku, który odsłania rysy ludzkie Jezusa i oddziela je od nakrycia, jest elegancki motyw geometryczny w kształcie czterolistnej koniczynki, bardzo lubiany na Wschodzie i stosowany w relikwiarzach bizantyjskich już od IX wieku.

Nieuchwytny”bożek” templariuszy był więc w gruncie rzeczy wizerunkiem Jezusa Chrystusa. W gmatwaninie przesłuchań, pod wpływem tortur albo nawet w wyniku sugestii ze strony inkwizytorów wielu braci zaczęło opisywać każdą rzecz, która w jakikolwiek sposób mogła być podobna do tej dziwnej głowy mężczyzny, na temat której dręczyciele chcieli informacji za wszelką cenę. Był to wizerunek w duchu ikonografii wschodniej, wywodzącej się z Konstantynopola, lecz mało znanej w Europie, który znajdował się w wielu komandorstwach zakonu w różnych formach: ikony na drzewie, płaskorzeźby oraz w formie płótna lnianego, na którym jednak - w odróżnieniu od innych form - było ukazane całe ciało. Ostatni z tych przedmiotów był widziany tylko przez niektórych braci na południu Francji i nie wydawał się obrazem, ale raczej odbiciem o niewyraźnych rysach, i to odbiciem monochromatycznym. Był to wizerunek absolutnie wyjątkowy, niemożliwy do rozpoznania dla kogoś, kto nie wiedział o pewnych faktach. Ukazywał Chrystusa w perspektywie tragicznie ludzkiej, dalekiej od perspektywy Zmartwychwstałego, którą templariusze byli przyzwyczajeni oglądać. Wszystko to skłania do przypuszczenia, że osoby kierujące zakonem miały swe racje, aby podjąć decyzję o zachowaniu tajemnicy na temat jego istnienia.

Ikona dostępna zmysłom

Według lana Wilsona całun złożony w taki sposób, aby można było widzieć tylko wizerunek twarzy, był przedmiotem znajdującym się w swoim czasie w posiadaniu cesarzy bizantyjskich i uważanym za jedną z najbardziej czczonych i cennych relikwii chrześcijaństwa. Był to autentyczny wizerunek oblicza Jezusa, który oddawał wiernie rysy Jego twarzy. Zrabowana w czasie straszliwej grabieży Konstantynopola w kwietniu 1204 roku, niezwykle cenna relikwia ostatecznie znalazła się w rękach zakonu templariuszy, którzy nadal oddawali jej cześć w jej oryginalnym relikwiarzu, ale woleli milczeć na temat istnienia całunu z uwagi na to, że dotarł do nich nieczystymi drogami. Na następnych stronach rekonstrukcja Wilsona będzie dla mnie w głównych zarysach punktem odniesienia, chociaż uważałam za konieczne ponowne rozpatrzenie w całości wielu punktów i przedstawienie kilku nowych perspektyw widzenia, tak aby kontekst zagadnienia stał się o wiele jaśniejszy.

Istniała bardzo długa tradycja teologiczna, która wiązała nierozzerwalnie ten wizerunek z Ewangeliami i z życiem Chrystusa; w pewnym sensie moglibyśmy powiedzieć, że przez wielu cenionych z racji swego autorytetu teologów epoki starożytności przedmiot ten był uważany prawie za manifest samego chrześcijaństwa.

W starożytnym mieście Edessa (obecnie Sanliurfa w Turcji) w pierwszych wiekach ery chrześcijańskiej przechowywano i czczono wizerunek Jezusa na tkaninie, o którym mówiono, że nie uczyniła go ręka ludzka (acheropita). Wizerunek ten, który tradycja zawsze

nazywała mandylion (w języku greckim "ręcznik" albo "chustka"), był najświętszym przedmiotem dla wspólnoty chrześcijańskiej. W roku 943 na tronie Bizancjum zasiadał cesarz Roman I Lekapenos i właśnie w tym roku miasto świętowało szczególnie ważną rocznicę. Przed stu latu, w roku 843, ważny dekret cesarski definitywnie wyjął spod prawa i uznał za herezję kierunek teologiczny ikonoklazmu (dosłownie "łamanie obrazów"), który przez dziesięciolecia cieszył się poparciem różnych cesarzy bizantyjskich i z religijnym fanatyzmem zniszczył nieprzeliczoną ilość dzieł sztuki.

Ikonokłasci, niszczyli ikon, opierali swe przekonania na pewnej interpretacji Jezusa Chrystusa, która nie była identyczna z przekonaniem Kościoła katolickiego określonym na Soborze Nicejskim w roku 325, kiedy to sformułowano wyznanie wiary chrześcijańskiej. Credo Nicejskie stwierdza, że Jezus Chrystus był prawdziwym człowiekiem i prawdziwym Bogiem, czyli że miał w sobie zarówno naturę ludzką, jak i naturę Boską. Ikonokłasci byli jednak monofizytami (z greckiego monophysis, czyli "jedna natura") i według ich przekonania natura ludzka Jezusa, śmiertelna i niższa, została nieuchronnie wchłonięta przez naturę Boską, wieczną i nieskończenie wyższą. W związku z tym Jezus miał posiadać tylko jedną naturę: naturę Boską. Był we wszystkim i wobec wszystkiego równy Bogu, a więc Jego wizerunku nie należało przedstawiać w żadnej postaci, ponieważ przedstawianie Boga jest zakazane. Dlatego też wszystkie Jego podobizny były niszczone. 25 marca 717 roku został ukoronowany na cesarza Konstantynopola Leon III Izauryjczyk, który doszedł do władzy w wyniku kariery wojskowej, będąc wcześniej dowódcą dużej armii stacjonującej w Anatolii. Był z pochodzenia Syryjczykiem - i przejął z mentalności swego rodzinnego ludu pewną tendencję, aby podejrzliwie traktować cześć oddawaną obrazom, ponieważ niosła ona w sobie ryzyko bałwochwalstwa, zła, którego unikanie było przedmiotem troski chrześcijan, podobnie jak i innych ludów Bliskiego Wschodu. Po zaznajomieniu się ze zwyczajami Konstantynopola Leon III zorientował się, że kult obrazów świętych odgrywał zasadniczą rolę także w liturgii i w praktyce stał się jedną z najważniejszych form wyrażania pobożności bizantyjskiej. Zjawisko to drażniło wrażliwość niektórych teologów o skrajnych poglądach, którzy postrzegali chrześcijaństwo jako religię duchową i w związku z tym potępiali kult obrazów, które są przedmiotami uczynionymi z materii. Leon III przyjął ten sposób myślenia jako własny, ale wybór ten ściągnął na niego wrogość ludu. 19 stycznia 729 roku kilku fanatykom udało się podziurawić ostrym narzędziem jedną z najslawniejszych ikon Chrystusa w stolicy, co wywołało rewoltę, którą cesarz krwawo stłumił. Pójście za tym kierunkiem myślenia przyniosło mu również zerwanie relacji dyplomatycznych z Kościołem Rzymu, kierowanym w tych latach przez papieża

Grzegorza II (715-731) i jego następcę Grzegorza III (731-741). Obaj papieże uważali, że natura ludzka Chrystusa zasługuje bez wątpienia na to, aby być przedstawiana i czczona przez wiernych drogą kontemplacji sztuki sakralnej. W rzeczywistości oddawanie czci obrazom miało swe korzenie w niezwykle starodawnej tradycji, sięgającej początków Kościoła. Już w IV wieku Atanazy, patriarcha Aleksandrii, wysławiał wyobrażenia Jezusa, wskazując na fragment Ewangelii, według którego Jezus powiedział: "Kto Mnie zobaczył, zobaczył także i Ojca". Zdaniem biskupa oznaczało to, że posiadanie prawdziwych wizerunków Jezusa jest skarbem dla wspólnoty chrześcijańskiej, a kontemplowanie Jego ludzkiej postaci może być istotną pomocą w modlitwie.

Nieco później święty Bazyl, biskup Cezarei (330-379), założyciel bardzo rozpowszechnionego na Wschodzie ruchu monastycznego, napisał dzieło zatytułowane Traktat o Duchu Świętym, w którym wyjaśniał to pojęcie teologiczne za pomocą bardzo sugestywnego przykładu. Według świętego Bazylego, kiedy poddani składają hołd posągowi ich cesarza, uczucie i szacunek, jaki w ten sposób wyrażają, przenosi się na osobę samego cesarza; podobnie także przejawy kultu, jaki chrześcijanie okazują wizerunkom Chrystusa, są ukierunkowane na Osobę Chrystusa, a więc nie są bałwochwalstwem. W innym dziele Bazyl utrzymywał, że obrazy męczenników mają zdolność odpędzania demonów - pogląd podzielany przez jego brata Grzegorza, biskupa Nyssy, według którego wizerunki świętych zachęcają wiernych do ich naśladowania. Dlatego też "nieme obrazy namalowane na ścianach kościołów w rzeczywistości są w stanie przemawiać i przynoszą wielki pożytek".

Najbardziej zapalonym obrońcą kultu obrazów był jednak prawdopodobnie mnich Jan Damasceński (ok. 650-749 po Chr.), jeden z bardziej błyskotliwych umysłów w całej historii chrześcijaństwa. Żył w Syrii pozostającej pod panowaniem Arabów, czyli paradoksalnie mógł wyrazić swe przekonania religijne z dużo większą wolnością niż jego współbracia w wierze zamieszkujący na terenach znajdujących się pod władzą Konstantynopola. Arabowie nakazywali bowiem swoim chrześcijańskim poddanym płacić specjalny podatek, po którego uiszczeniu mogli sprawować swój kult bez obaw, że rządzący będą ingerować w ich kwestie dogmatyczne. W swoim dziele Mowa obronna przeciw tym, którzy odrzucają święte obrazy opisywał tę formę pobożności z wielką teologiczną subtelnością, łatwym w odbiorze językiem, czasem wręcz pełnym poezji. W jednym słowie potrafił wyrazić gorącą miłość, jaką zwykli ludzie żywili do najważniejszych przedstawień Chrystusa, Maryi Panny i świętych. Punktem wyjścia dla rozważań Jana z Damaszku była prosta prawda dostępna dla wszystkich: dla chrześcijanina Jezus był także rzeczywistością ziemską, konkretną i materialną. Podczas swego życia stąpał po drogach Palestyny, a Jego stopy zostawiły ślady na

tej piaszczystej ziemi. Po Jego śmierci i zmartwychwstaniu, mocą Ducha Świętego, Jezus nadal żył i działał w życiu wiernych, zgodnie z tym co powiedział w Ewangelii świętego Mateusza: "Jestem z wami przez wszystkie dni".

Zachowany przez tradycję wizerunek Jezusa symbolizuje i przypomina chrześcijaninowi o Jego obecności fizycznej, ziemskiej i codziennej, a to jest wielką pociechą w trudnościach życia. Nie można było odebrać ludziom tej okazji do osobistej relacji z tym, co Boskie, w imię bardzo abstrakcyjnego rozumowania. Rozumowanie to nie było właściwe, a nade wszystko ta dziwna wizja wiary, propagowana przez pewnych myślicieli dzielących włos na czworo, nie była wcale zgodna z pierwotnym nakazem Ewangelii, która mówiła wyraźnie, że nawet po zmartwychwstaniu Jezus miał konkretne ciało, które można było widzieć i dotykać. Według Jana Damasceńskiego Chrystus jest "dostępną zmysłom ikoną Ojca" (eikon physike), obrazem żywym i napełnionym Duchem Świętym, który zdolny jest zbliżyć człowieka do Boga, oczyszczając jego duszę i myśli.

Et habitant in nobis

W VIII i IX wieku kierunek teologiczny, który wysławiał znaczenie duchowe ikon, znalazł niez mordowanego obrońcę w osobie mnicha Teodora, przełożonego klasztoru Studion w Konstantynopolu, jednego z najwspanialszych ośrodków kultury bizantyjskiej. Teodor Studyta potrafił prowadzić walkę zarówno na płaszczyźnie doktrynalnej, jak i politycznej, ażeby potwierdzić konieczność oddawania czci obrazom. Jeżeli bowiem człowiek został stworzony na obraz Boga, to z pewnością w sztuce tworzenia świętych obrazów ujawniało się to, co Boskie. Z niewiarygodną przenikliwością potrafił uwydatnić ideę, która nieustannie zachowuje ważność i nie zmienia się wraz z upływem czasu: zakaz kultu obrazów może być bardzo niebezpieczny, ponieważ przygotowuje teren pod rozwój herezji. Odrzucając obrazy w imię religii złożonej tylko z idei, pojęć umysłowych, uniemożliwia się kontakt wiernego z wyglądem ludzkim Jezusa. Postępowanie takie naraża chrześcijanina na wpadnięcie w pułapkę, jaką byłyby wiara, że Jezus Chrystus jest po prostu istotą duchową, symbolem możliwego kontaktu między człowiekiem i Bogiem. Jezus był natomiast także konkretną osobą we własnym ciele i to właśnie Jego ludzkie cierpienia były tym, co przyniosło odkupienie innych ludzi: "Jako człowiek doskonały, Chrystus nie tylko może, ale także musi być przedstawiany i czczony w obrazach; jeżeli się temu przeczy, to cała ekonomia zbawienia w Chrystusie może lec w gruzach".

Myśl Teodora odniosła zwycięstwo na wielkim Soborze Nicejskim II w roku 787. W centrum dysputy soborowej znajdował się właśnie mandylion, najstarszy i najbardziej czczony wizerunek Chrystusa. Termin użyty, aby wyrazić tę rzeczywistość, to "odbicie"

(character), ten sam, którym określa się relief na monetach: słowo wskazuje na wizerunek w formie negatywu, który tworzy się dzięki kontaktowi z realnym przedmiotem. Sobór Nicejski II poświęcił także wiele troski, ażeby dokładnie określić rolę obrazów w życiu Kościoła, tak by ich kult nie zamienił się ostatecznie w grzech bałwochwalstwa. Precyzuje się, że obowiązuje zakaz ich adoracji, ponieważ adoracja jest należna wyłącznie Bogu, zaleca się natomiast wyważone okazywanie im szacunku. Potwierdzono, że Boga nie można z pewnością utożsamić z kwestią obrazów: wiara rodzi się z Pisma Świętego, które jest Słowem Bożym, nikt nie powinien mieć spokojnego sumienia jedynie na skutek tego, że ma duże nabożeństwo dla obrazu świętego, i to bez względu na to, jakiego rodzaju jest ten obraz. Przedstawienia rzeczy świętych pełnią zasadniczo funkcję dydaktyczną i pedagogiczną, aby dopomóc lepiej zrozumieć dogmaty wiary tej większej części wiernych, którzy nie mają szerokich horyzontów kulturalnych. Ponadto należą do tradycji chrześcijaństwa, która jest godną czci nosicielką prawdy. Z tych względów precyzyjnie ustalono postawy liturgiczne, jakie należy okazywać, gdy oddaje się cześć świętym ikonom; był to ten sam zwyczaj co w przypadku relikwii. Podstawą było ucałowanie, zapalanie świec oraz proskinesis, akt ukłęknięcia z czołem do ziemi w modlitwie, stosowany jeszcze dzisiaj przez muzułmanów. Chrześcijanie w Ziemi Świętej czcili w ten sposób relikwię Prawdziwego Krzyża i to samo czynili templariusze z ich "bożkiem". Na pewno w czternastowiecznej Europie podobna praktyka musiała wprawiać w osłupienie osoby ciekawskie.

Rezultatem Soboru Nicejskiego II była teologia ikony, obowiązująca do dzisiaj i nadal bardzo ceniona. Ikona nie jest zwyczajnym wizerunkiem Jezusa albo innych postaci historii świętej, lecz raczej miejscem Ducha, jest sama w sobie sanktuarium, dzięki któremu wierny zbliża się do wymiaru Boskiego. Kontemplując ikonę, wchodzi się w dialog z Bogiem. Tylko niektóre osoby są uprawnione do malowania ikon i muszą postępować zgodnie ze starodawnym rytuałem, w którym obowiązują żelazne reguły, ponieważ ostateczny rezultat musi być wierny modelom pochodzącym z tradycji. Ich tworzenie rozpoczyna się okresem postu i oczyszczenia duchowego, który malarz musi obowiązkowo przejść, zanim zabierze się do dzieła, a kończy się dodaniem napisów, które mogą być uczynione wyłącznie przy użyciu języka liturgicznego. Napis jest rodzajem pieczęci świadczącej o wierności wizerunku wobec jego oryginału oraz ogłasza, że wszystko to, co widzi się oczami ludzkimi, jest rzeczywiście obecne i bierze udział w liturgii niebieskiej. Oczywiście te napisy, które znajdują się na ikonach, podlegają ściśle ustalonym regułom, ustanowionym przez naukę Kościoła. Niektóre z nich były absolutnie nietykalne; żaden malarz nie miał uprawnień do ich zmiany, nawet za zgodą biskupa czy patriarchy, ponieważ ich zadaniem było wyrazić w zwięzłej formie pewne

bezsporne prawdy wiary. Pierwszy z nich ICXC jest chyba najstarszym i najbardziej zwięzłym napisem, który dotyczy obrazu Jezusa, a powstał z pierwszej i ostatniej litery dwóch słów greckich: IHCOYC XPICTOC - "Jezus Chrystus". Pojawia się on na ikonach już w wieku X i zawiera w sobie całe wyznanie wiary: że Jezus jest Synem Bożym, Mesjaszem (po grecku właśnie chństós) oczekiwanym od wieków przez lud Izraela; że jest najważniejszą, zasadniczą i bezsporną Prawdą chrześcijaństwa, jest samym fundamentem, na którym został wzniesiony Kościół. Kolejny najstarszy i najbardziej rozpowszechniony napis to ten, który towarzyszył wizerunkom Maryi. MP-0Y oznaczał MHTHP 0EOY, czyli "Matka Boża", i oczywiście także on wyrażał w skrótowej, prostej formie dogmat wiary. Sformułowano go na Soborze Efeskim w roku 431. Podczas posiedzeń soborowych wybuchła straszliwa kłótnia właśnie z tego powodu, że poddano krytyce ten tytuł, powstały w sposób spontaniczny wśród ludzi i będący już w użyciu od dawna. Biskup Nestoriusz, który sprawował ważny urząd patriarchy Konstantynopola, pragnął zmienić tytuł Maryi z theotókos („matka Boża”) na chństotókos, czyli "matka Chrystusa". W jego opinii Dziewica zrodziła naturę ludzką Jezusa, nie było jednak możliwe, aby młoda kobieta, będąca sama stworzeniem, porodziła także naturę Boską Jezusa, czyli Logos, który był od niej Istotą niewspółmiernie wyższą.

Propozycja Nestoriusza nie znalazła uznania u niektórych teologów, jak chociażby u Cyryla, patriarchy Aleksandrii, ponieważ w praktyce oznaczała rozdzielanie na dwie części (jedną słabszą i drugą doskonałą) jedności Osoby Jezusa Chrystusa. Jeszcze mniej przypadła ona do gustu zwykłym ludziom; według tradycji to właśnie do Efezu apostoł Jan przywiódł Maryję, powierzoną jego opiece przez umierającego Jezusa. Lud przyzwyczaił się od dawien dawna do oddawania Jej czci jako Matce Bożej i nie rozumiał ani nie chciał rozumieć tych zawiłych argumentacji. Propozycja, aby dokonać zmiany kwalifikacji tytułu Maryi Panny z "Matki Bożej" na "Matkę Chrystusa", została odrzucona przy wtórze anatem. Miasto oświetlono świątecznie, biskupów broniących tradycyjnego tytułu theotókos odprowadzono w uroczystym orszaku do ich domostw, wśród pochodni i dymu kadzidła, tak jakby sami byli obrazami świętych.

Napis "Jezus Chrystus" (po grecku Iesus Chństós) nigdy nie był poddawany pod dyskusję, ponieważ był zbyt starodawny, żywy i centralny dla chrześcijaństwa. Według przekazu Ewangelii jego źródłem były słowa samego Jezusa: pewnego dnia Nazarejczyk zapytał uczniów: "Za kogo uważają mnie ludzie?". Odpowiedział Mu Piotr: "Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego". Było to pierwsze wyznanie wiary chrześcijan, bardzo zwięzłe, ale kompletne. W kręgu pierwszych chrześcijan, którzy egzegeci i teolodzy nazywają dzisiaj w ich żargonie "Kościółem popaschalnym", już niedługo po śmierci i wydarzeniach, które

nastąpiły po niej, dwa słowa: Jezus (bardzo rozpowszechnione imię męskie) i Chrystus (przymiotnik święty) stały się nierozdzielne, tworząc jedną rzeczywistość.

W marcu 843 roku cesarzowa Teodora, wdowa po mężu, który prześladował obrońców obrazów, dokonała zupełnie innego wyboru i ustanowiła uroczystą ceremonię - Święto Ortodoksji, której celem było przypominanie na zawsze o ostatecznym zwycięstwie świętych ikon. A w roku 943, w setną rocznicę ustanowienia tego święta, cesarz Roman I zdecydował się uświetnić tę rocznicę sprowadzeniem do stolicy najsłynniejszego i najbardziej czczonego wizerunku Chrystusa, przechowywanego w Edessie, powierzając misję odzyskania go najlepszemu ze swych dowódców, Janowi Kurkuasowi. Miasto znajdowało się wówczas pod panowaniem arabskim i Kurkuas był zmuszony do prowadzenia rokowań na temat odstąpienia mandylionu. W zamian za ten jeden przedmiot cesarz bizantyjski uwolnił dwustu wysoko postawionych jeńców, zapłacił 12 000 złotych koron i udzielił miastu gwarancji wiecznego immunitetu. Po długich badaniach, ponieważ Arabowie usiłowali przekazać dowódcy kopię, słynny wizerunek został przewieziony do Konstantynopola w pamiętnej procesji dnia 15 sierpnia, w święto Zaśnięcia Maryi, i umieszczony w kościele Świętej Maryi w dzielnicy Blacherne. Dzień później zabrano go stamtąd na statku cesarskim, który przewiózł go przez całe miasto, i ostatecznie umieszczono w cesarskiej kaplicy Pharos. Kaplica ta była monumentalnym relikwiarzem, w którym cesarze od wieków gromadzili najcenniejsze świadectwa życia Chrystusa, Maryi i świętych. Według różnych osób, którym pozwolono na odwiedzenie tego miejsca w średniowieczu, były tam wszystkie przedmioty związane z Męką Chrystusa, począwszy od chleba konsekrowanego podczas Ostatniej Wieczerzy aż po gąbkę, na której podawano Jezusowi ocet, a ponadto wiele innych ważnych pamiątek. Dzieło to było owocem wielowiekowej, pedantycznej akcji gromadzenia, którą rozpoczęła już Helena, matka Konstantyna. Przyczyna tej cierpliwej, nieprzerwanej i niezwykle kosztownej działalności jest bardzo prosta: jako że w pewnym punkcie historii bezpośredni kontakt z Ziemią Świętą był utrudniony, rodziła się potrzeba znalezienia sposobu, który mógłby podtrzymać ten materialny i konkretny związek ze świadectwami życia Chrystusa. W okresie zaledwie czterech lat (636-640) Arabowie pod wodzą kalifa Omara wydarli cesarzom bizantyjskim większą część Azji Mniejszej wraz z terytorium Syrii i Palestyny. Począwszy od tego momentu, odwiedziny Grobu Świętego i innych Miejsc świętych stały się możliwe dzięki specjalnym porozumieniom dyplomatycznym między dworem w Konstantynopolu i nowymi islamskimi władcami, ale i tak nie udało się zapobiec licznym zniszczeniom bazyliki Anastasis (Grobu Pańskiego), gdzie znajdował się Grób. Pod wpływem tych wydarzeń szukano sposobu przeniesienia do stolicy cesarstwa wszystkiego

tego, co można było przewieźć, a co pozostawało w związku z życiem Jezusa, tak aby móc stworzyć nad brzegami Bosforu drugą Jerozolimę, w której się będą znajdowały wszystkie najważniejsze świadectwa. W roku 1201 cesarski strażnik relikwii Mikołaj Mesarites musiał bronić wielkie sanktuarium bizantyjskie przed groźbą grabieży, gdy rebelianci w czasie przewrotu pałacowego starali się zdobyć władzę. Udało mu się powstrzymać buntowników, ponieważ udowodnił im, że kaplica ta była w najwyższym stopniu miejscem świętym, nową Ziemią Świętą, którą należy czcić i szanować bez względu na różnice polityczne:

Ta świątynia, to miejsce jest nowym Synajem i Betlejem, Jordanem, Jerozolimą, Nazaretem, Betanią, Galileą, Tyberiadą; jest sadzawką, Wieczerzą, górą Tabor, pretorium Piłata, Miejscem Czaszki, które po hebrajsku zwie się Golgotą. Tu Chrystus się narodził, tu został ochrzczony, tu szedł po wodzie i chodził po ziemi, dokonywał nadzwyczajnych cudów i unżył się, aby umyć nogi [...] Tu został ukrzyżowany, a kto ma oczy, może zobaczyć oparcie, gdzie znajdowały się Jego stopy. Tu został także pogrzebany, a kamień zatoczony na Jego grób jest tego świadectwem aż do dzisiaj. Tu zmartwychwstał, a chusta wraz ze złożonym do grobu płótnem lnianym jest dla nas tego dowodem.

Po przeniesieniu do stolicy mandylion pozostał w Konstantynopolu i stał się bardzo szybko symbolem miasta, czymś w rodzaju najwyższego obrońcy, który znajdował się także na sztandarach wojska; w bizantyjskiej mentalności religijnej był utożsamiany z Eucharystią, czyli z Ciałem Chrystusa, i powielany w niezliczonej ilości kopii. Od owego czasu w świecie bizantyjskim nastąpił rozwój autentycznego zainteresowania cechami fizycznymi Jezusa. Było to coś w rodzaju odwrotnej reakcji ze strony kultury, która z wielu powodów nie dostrzegała tego aspektu, by nie powiedzieć, że wręcz go odrzucała. Z pomocą badań relikwii udało się dowiedzieć, jak wysoki był Jezus, i poza bazyliką Hagia Sophia wzniesiono reprodukcję krzyża naturalnej wielkości, zwaną "krzyżem miary" (cruc mensuralis), który pozwalał wszystkim przekonać się na własne oczy o wzroście Jezusa.

Zbiory cesarskie z Pharos zapełniły się świadectwami różnego rodzaju, włącznie z takimi (jak pieluszki Dzieciątka i mleko Maryi), które dzisiaj śmieszą. Fakt ten nie może jednak przesłonić nam olbrzymiej wartości historycznej ich obecności: pragnęli ich i doceniali je bowiem nie prości wieśniacy, lecz najlepiej wykształceni ludzie owego czasu. Widoczne było także uczucie głębokiego poruszenia w związku z odkryciem tego ludzkiego wymiaru Jezusa, aspektu, który chrześcijański Wschód zaniedbał przez wieki. W gruncie rzeczy absolutna nowość chrześcijaństwa ujawniała się w tym, że Bóg zapragnął stąpać pośród ludzi: grecki tekst Ewangelii Jana mówi dosłownie: "Słowo stało się ciałem i rozbiło namiot pośród nas". Kontemplacja pieluszek Dzieciątka Jezus to przypomnienie, że Chrystus był

noworodkiem jak wszyscy, a Maryja, którą mieszkańcy Bizancjum nazywali Matką Bożą, opiekowała się Nim z czułością, tak jak czynią to inne matki ze swymi dziećmi. Pewne przedmioty pokazywały, że Bóg jest blisko człowieka i jest w jego zasięgu. Pamiątki związane z Męką mówiły jeszcze coś innego, a mianowicie że istnieje wymiar Boski w człowieku chorym, umierającym, w osobie przygniecionej cierpieniem. Pojawia się on na twarzach tych wszystkich, którzy w przeciwnościach życia upodobniają się do tego niemożliwego do rozpoznania oblicza Chrystusa.

Przeniesienie mandylionu do stolicy było pamiętnym wydarzeniem, z okazji którego powstały liczne pisma. Studiowanie tych źródeł budzi szczególne zainteresowanie: opis mandylionu i jego historii, tak jak podawano ją za czasów Konstantyna VII, nie pokrywa się bowiem dokładnie z tym, co wiadomo na ten temat ze starszych źródeł. Występują tam inne fakty, pewne szczegóły, które wydają się wyrazem celowego działania zmierzającego do "zaktualizowania" legendy w świetle nowej, bulwersującej prawdy.

Z ciała i krwi

W roku 1997 historyk rzymski Gino Zaninotto zorientował się, że w pochodzącym z X wieku manuskrypcie greckim Apostolskiej Biblioteki Watykańskiej zachowała się uroczysta mowa napisana przez Grzegorza Referendarza, archidiakona bazyliki Hagia Sophia w Konstantynopolu, który dbał o stosunki dyplomatyczne między cesarzem a patriarchą. Grzegorz udał się osobiście do Edessy jako członek ekspedycji Jana Kurkuasa, zorganizowanej w celu odzyskania mandylionu w roku 944, i w związku z tym przeprowadził w miejskim archiwum badania tych dawnych dokumentów, które opowiadały o historii wizerunku. Następnie napisał homilię, w której wysławiał doniosłość tej relikwii i opowiadał w skrócie jej historię. Opowiadanie Referendarza było jeszcze nieznane, jako jedno z wielu ukrytych skarbów przechowywanych w Bibliotece papieskiej, i zostało opublikowane przez bizantynistę AndreMarie Dubarle w fachowym czasopiśmie "Revue des Etudes Byzantines".

Według archidiakona Grzegorza wizerunek w rzeczywistości jest odbiciem i okazuje się naznaczonym kroplami krwi, które wyciekły z przebitego boku Chrystusa. W tradycji wcześniejszej mandylion opisywano zasadniczo jako kawałek lnianego płótna niewielkich rozmiarów, wielkości chusty, jak mówi sama nazwa, na którym widniało tylko odbicie twarzy Jezusa. Homilia rękopisu Watykańskiego greckiego S 11 opisuje go natomiast jako odbicie, na którym była widoczna klatka piersiowa ze znakiem włóczni i strumień krwi wytryśnięty z tej rany, czyli według niego było wizerunkiem ciała przynajmniej od pasa w górę. Według najstarszej tradycji mandylion nie miał nic wspólnego ze śmiercią Chrystusa, gdyż był to po prostu wizerunek, który powstał za Jego życia. Pierwsze świadectwa tej legendy mówiły o

wymianie listów między Jezusem a Abgarem, królem Edessy, osobistością utożsamianą z Abgarem V Czarnym. Władca ten słyszał pogłoski o wielkiej sławie Jezusa jako uzdrowiciela, wiedział, że szukano Go, aby Go zabić, i dlatego wysłał do Niego posłańca, aby zaofiarować Mu bezpieczne schronienie w swym mieście.

Euzebiusz z Cezarei, niezwykle świątły biskup, który był doradcą duchowym Konstantyna, włączył ten epizod do swej Historii Kościoła, ale nie wspomniał nic o wizerunku. W rzeczywistości brak tej wzmianki mógł wynikać z postępowania samego Euzebiusza, który wybierał z tradycji tylko tę jej część, którą cenił, natomiast usuwał (albo po prostu pomijał) z niej to, co wydawało mu się mniej przekonujące. Wiemy, że biskup Cezarei był bardzo przeciwny kultowi obrazów. Głośny był jego list do cesarzowej Konstancji, która wiedziała, że niektórzy chrześcijanie posiadali autentyczny wizerunek Jezusa Nazarejskiego, i w związku z tym poprosiła biskupa, aby używając swych wpływów, postarał się dla niej o jego kopię. Odpowiedzią była oschła i jednoznaczna reprimenda:

Jeśli jednak teraz oświadczasz, że nie prosisz mnie o wizerunek postaci ludzkiej przemienionej w Boga, ale o obraz Jego śmiertelnego ciała, takiego jakie było przed Jego przemienieniem, wtedy odpowiadam: czy nie znasz miejsca, w którym Bóg nakazuje, aby nie czynić żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko?

Tego rodzaju postępowanie może wydawać się nam dzisiaj przeintelektualizowane, wręcz budzi niechęć. Musimy jednak wejść w położenie tych ludzi i przyglądać się z uwagą rzeczywistości czasów, w jakich żyli. Euzebiusz nie był przecież człowiekiem niewierzącym, lecz wielkim teologiem, a ponadto osobą bardzo pobożną. Jego podstawowym zmartwieniem było zapobieżenie niebezpieczeństwu bałwochwalstwa, gdyż ryzyko popadnięcia w nie w życiu chrześcijanina jest wielkie i pojawia się nieustannie. W cesarstwie rzymskim istniał powszechny zwyczaj sporządzania realistycznych wizerunków, które przedstawiały drogie osoby zmarłe, a tabliczki znalezione w nekropolii w Fajum, w Egipcie, pokazują, że podejmowano wszelkie wysiłki, aby wizerunki te były podobne do zmarłych, jak to tylko możliwe; wiele z nich jest tak precyzyjnie wykonanych, że przypominają fotografie. W klasztorze świętej Katarzyny na górze Synaj przechowuje się dwie wspaniałe ikony pochodzące z okresu panowania cesarza Justyniana (527-565), które przedstawiają Jezusa i świętego Piotra i pochodzą właśnie z tej tradycji wizerunku rzymskiego z epoki cesarstwa. Nawet osoby niebędące znawcami sztuki zauważają, że chodzi o dzieła wzorowane na rzeczywistych wizerunkach: ikona Piotra ma w górze zaokrąglone ramki, w których znajdują się wizerunki świętego Jana (przedstawionego jako mniej więcej piętnastoletni chłopiec), a następnie Jezusa i Maryję, którzy mają wyraźnie podobne do siebie rysy twarzy. Od

niepamiętnych czasów chrześcijanie mieli zwyczaj posiadania w domu wizerunków Jezusa, a także Piotra i Pawła, ale Euzebiusz nie pochwałał tego zwyczaju. Wielu nawróciło się bowiem niedawno z pogaństwa na chrześcijaństwo pod wpływem polityki religijnej Konstantyna i byli skłonni oddawać cześć tym obrazom w taki sam sposób jak bożkom pogańskim, które czcili aż do niedawna. Chrześcijaństwo wymagało radykalnej zmiany mentalności, sposobu widzenia świata i z pewnością nie mogło się to dokonać w ciągu kilku miesięcy. Tymczasem, zanim neofici nie osiągną świadomości prawdziwie chrześcijańskiej, trzeba było raczej zerwać z tym, co należało do ich dawnego, pogańskiego kultu. Na mocy tego roztropnego rozumowania Euzebiusz wolał, aby chrześcijanie nie posiadali realistycznych wizerunków Chrystusa, ale tylko obrazy, które przedstawiały Jego osobę w sposób idealny i symboliczny. Prawdopodobnie z tego powodu cała sztuka chrześcijańska od I do IV wieku nie przedstawiała wizerunku Jezusa, ale ukazywała Go za pomocą symboli (ryba, kotwica), bądź pod postacią osób o szczególnym znaczeniu, które odsyłają do przypowieści (Dobry Pasterz), albo jeszcze jako młodego boga Apollo, uosobienie piękna idealnego i pozbawionego cech indywidualnych, które nie miało nic wspólnego z wizerunkiem konkretnego człowieka.

Około roku 400 po Chr. legenda o Abgarze pojawia się w nowej wersji w dziele zatytułowanym "Nauka Addaja" (Doctina Addai) nieznanego autorstwa: według tego opowiadania, król Abgar nie tylko napisał list do Jezusa, ale posłał do niego malarza, któremu udało się namalować niezwykle wierny wizerunek Jego postaci, "ozdobiony wspaniałymi kolorami". Następnie, mniej więcej sto lat później, historyk armeński Mojżesz z Chorene mówił o mandylionie jako obrazie namalowanym na tkaninie jedwabnej. W ciągu VI wieku, a szczególnie w okresie, gdy Edessa została podbita przez Persów, zaczęto mówić o mandylionie nie jako o wizerunku będącym dziełem jakiegoś malarza, lecz określano go jako acheropita, czyli dzieło nienamalowane ręką ludzką, lecz powstałe w wyniku cudu. Według historyka bizantyjskiego Ewagriusza, który żył w tym czasie, mieszkańcy Edessy uważali go za relikwię o wielkiej mocy i posługiwali się nią w niektórych nabożeństwach błagalnych, dzięki którym ocaleli od wroga. Dopiero wraz z wyprawą Kurkuasa za panowania Romana I w roku 943, która zaowocowała przeniesieniem relikwii do Konstantynopola, w tradycji mandylionu zaczęły się pojawiać odniesienia do Męki Chrystusa. Były to odniesienia bardzo jednoznaczne, nad którymi usiłowano jednak "prześlizgnąć się" z zauważalnym zakłopotaniem: najwyraźniej dokonano odkrycia, że wizerunek Jezusa na płótnie był wizerunkiem Jezusa zmarłego; szczegóły, którego w żadnym razie nie można było uznać za mało znaczący, a o którym tradycja nigdy nie wspominała.

Grzegorz Referendarz i Kurkuas udali się pod broń aż do Edessy, aby przywieźć do ojczyzny prawdziwy wizerunek Jezusa, który cieszył się wielką sławą. Z pewnością spodziewali się zobaczyć podobiznę Chrystusa Pantokratora, potężnego Pana Świata, który uśmiechał się i błogosławił wiernych na błyszczących złotem mozaikach na ścianach wielkich bazylik. Według tego samego wzoru przedstawiano podobiznę cesarza Konstantynopola już od czasów Justyniana, chociaż także Konstantyn był wysławiany jako Namiestnik Chrystusa na ziemi i osoba co do rangi równa apostołom. Grzegorz Referendarz i Jan Kurkuas spodziewali się zobaczyć wizerunek oblicza o nieziemskiej piękności, wizerunek żywego Jezusa budzącego najgłębszy majestat, który mógł ujawniać się tylko w osobie Pana Świata i Jego bezpośredniego podwładnego - cesarza Bizancjum. Tymczasem stanęli naprzeciw strasznego odbicia zmarłego, zwłok ukrzyżowanego mężczyzny z ciałem pokrytym ranami. Na mandylionie była krew; nie jakaś kropla krwi tu i ówdzie, lecz olbrzymi strumień, jak dzieje się to w przypadku rozdartej klatki piersiowej.

Zamiast Króla Królów spotkali w Edessie człowieka boleści. Nic nie mogło być bardziej odległe od chwały cesarza bizantyjskiego niż ten budzący litość widok, który wydawał się symbolem ludzkości pokonanej przez cierpienie i śmierć. A mimo to mandylion miał w sobie coś wyjątkowego, czego źródła nam nie opisują, i to dodało obu funkcjonariuszom państwa odwagi, aby stanąć przed cesarzem, przynosząc mu przedmiot tak radykalnie odmienny od jego oczekiwań. Źródła opowiadające o przybyciu relikwii do stolicy zawierają pewne osobliwe szczegóły, które niełatwo pojąć w pierwszej chwili. Synowie cesarza Romana patrzą na relikwię, lecz nie udaje im się rozróżnić szczegółów, natomiast jego zięć Konstantyn Porfirogeneta, który odziedziczył tron, natychmiast dostrzegł wyraźnie każdy szczegół i doświadczył wielkiego wzruszenia. Co to wszystko znaczy? Jeżeli - zgodnie z intencją lana Wilsona - potraktujemy ten opis jako odnoszący się do Całunu Turyńskiego, to opowiadanie to wyda się bardzo wiarygodne, ponieważ wiadomo, że wizerunek na całunie ma niezwykłą właściwość optyczną, o której już wspominaliśmy. Wizerunek ten jest widoczny jedynie wtedy, gdy oddalamy się od płótna na odległość przynajmniej dwóch metrów, natomiast znika natychmiast, gdy ktoś usiłuje podejść bliżej. Osobiście mam wrażenie, że to wydarzenie pokazuje nam jeszcze coś więcej. Konstantynowi VII udaje się zobaczyć wizerunek, ponieważ potrafi zaakceptować go takim, jaki jest; z jakiegoś szczególnego powodu, w odróżnieniu od wielu ludzi jego epoki i tych, którzy ich poprzedzili, potrafi docenić wizerunek Chrystusa z bezspornymi znakami cierpienia i śmierci. Odkrycie prawdziwej "tożsamości" mandylionu na pewno wprowało w osłupienie i zrodziło delikatny problem uzasadnienia powodów, dla których tradycja ukryła jego prawdziwe oblicze,

utrzymując, że jest on zwykłym portretem. Pomimo to Grzegorz Referendarz potwierdził jednak jego autentyczność, ponieważ był pewny, że cesarz przyjmie relikwię z wielkim zadowoleniem, nawet gdy odkryje jej niesłychaną nowość.

Roman I musiał walczyć przez długi czas z paulicjanami i innymi grupami heretyckimi, które nieustannie dawały o sobie znać na terytorium cesarstwa i wykorzystywały idee religijne do kontestowania władzy cesarskiej. Paulicjanie - i inne sekty tego samego rodzaju - czerpali swe wierzenia z dawnej herezji gnostycyzmu, która w pierwszych wiekach chrześcijaństwa doprowadziła do wielkiego zamętu doktrynalnego, szczególnie w Kościołach Bliskiego Wschodu. Pomimo podziału na wiele oddzielnych grup, które podążały za różnymi Ewangeliami, wszystkich gnostyków łączyło jedno przekonanie: Jezus nie był naprawdę człowiekiem, lecz czystym duchem, rodzajem anioła pojawiającego się na ziemi, który nie posiadał ciała, lecz tylko pozornie był człowiekiem. Chrystus był symbolem i równocześnie posłańcem z niebios, który pojawił się pośród ludzi, aby nauczyć ich, jak dojść do poznania Boga (po grecku *gnosis*), zaś po spełnieniu swej misji powrócił do pierwotnego stanu. Według gnostyków Chrystus nigdy nie stał się człowiekiem, nigdy nie cierpiał Męki, nigdy nie umarł, a więc nigdy nie został wskrzeszony z martwych. Cesarz Roman I pojął, że walki o charakterze religijnym nie można prowadzić tylko przy użyciu wojska, ale że należy także zmierzyć się z przeciwnikiem na poziomie idei. Słynny mandylion, o którym mówiła tradycja, mógł być więc przydatny do zdemaskowania błędów heretyków, ponieważ był to rzeczywisty wizerunek Chrystusa, oni zaś utrzymywali, że Chrystus nie posiadał prawdziwego ciała ludzkiego. Ten osobliwy, niepokojący przedmiot, który przybył z Edessy, ukazywał to natomiast pod postacią natury w najwyższym stopniu ludzkiej, z bolesnym i niezwykle sugestywnym realizmem. Posiadanie całunu Chrystusa ze wszystkim znakami Jego Męki, wręcz nasiąkniętego strumieniem krwi, która wypłynęła z Jego boku, oznaczało udowodnienie całemu światu, że heretycy głosili błędną naukę.

Grzegorz Referendarz z racji swych obowiązków dyplomatycznych przebywał często na dworze Romana I i z pewnością znał usposobienie rodziny cesarskiej. Był dyplomatą i znał się na polityce; uznał, że relikwia może być także potężną bronią w walce ideologicznej przeciw szerzeniu się herezji i że znajdzie się w rodzinie Romana I ktoś, kto niewątpliwie doceni jej znaczenie. W ciągu kilku miesięcy młody Konstantyn VII Porfirogeneta wstąpił na tron cesarski i sprawił, że mandylion stał się przedmiotem najbardziej czczonym i wysławianym w całym cesarstwie.

Jest faktem, że podczas długiego panowania tego władcy religijna myśl w Bizancjum przeżyła znaczący rozwój, wysuwając na pierwszy plan w liturgii i teologii postać cierpiącego

Chrystusa, Jego martwego ciała umęczonego w czasie Męki, podczas gdy we wcześniejszym okresie wysławiała prawie wyłącznie postać Zmartwychwstałego rozświetlonego chwałą. Wprowadzono także nowy przedmiot liturgiczny zwany epitaphios, kawałek tkaniny, na której znajdował się wyhaftowany albo namalowany obraz Chrystusa w grobie przed Zmartwychwstaniem, z rękami złożonymi na łonie dokładnie w taki sposób, jak jest to widoczne dzisiaj na Całunie Turyńskim. Jest mało prawdopodobne, być może historycznie niemożliwe, aby ta przemiana dokonała się w sposób niezależny od niedawno dokonanego odkrycia prawdziwej natury mandylionu. To, co zobaczono, gdy całkowicie rozłożono całun, wywołało na współczesnych tak silne wrażenie, że spowodowało rozwój poszukiwań teologicznych na obszarach jeszcze niezbadanych, który był tak wielki, że potrafił zmienić wrażliwość religijną tego świata. Bizancjum odkrywało Ukrzyżowanego jako wizerunek człowieka unicestwionego w wyniku przemocy ze strony innych ludzi, nagiego, pokrytego krwią, z głową opadłą na pierś, która nie jest już w stanie oddychać. Przez stulecia przedstawiano Go w Bizancjum jako żywego człowieka z otwartymi oczami, o pogodnej twarzy bez nawet minimalnego śladu cierpienia, często wręcz wspaniale ustrojonego w purpurę i w złotą koronę na głowie, zamiast Korony Cierniowej. Przez wiele lat wierni czcili sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem wizerunek cesarza w wystawnym stroju, który był „przyklejony” do krzyża prawie przez przypadek, o obliczu majestatycznym i nieczułym na ból. W gruncie rzeczy, bez popadania w herezję, idea, że Wybraniec Boży mógł zostać stracony niczym przestępca, była przyjmowana z trudnością. Obecnie natomiast teolodzy przypatrywali się z uwagą nowemu wymiarowi wiary, ujawniali się mistycy płaczący nad ranami Jezusa.

Na czworo podwójnie

Po zaakceptowaniu nowej rzeczywistości, która miała także drugorzędne konsekwencje natury politycznej, pozostawał otwarty problem ciągłości tradycji. Nie sposób było się wyprzeć dawnej historii mandylionu, a z drugiej strony nie zamierzano w żadnym przypadku rezygnować z tych nowości, które właśnie odkryto. W roku 944 nieznanymi z imienia autor o dużej erudycji, należący do dworu Konstantyna VII (a może sam cesarz, który był człowiekiem wielce wykształconym), napisał nową wersję legendy o Abgarze. Treść dawnego opowiadania zachowano, ale tym razem cudowne powstanie odbicia dokonało się właśnie podczas Męki Chrystusa; nic więc dziwnego, że na płótnie lnianym mandylionu można było dostrzec duże ślady krwi. Według nowej wersji Abgar był bardzo ciężko chory i zdecydował się wysłać do Jezusa posłańca o imieniu Ananiasz, który przez przypadek był także malarzem. Jezus nie mógł udać się do Edessy, ponieważ Jego misja w Jerozolimie

zbliżała się do końca. Dlatego też wyraził zgodę na namalowanie swego wizerunku, tak aby można było go zawieźć królowi. Ananiasz rozpaczliwie próbował oddać Jego rysy, lecz nie był w stanie tego uczynić, ponieważ miał wrażenie, że oblicze to nieustannie się zmienia w niewyjaśniony sposób. Wówczas Jezus wzruszył się i pragnąc udzielić pomocy choreму królowi, wziął chustę i podczas drogi na Golgotę przyłożył ją do twarzy i w ten cudowny sposób doszło do odbicia na niej rysów Jego twarzy. Interesujący zbieg okoliczności, który nie pojawia się być może wyłącznie przypadkiem: wspaniała, trzynastowieczna miniatura bizantyjska przedstawia przybycie mandylionu do Konstantynopola, a cesarz Konstantyn VII otrzymuje od Grzegorza Referendarza nie zwykłą chustę, lecz bardzo długi kawałek płótna, na którym zarysowuje się wizerunek Świętego Oblicza.

Nowa wersja legendy o Abgarze usiłowała poprawić - na ile to było możliwe - rozbieżności między namacalną postacią mandylionu, który ukazywał odbicie mężczyzny z klatką piersiową przebitą od uderzenia włócznią, a wcześniejszą tradycją, według której miał to być tylko realistyczny wizerunek Jezusa namalowany za Jego życia. Rezultat tych starań technicznie naiwnością i jest mało realistyczny: Jezus szedł z wielkim trudem w kierunku Golgoty, otoczony przez żołnierzy, którzy szydzili z Niego i nie pozwalali nikomu zbliżyć się do Niego, i w takich warunkach podano Mu chustę, aby mógł na niej pozostawić swoje odbicie, powierzając je posłańcowi królewskiemu. W tej to właśnie chwili w sposób cudowny miał powstać wizerunek, chociaż uderzenie włócznią, które pozostawiło ślad na mandylionie, Jezus otrzymał dopiero w późniejszym momencie, po śmierci na krzyżu. Fakt, że tego rodzaju manipulację opowiadania uznano za możliwą do przyjęcia, ma niewątpliwie istotne znaczenie z historycznego punktu widzenia. Jaki jest sens tej osobliwej sprzeczności? Ian Wilson zauważył, że już w Nauce Addaja określano mandylion interesującym przymiotnikiem tetradiplon, który oznacza "złożony na czworo podwójnie". Jest to przymiotnik, który byłby z pewnością pozbawiony sensu, gdyby mandylion był rzeczywiście kawałkiem płótna lnianego wielkości chustki albo ręcznika. W istocie, gdy złoży się go ośmiokrotnie, staje się on mniejszy niż typowy zeszyt szkolny i w tym momencie nie da się rzeczywiście zobaczyć niczego. Kiedy bowiem złoży się go ośmiokrotnie, czyli dokładnie tak, jak opisywały starożytne źródła, że mandylion był złożony, to Całun Turyński przybierze rzeczywiście formę ręcznika, a widzialne będzie wyłącznie odbicie twarzy. Jeżeli przez pewien czas pozostaje złożony w ten sposób, to płótno zachowuje ślady tego rodzaju zgięć pod postacią licznych, niewielkich odkształceń, które dobrze widać przy przenikającym je świetle. Całun zachowuje znaki tych starodawnych zgięć, a pośród nich znajduje się właśnie jeden ślad złożenia na osiem części, który po ponownym złożeniu pozwala tylko na zobaczenie twarzy,

dokładnie w taki sam sposób, jak widać to na starodawnych przedstawieniach mandylionu. Ian Wilson utrzymuje w związku z tym, że w Edessie płótno było przechowywane, pozostając złożone na osiem części, ukryte wewnątrz pokrytej tkanym we wzory materiałem drewnianej szkatuły, która z przodu miała otwór pozwalający zobaczyć tylko głowę. Był to relikwiarz, ale równocześnie także rodzaj przemyślanego zamaskowania, którego celem było ukazanie tylko absolutnie koniecznego fragmentu i przede wszystkim ukrycie okazałych rozmiarów plam krwi, które w ten sposób pozostawały niewidoczne we wnętrzu relikwiarza. Możemy mieć stosunkowo jasne wyobrażenie o wyglądzie tej szkatuły, która miała zdobienia podobne do tych, jakie można znaleźć na szatach królewskich w starożytnej Turcji; według Iana Wilsona to właśnie Abgar V, albo jeden z jego następców, nakazał z rozmysłem wykonanie tego relikwiarza, tak aby ukryć prawdziwą naturę tego przedmiotu i stworzyć wrażenie, że jest to chusta.

Prawdopodobnie powodem tego zamaskowania był fakt, że w regionie Edessy przeważały idee monofizyckie, co oznacza, że skłaniano się ku temu, aby traktować Jezusa jako byt obdarzony tylko boską naturą. Wizerunek przedstawiający Go jako zmarłego i pełnego ran wydawał się niestosowny, być może nawet narażał na ryzyko, że jego przeznaczeniem będzie zniszczenie. Jedno z piękniejszych przedstawień mandylionu znajduje się w manuskrypcie Rossiano greckim 251 w Bibliotece Apostolskiej Watykańskiej i przedstawia go osobliwie - dwukrotnie, w formie lustrzanego odbicia, tak jakby było to odbicie w negatywie, uzyskane z innego istniejącego realnie przedmiotu. Wystawny kodeks sporządzono w Konstantynopolu w XII wieku, a w owym okresie teologia ikony była dominująca już od dawna; ręce wandalii pocięły jednak wspaniałą miniaturę bizantyjską. To wydarzenie mówi wiele na temat trwałej i zagorzałej wrogości wobec kultu obrazów.

Po uroczystym umieszczeniu w cesarskim zbiorze relikwii jako jej najcenniejszego przedmiotu, mandylion nie był dotykany nawet przez samego cesarza, a jego wystawienie na widok publiczny miało miejsce niezwykle rzadko, tylko z okazji szczególnych rocznic. Sanktuarium kaplicy z Pharos było miejscem nietykalnym, pozostającym pod imponującym nieustannym nadzorem. Doświadczenie uczyło bowiem, że konieczna była jego ochrona zarówno przed chciwością potencjalnych złodziei, jak i przed fanatyzmem wiernych. Po tym, jak Helena, matka Konstantyna, znalazła kawałki krzyża w Jerozolimie, relikwie te były wystawiane swobodnie dla wiernych, którzy mogli dotykać i całować je bez żadnych środków ochrony; szybko jednak okazało się nieodzowne ograniczenie tej swobody, ponieważ pewnemu pielgrzymowi - udającemu, że składa pocałunek na krzyżu - udało się odgryźć z niego kawałek drzewa. Czasem podczas ceremonii w szczególne uroczystości cesarz mógł

udzielić najwyższego zaszczytu zwiedzenia kaplicy w Pharos niektórym znamienitym gościom, jak ambasadorzy lub przywódcy państw. Ten przywilej stał się z pewnością udziałem Amalryka, króla Jerozolimy, w roku 1171, gdy przybył z wizytą na dwór cesarza Manuela I Komnena, o czym opowiada kronika Wilhelma z Tyru, podczas gdy arabski pisarz zwany Abu Nasr Yahya mógł widzieć mandylion wystawiony na widok publiczny w Hagia Sophia podczas uroczystej procesji w roku 1058.

Oryginalny relikwiarz zrobiony w Edessie został prawdopodobnie zachowany, jak sugerują liczne reprodukcje. Jest jednak możliwe, że w pewnym momencie cesarze podjęli decyzję o sporządzeniu identycznej kopii oblicza z Całunu i umieszczeniu jej w tym starożytnym relikwiarzu, tak aby móc wystawić całkowicie rozłożony całun i w związku z tym kontemplować wizerunek całego ciała. Istotnie wielu dawnych autorów opisuje w zbiorze cesarskim w Konstantynopolu całun, bardzo podobny do Całunu Turyńskiego, oraz mandylion jako dwa różne przedmioty. Fakt ten można by jednak wyjaśnić w sposób bardzo prosty. Według niektórych źródeł bizantyjskich normalnym miejscem przechowywania mandylionu była kaplica cesarska w Pharos, gdzie trzymano go razem z inną słynną relikwią, jaką był keramion, czyli dachówka zakrywająca w mieście Edessa schowek, w którym przez długi czas była schowana cudowna ikona Jezusa. Według tradycji wizerunek oblicza Jezusa był cudownie odcisnięty na terakocie tej dachówki i w ten sposób także keramion został zawieszony do Konstantynopola, aby i jemu była oddawana cześć wiernych. Umieszczone jedna obok drugiej, relikwie tworzyły sugestywną całość przypominającą o Męce Chrystusa. Robert z Clari, wywodzący się z Flandrii uczestnik krucjaty, który był ostatnią osobą widzącą całun przed wielką grabieżą, opisuje jednak bardzo szczególną ceremonię wystawienia:

Pośród nich znajduje się także klasztor zwany Naszej Pani z Blacherne, w którym przechowuje się całun, w który był owinięty Nasz Pan; we wszystkie piątki (wielkie) zostaje on podniesiony całkowicie do góry, tak że można widzieć na nim postać. Nikt, ani Grek, ani Francuz, nie wie, co wydarzyło się z tym całunem, kiedy miasto zostało zdobyte.

W kościele Matki Bożej w dzielnicy Blacherne całun rozwijano za pomocą rusztowania wyposażonego w mechanizm, który unosił go powoli, tak aby wierni mogli stopniowo oglądać ciało Jezusa, jak gdyby wylaniało się ono z grobu. Płótno przechowywano więc najpierw złożone, a z czasem zrodził się zwyczaj ukazywania go w całości. Według Roberta z Clari ceremonia w kościele w Blacherne odbywała się w każdy piątek, jest jednak bardzo prawdopodobne, że miał on raczej na myśli wyłącznie Wielkie Piątki, a nie każdy piątek tygodnia. Jego opis w powiązaniu z informacjami zawartymi w innych źródłach nasuwa przypuszczenie, że przy szczególnych okazjach całunmandylion był wyciągany z

relikwiarza w kaplicy w Pharos i przenoszony do kościoła w Blacherne, ażeby wierni mogli go podziwiać także w całości, w ramach wzniosłej liturgii "podniesienia" (po grecku anastasis, "zmartwychwstanie").

W świetle aktualnego stanu wiedzy jest ewidentne, że Całun Turyński był przez pewien czas własnością cesarzy bizantyjskich, ponieważ informacje udzielone przez autorów z tamtych epok są dość precyzyjne. Z drugiej strony jest także prawdą, że aż do epoki Konstantyna VII Porfirogenety tradycja mandylionu mówi o nim jako o wizerunku żywego Jezusa w formie popiersia, podczas gdy w późniejszym okresie (jak przedstawimy to za chwilę) przedmiot ten opisuje się zawsze jako płótno, na tle którego zarysowuje się wizerunek całego ciała Jezusa. W chwili obecnej nie wiemy dokładnie, w jaki sposób doszło do tej zmiany. Opinia głoszona przez historyków jest bardzo wiarygodna: według niej w Edessie próbowano na wszystkie sposoby ukryć przeznaczenie żałobne mandylionu, ponieważ znaki cierpienia i śmierci na osobie Chrystusa mogły zrodzić skandal nie do zniesienia w tym konkretnym kontekście historycznym. Wyjaśnienie to niekoniecznie jednak musi być właściwe albo być może łączy się z innymi zagadnieniami, które teraz pomijamy. Jest oczywiste, że znamy precyzyjnie pewne okresy w tysiącletniej historii całunu, podczas gdy o innych nie wiemy nic. Podjęcie na siłę próby opowiadania o losach całunu, okres po okresie, jest moim zdaniem mało przydatne, ponieważ oznacza to, że w wielu wypadkach trzeba próbować pogodzić ze sobą, na ile to tylko możliwe, informacje pełne luk albo bardzo wątpliwe. O wiele roztropniej będzie natomiast uporządkować te cegiełki, co do których mamy pewność, i czekać na to, że nowe odkrycia udostępnią nam nowe, przekonujące informacje.

W istocie tradycja religijna, która uobecnia się w niektórych ikonach mandylionu, dołącza do niej wizerunek martwego Chrystusa w grobie, jak pokazuje to na przykład znajdująca się w Państwowym Muzeum Rosyjskim w Sankt Petersburgu wspiana ikona namalowana przez Prokopa Tehirina na początku XVII wieku. Ciało umarłego Chrystusa z rękami złożonymi na łonie - tak jak na całunie - wyłania się z grobu, podczas gdy powyżej dwóch aniołów ukazuje mandylion, który nie jest małą chustą, lecz stosunkowo długim kawałkiem płótna.

Dzięki publicznym wystawieniom mandylionu oraz relacjom na jego temat ze strony cudzoziemskich ambasadorów, którzy jako uprzywilejowane grono mogli go zobaczyć, już w XI wieku wieść o mandylionie rozprzestrzeniła się także na Zachodzie. W Europie nie przedstawiono go jednak nigdy jako chusty, lecz od samego początku mówiono o nim jako o płótnie, na którym znajdował się wizerunek całego ciała Jezusa. W tekście kazania

przypisywanego papieżowi Stefanowi III (768-772) dodano w XII wieku niewielki fragment, który przekazywał "zaktualizowaną" wersję legendy o Abgarze, wraz ze zmianami dodanymi za panowania Konstantyna Porfirogenety:

I tak Pośrednik między Bogiem i ludźmi, aby całkowicie zadowolić władcę, położył się całym swym ciałem na płótno lniane, białe niczym śnieg. I na tym lnianym płótnie - rzecz cudowna, o której nikt nigdy nie mówił ani o niej nie słyszał - przemienił cudownie najszlachetniejszą postać swego oblicza i całego swego ciała, tak aby zobaczenie przemienienia odcisniętego na tym płótnie lnu mogło wystarczyć także tym, którzy nie mogli zobaczyć Pana w ciele.

Mniej więcej w tym samym okresie, między rokiem 1131 a 1141, mnich Orderico Vitali w swej Historii Kościoła stwierdzał jednoznacznie, że mandylion z Edessy nosił wizerunek całego ciała Jezusa:

Abgar rządził jako król Edessy. Jemu Pan Jezus przesłał [...] najszlachetniejsze płótno lniane, którym otarł pot z własnego oblicza, i na którym ukazują się rysy Pana odbite w cudowny sposób. Osobom, które patrzą na niego, pokazuje on wizerunek i wymiary ciała Pana;

A w *Otia Imperialia* Gerwazego z Tilbury, zredagowanych w roku 1218, kolejny raz potwierdza się ten fakt:

Dzięki historii opowiedzianej w dawnych dokumentach wiadomo, że Pan położył się całym swym ciałem na najbielszym z płócien lnianych i w ten sposób przy użyciu Boskiej władzy pozostał odbity na lnie najpiękniejszy wizerunek nie tylko oblicza, ale także całego ciała Pana.

W roku 1957 historyk Pietro Savio podał do wiadomości, że w manuskrypcie Biblioteki Watykańskiej znajduje się inne świadectwo pochodzące z XII wieku, zawierające "poprawioną" wersję legendy Abgara. Jezus napisał do króla: "Jeśli rzeczywiście chcesz zobaczyć moje oblicze takim, jakie ono jest w rzeczywistości, prześlę Ci kawałek materiału; odnośnie do niego wiedz, że na nim, pod wpływem Boskiego działania, przemienił się nie tylko wizerunek mego oblicza, ale także całego ciała"⁶⁴.

Po roku 1190 papież Celestyn III (1191-1198) otrzymał z Konstantynopola w darze wystawny baldachim liturgiczny przeznaczony do użycia w czasie uroczystych procesji. Było to arcydzieło sztuki sakralnej, które przedstawiało mandylion jako płótno noszące wizerunek umarłego Chrystusa, ułożonego z rękami na łonie w identyczny sposób, jak widać to na całunie. Niedawno zaś Gino Zaninotto odkrył inny manuskrypt grecki z X wieku, potwierdzający ponownie, że słynna relikwia bizantyjska zawierała wizerunek całego ciała.

Z Bizancjum do Lirey? Ian Wilson uważa, że całunmandylion zniknął z Konstantynopola podczas straszliwego plądrowania, które miasto musiało znieść w czasie czwartej krucjaty (1204). Następnie pozostał ukryty przez wiele dziesięcioleci, aby wreszcie pojawić się ponownie w roku 1353 w Lirey, niewielkim miasteczku w środkowopółnocnej Francji. W tym roku rycerz Galfryd z Charny, który jako chorąży królewski dzierżył sztandar Francuzów, czyli Oriflamme, w wojsku króla Jana Dobrego, a ponadto był jednym z najznacniejszych dostojników na dworze królewskim, ofiarował wyjątkową relikwię kościołowi będącemu kolegiatą, który dopiero co ufundował właśnie w Lirey. Wystawiano więc tam całun przedstawiany jako prawdziwy całun Chrystusa, umożliwiając wiernym oddawanie mu czci w ramach licznych, uroczystych nabożeństw, które wzbudziły entuzjazm wiernych i zawiść miejscowego biskupa. Kiedy po wielu przejściach całun dostał się w ręce rodziny sabaudzkiej, przechowywano go najpierw w Chambery w okazałej kaplicy świętej w pałacu książęcym, a następnie przeniesiono go do Turynu, gdzie znajduje się do dzisiaj. Powiązanie z zakonem templariuszy zasugerowała Ianowi Wilsonowi wiadomość, że człowiek, który poniósł śmierć na stosie razem z Jakubem z Molay, nazywał się Galfryd z Charny, czyli dokładnie tak samo jak właściciel całunu w Lirey.

Niektórzy wysunęli zastrzeżenie wobec tego ostatniego punktu, utrzymując, że w źródłach pierwszy właściciel całunu nazywany jest Galfryd z Charny, natomiast nazwisko komandora templariuszy w Normandii pojawia się w różnych dokumentach w rozmaitych formach: czyli Charny, ale także Charneyo, Charnayo, Charniaco. W opinii sceptyków mielibyśmy więc do czynienia z niewielką różnicą brzmienia i to wystarczy, aby zakładać, że chodzi o dwie różne osoby. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że w rejestrze administracyjnym z czasów króla Filipa VI Valois nazwisko pierwszego właściciela całunu oddaje się przy użyciu form: de Charneyo, a także Charni, Charnyo albo Charniaco, czyli dokładnie w taki sam sposób, jaki spotkamy w przypadku jego krewnego, templariusza Galfryda, który poniósł śmierć na stosie 18 marca 1314 roku razem z Jakubem z Molay.

Na podobne rozumowanie, które rości sobie prawo do dzielenia włosa na czworo w kwestii odmian ortografii łaciny średniowiecznej, może się dać złapać tylko osoba, która nie ma żadnego doświadczenia z dokumentami średniowiecznymi. Tego rodzaju wywody byłyby słuszne, gdyby nasz bohater żył we Francji Napoleona albo Victora Hugo, czyli w świecie, w którym rzeczą pierwszoplanową jest drukowany papier, i nade wszystko zdominowanym przez kulturę, w której oficjalnie mówi się po francusku. W społeczności średniowiecznej sprawy wyglądają zupełnie inaczej. Akta procesu przeciw templariuszom, podobnie jak nieprzeliczona ilość innych dokumentów z tej samej epoki, były pisane ręcznie, a to oznacza,

że w dokumentach tych mogły pojawiać się bardzo łatwo małe błędy. Głównym problemem było jednak przede wszystkim to, że sporządzano je po łacinie przez notariuszy, którzy słuchali świadków mówiących w swoim rodzimym języku, w tym przypadku po francusku, i równocześnie dokonywali tłumaczenia tych wypowiedzi na łacinę. Wszystkie nazwiska francuskie nie istniały w łacinie, a pomimo to trzeba było w jakiś sposób oddać te dźwięki, często tak specyficzne; dokonywano więc pewnych adaptacji, które mogły różnić się między sobą w zależności od notariusza. Z tej przyczyny są sytuacje, że ta sama osoba jest wymieniana przy użyciu form, które często znacznie różnią się między sobą, a tego rodzaju różnorodność może wydawać się nam dzisiaj wręcz śmieszna. Nazwisko Jakuba z Molay można spotkać napisane także jako Malay, Molabo i Malart, podczas gdy wizytator Zachodu Hugon z Perraud nazywany jest Parando, Peraudo, Penrando, Penrado, Peralto, Peraut, ale także Peraldo, Paurando i Deperando. W przypadku przywódców templariuszy żyjących przed procesem sytuacja jest jeszcze bardziej osobliwa: nazwisko Gilberta Erail jest pisane także Koral, Arayl, Herac, Eraclei i Eraclius, a nazwisko Roberta z Sabie pojawia się jako Sabolio, Sabluillio, Salburis, Sabloel i Sabloil. Także w rejestrach papieży średniowiecznych zjawisko to jest na porządku dziennym: w tym samym liście, napisanym przez tego samego notariusza, zdarza się często, że to samo nazwisko jest oddane na różne sposoby. Jeżeli musimy więc osądzać fakty w ich kontekście historycznym, to powiedziałabym, że notariusze przepisali nazwisko Galfryda z Charny stosunkowo wiernie, niewątpliwie o wiele lepiej niż w wielu innych przypadkach.

Informacje, które możemy uzyskać na podstawie dokumentów procesu przeciw templariuszom, potwierdzają hipotezę Wilsona. Galfryd z Charny należał do wąskiego kręgu współpracowników Jakuba z Molay i był jedynym *compaignon dou Maistre*, któremu Nogaret przypisywał taką władzę w Świątyni, że podjął decyzję o zamknięciu go w więzieniach w Chinon razem z członkami Rady Najwyższej. Wybór sposobu uwięzienia oraz brak zgody na to, aby papież mógł ich osobiście przesłuchać, pozwala przypuszczać, że Charny i inne osoby mogły udzielić informacji, które były rozstrzygające dla przebiegu procesu. Galfryd pochodził z rodziny rycerskiej i wstąpił do zakonu templariuszy w roku 1269 w domu zakonnym w Etampes, w diecezji Sens; ceremonii jego wstąpienia przewodniczył ważny dostojnik zakonu templariuszy Amalryk z La Roche, o którym jeszcze będziemy mówić, osobistość pierwszoplanowa w zakonie Świątyni, ale także człowiek ściśle związany z francuską rodziną królewską. Musiała to być ważna ceremonia, skoro preceptor Paryża Jean le Franceys przybył ze swego domu, aby wziąć w niej udział.

Urodzony około roku 1250, rycerz Galfryd z Charny w roku 1294 był przełożonym domu w Villemoison, w Burgundii, a rok później, w wieku zaledwie 45 lat, został przełożonym prowincji templariuszy w Normandii. Była to kariera godna podziwu, ale nie tylko miejsce w hierarchii zakonu określało jego władzę i autorytet w Świątyni. Źródła templariuszy dowodzą, że był zawsze blisko Jakuba z Molay. W roku 1303 Galfryd z Charny przebywał w domu w Marsylii, gdzie uczestniczył w ceremonii wstąpienia do zakonu młodego sługi Wielkiego Mistrza, odpowiedzialnego za jego rynsztunek wojskowy i konie. Przyjął go do zakonu Symon z Quincy, będący wówczas nadintendentem, który miał dokonać przeprawy do Outremer (Zamorza). Marsylia była głównym portem francuskim, z którego wyruszały wyprawy na Bliski Wschód, i oba świadectwa potwierdzają, że bracia obecni na tej kapitule udali się następnie w kierunku Cypru. Reguła templariuszy odnosząca się do przełożonych zakonnych zakazywała przełożonym prowincji zachodnich udawania się do Outremer, z wyjątkiem sytuacji, gdy zobowiązani posłuszeństwem czynili to na wyraźny rozkaz Wielkiego Mistrza. Jest więc pewne, że Galfryd z Charny znajdował się w tym miejscu, gdy był wraz z innymi braćmi w podróży, aby dotrzeć do Jakuba z Molay.

Z pewnością istniała silna więź przyjaźni między Wielkim Mistrzem a Galfrydem z Charny. Jak podaje autor kroniki będącej kontynuacją dzieła Wilhelma z Nangis, tylko komandor Normandii zdecydował się pójść na stos za Jakubem z Molay, krzycząc do tłumu, gdy pozwolono mu wygłosić ostatnie słowo, że Świątynia jest niewinna i nie zdradziła wiary chrześcijańskiej. Galfryd z Charny do ostatniego momentu pozostał jednym z najważniejszych przywódców Świątyni.

Jest jeszcze jeden istotny szczegół. Jeżeli przyjrzymy się całościowo dokumentom procesowym, zauważymy, że komandor Normandii Galfryd z Charny znany był współbraciom także pod przydomkiem wskazującym na miejsce jego pochodzenia, tak jak dzisiaj mówimy na przykład "Toskańczyk" albo "Sycylijczyk". Charny był zwany także le berrujer, co w trzynastowiecznym języku francuskim oznaczało "pochodzący z Berry". Jest to obszar nazywany dzisiaj Champagne beñchonne, który w późnym średniowieczu był rozdzielony między dwóch wielkich władców feudalnych: hrabiego Szampanii i księcia Burgundii. Tu właśnie żył i rozwijał się pomyślnie ród de Charny, którego członkowie istotnie musieli nieustannie lawirować w skomplikowanej grze sił narzuconej przez obecność dwóch wielkich możnowładców.

Komandor templariuszy w Normandii Galfryd z Charny i chorąży króla francuskiego, który był właścicielem całunu w połowie XIV wieku, przynależeli z dużym prawdopodobieństwem do tej samej rodziny, chociaż źródła nie dają nam możliwości

szczegółowego poznania stopnia ich pokrewieństwa. Ród de Charny związał się z zakonem templariuszy pod koniec XII wieku. W roku 1170 Guy sprzedał Świątyni las, ale już 11 lat później jego synowie, Haton i Symon, darowali zakonowi 15 arpentów ziemi, podczas gdy w roku 1262 inny członek rodu Adam darował zakonowi posiadłość ziemską w Vallbardin. Należy wziąć pod uwagę, że darowizny te były często rodzajem "posagu" dla syna, który wstępował do zakonu. Posiadłości templariuszy w Charny były odległe zaledwie o ćwierć mili od komandorstwa. Dzięki kartulariuszowi z Provins wiadomo nam, że w roku 1241 żył templariusz zwany Hugon z Charny, który z dużym prawdopodobieństwem mógł być wujem przyszłego komandora Normandii.

Rodzina miała również do czynienia (choć w sposób pośredni) z innym wydarzeniem, które bezpośrednio dotyczyło całunu. Chodzi o czwartą krucjatę, wraz ze straszliwą grabieżą Konstantynopola, podczas której całun zaginął. Hrabia Wilhelm z Champlitte, jeden ze znamienitszych możnowładców uczestniczących w zdobyciu Konstantynopola, który następnie został księciem Achai, poprosił o rękę Elżbietę z rodu Mont Saint-Jean, panów w Charny. Już od połowy XII wieku Jeudum w Charny było bardzo ściśle związane z rodziną de Courtenay. Piotr I z Courtenay, władca także w Charny i ostatni syn króla francuskiego Ludwika Grubego, był ojcem Piotra II z Courtenay, przyszłego cesarza Konstantynopola w roku 1205. Rok po zdobyciu stolicy Bizancjum, czyli właśnie w roku 1205, przedstawiciel rodu de Courtenay zamieszkuje w zamku w Charny. W późniejszym okresie, również wtedy, gdy Grecy odzyskali kontrolę nad cesarstwem wschodnim, de Charny zachowali powiązania z posiadłościami, które powstały na tamtych terytoriach. Na początku XIV wieku rycerz Dreux z Charny poślubił szlachetnie urodzoną Agnieszkę, dziedziczkę posiadłości greckich w Vostitza.

Znane źródła pokazują w każdym razie wyraźnie, że rodzina de Charny nie weszła w posiadanie całunu nazajutrz po wielkiej grabieży, lecz wiele dziesięcioleci później.

Tragedia czwartej krucjaty

10 października roku 1202 oddziały czwartej wyprawy krzyżowej wypływały z Wenecji w kierunku Bliskiego Wschodu pod wodzą margrabiego Bonifacego z Montferratu. Była to wielka armia złożona z około 33 000 krzyżowców pochodzenia przede wszystkim francuskiego oraz około 17 000 weneccjan. Na nabrzeżu wielkiej republiki nadmorskiej możnowładcy francuscy z ich świtą byli zmuszeni do bezczynności o wiele dłużej, niż to przewidywano. Pomijając szczerą intencję odzyskania Jerozolimy i Świętego Grobu, na skutek złej oceny możliwości finansowych organizatorzy krucjaty zaciągnęli wielkie długi u budowniczych okrętów w Republice Weneckiej. Stocznicy pracowali całymi miesiącami

dla krucjaty i chcieli otrzymać zapłatę. Wyprawa od samego początku miała więc jeden bardzo słaby punkt: względy ekonomiczne przesłoniły ideały religijne, i to do tego stopnia, że ostatecznie były je w stanie stłumić. We wcześniejszych miesiącach, kiedy rozeszły się wieści, że plan krucjaty zakładał zaatakowanie Egiptu, weneccjanie okazali się bardzo niechętni do współpracy, ponieważ nie opłacało im się przeznaczać środki na przedsięwzięcie, które nie rokowało wielu korzyści dla miasta. Doża zwlekał z przyjęciem wysłanników ponad dwa tygodnie, a następnie przedstawił swoją propozycję: Wenecja dostarczy statki do transportu uczestników krucjaty i nieodzowne zapasy przez okres jednego roku, a w zamian otrzyma z góry pokrycie kosztów i prawo do uzyskania połowy tego, co zostanie zdobyte. Możliwość władcy francuscy natychmiast przyjęli tę propozycję, wykazując przy tym pewną dozę naiwności.

Po postojach w Pola, aby uwolnić wybrzeże od piratów, 10 listopada flota przybiła do Zadaru. Tam doszło do tragicznej zapowiedzi przyszłych wydarzeń. Weneccjanie wywarli presję na uczestników wyprawy, aby splądrowali miasto, które było chrześcijańskie, ale należało do Królestwa Węgier i dla Wenecji stanowiło łakomy kąsek. W okolicach Zadaru zatrzymano się przez całą zimę, ponieważ morze było zbyt wzburzone, aby kontynuować wyprawę. Z nadejściem wiosny flota wzięła kurs na Korfu. Tymczasem inna część wojska krzyżowców oczekiwała w Ziemi Świętej. Po apelu papieża Innocentego III wszystkie siły królestwa chrześcijańskiego zgromadziły się, a zakony rycerskie, templariusze i szpitalnicy przygotowali plan działań wojskowych. Zaraz po dotarciu do wybrzeży Syrii wojsko przybywające z Europy miało zorganizować wyprawę celem wzmocnienia obecności chrześcijan na obszarze od północnej Syrii aż po Armenię. Następnie należało zaatakować Egipt, ponieważ to właśnie stamtąd docierało wsparcie dla muzułmanów władających w Jerozolimie.

Wiosną 1203 roku armia krzyżowców przygotowywała się do odpłynięcia z Korfu, pojawiła się jednak pewna nowość. Przywódcy podjęli decyzję o zmianie kierunku trasy i o przejściu przez Konstantynopol, wielką stolicę imperium greckiego, która rozciągała się nad Bosforem. Przyczyny były różnorakie, najważniejszym powodem, na który z reguły wskazywano, był jednak tragiczny los prawowitego cesarza greckiego Izaaka II Angelosa, oślepiętego i pozbawionego władzy. Jego syn Aleksy uciekł do Europy i znalazł schronienie u siostry, która wyszła za mąż za Filipa Szwabskiego, brata cesarza Henryka VI. Filip prosił więc, aby wojska krzyżowców udały się do Konstantynopola i pomogły jego szwagrowi Aleksemu odzyskać władzę. Chodziło więc po prostu o udzielenie wsparcia prawowitej dynastii, która następnie w ramach wdzięczności pomogłaby krucjacie, oddając do jej

dyspozycji znaczną część wojska bizantyjskiego. Wielu uczestników krucjaty nie dało się jednak przekonać temu tłumaczeniu; być może przeczuwali, że sprawy idą w złym kierunku, dlatego też opuścili wyprawę i popłynęli do Ziemi Świętej na własną rękę.

Zarówno sens, jak i cele krucjaty były już skompromitowane. Kiedy do Kurii Rzymskiej dotarła nowina, że Zadar został zdobyty, Innocenty III ekskomunikował oficjalnie weneccjan jako odpowiedzialnych za agresję. Papież wiele miesięcy temu stracił już jednak kontrolę nad całym przedsięwzięciem. Legat papieski Piotr z Kapui był krytykowany przez weneccjan, którzy przestali go uznawać jako przedstawiciela papieża z powodu jego poglądów, które były sprzeczne z ich interesami. W konsekwencji kardynał został zmuszony do powrotu, a następnie osobno przybył do Ziemi Świętej. 18 lipca 1203 roku wojsko krzyżowców dotarło do Konstantynopola. Powody, które uzasadniały to dziwne zejście z ustalonej trasy, nie miały już racji bytu, ponieważ prawowity cesarz Izaak Angelos, choć oślepiiony przez swych wrogów, odzyskał tron z pomocą swych greckich poddanych. Minęło kilka miesięcy pozornego spokoju, przerywanego tylko kilkoma aktami przemocy. Wojsko stało obozem poza murami miasta, krzyżowcy lustrowali wzrokiem wspaniałą stolicę, wpatrując się chciwie w jej skarby i rozmyślając o przyszłym łupie. Niektóre ważne osobistości udały się z poselstwem do młodego Aleksego, ukoronowanego na cesarza razem z ojcem 1 sierpnia 1203 roku, i zwiedzili monumentalny pałac cesarski z jego nieprzeliczonym zbiorem relikwii. Rycerz francuski Gotfryd z Villehardouin stwierdził w swej Kronice, że sam Konstantynopol posiadał tyle relikwii ile cała reszta świata.

Na przyszłości wyprawy zaciążył wielki dług będący wynikiem umowy z weneccjanami. Cesarz Aleksey usiłował zgromadzić tak dużo, ile był w stanie, ale udało mu się zapłacić zaledwie połowę olbrzymiej sumy, na którą się uprzednio zgodził. Pojmując, że sytuacja staje się coraz bardziej konfliktowa, wpadł na pomysł, aby zawłaszczać wielkie majątki wysoko postawionych rodzin i nakazał stopić złote i srebrne naczynia, które zdobiły kościoły. W sierpniu tłum Greków zaatakował dzielnicę łacinników, korzystając z okazji, że cesarz był poza miastem, i podłożył ogień pod sklepy kupców genueńskich, pizańskich i weneckich. Kilka dni później zgraja Flamandów, weneccjan i pizańczyków zaatakowała dzielnicę muzułmańską i podpaliła meczet. Mocny wiatr spowodował rozszerzenie się pożaru i w jego konsekwencji cała dzielnica Konstantynopola została zniszczona. Około 15 000 łacinników, którzy na stałe zamieszkiwali w Konstantynopolu, schroniło się wśród krzyżowców, zwiększając ich szeregi. Z końcem roku 1203 przywódcy krucjaty postawili cesarzowi ultimatum: jeśli Aleksey nie spełni jak najszybciej swych obietnic, to zostanie to uznane za zerwanie przymierza, a łacinnicy będą mieli prawo rozpocząć z nim wojnę. W

styczniu 1204 roku urzędnik cesarski Aleksy Murzuflos, dokonując zamachu stanu, pozbawił władzy cesarza. Następnie dał do zrozumienia krzyżowcom, że nie zapłaci długów swego poprzednika i zamierza wypędzić ich z ziemi bizantyjskiej. W marcu możnowładcy francuscy i weneccjanie zwołali naradę w celu zaplanowania podboju Konstantynopola i rozbiorów przysłego cesarstwa, które kiedyś otrzymałoby zdobytą stolicę. Nade wszystko Wenecja miała otrzymać zwrot poniesionych wydatków, następnie doża miał dostać prawo pierwszego wyboru ze zgromadzonego łupu, aż do trzech czwartych całości; zaplanowano także wybór nowego cesarza, który powierzono komisji złożonej z sześciu Francuzów i sześciu weneccjan. Partia pokonana miała prawo do nominowania przysłego patriarchy rytu łacińskiego.

Przez trzy straszliwe dni, od 14 do 16 kwietnia 1204 roku, Konstantynopol był wystawiony na grabież bez precedensu, która nie oszczędziła nikogo; doszło nawet do profanacji kościołów, chociaż wyprawa, która zaprowadziła tych ludzi nad brzegi Bosforu, przybyła tam oficjalnie pod sztandarem hasła religijnego. Doszło do straszliwej rzezi mieszkańców; i choć w przyszłości cywilizacja bizantyjska podniosła się z upadku i przeżyła jeszcze chwile chwały, to jednak grabież z 1204 roku odcisnęła na niej straszliwą ranę i zaszkodziła w sposób nieodwracalny idei unii między Kościołami greckim i łacińskim, na której tak bardzo zależało Innocentemu III. Po aktach przemocy podczas plądrowania miasta nastąpił skrupulatnie przeprowadzony rabunek innych skarbów przechowywanych w stolicy, cennych przedmiotów, którym krzyżowcy mieli okazję przyjrzeć się uważnie we wcześniejszych miesiącach. Mnisi greccy usiłowali ocalić wiele relikwii i innych przedmiotów świętych, ale wszystkie próby ich ukrycia zakończyły się niepowodzeniem.

Była zawarta wstępna umowa między zdobywcami: cały łup miał zostać zgromadzony w domu Garniera z Traynel, biskupa Troyes, pod karą ekskomuniki, a dopiero następnie podzielony. Podaje się, że doża przebiegle zaproponował możnowładcom francuskim, że zadba o wystawienie strażników nad łupem w zamian za zapłatę ryczałtem w wysokości 10 marek na głowę. Tym razem jednak przeliczył się co do naiwności Francuzów, którzy odrzucili ofertę. Zresztą weneccjanie pierwsi złamali umowę, ponieważ przetransportowali skrycie na swe okręty wiele cennych przedmiotów pod osłoną nocy. Nie byli jedynymi, którzy tak postępowali. Obok oficjalnego podziału łupów dokonywało się równoległe i niezależnie ich pokątne rozdzielanie, a następnie godne potępienia kupczenie relikwiami. Rozpowszechniła się idea, że otrzymanie przynajmniej jednej relikwii oznacza uzyskanie zwolnienia ze złożonego ślubu wyzwolenia Jerozolimy; ludzie myśleli, że gdy otrzymają tak

cenną zdobycz, będą mogli zapomnieć o Grobie Świętym i wrócić spokojnie do ojczyzny z czystym sumieniem. Nikt nie chciał wracać z pustymi rękami.

Żadna świątynia nie została oszczędzona. Wieści o tym niegodnym targowaniu rzeczami świętymi skłoniły Sobór Laterański IV w roku 1215 do rzucenia ekskomuniki na te osoby, które stały się winne handlu relikwiami.

Poszczególni uczestnicy krucjaty znajdowali sposób, aby po kryjomu zdobyć dla siebie te tak pożądane przedmioty z zamiarem zawiezienia ich do swych ojczystych stron, ażeby w ten sposób wzbogacić rodzinne kościoły. W ciągu zaledwie czterech lat olbrzymi skarbiec świętych relikwii przechowywany w Konstantynopolu został przetransportowany do Europy. Uczestnicy krucjaty często wysyłali je do osób, na których względy liczyli, albo traktowali je jako rodzaj inwestycji: posiadanie sławnej relikwii wydawało się gwarancją przyszłych dochodów, ponieważ spodziewano się, że tłumy wiernych zbiegną się, aby oddać im cześć i tym samym złożą wiele datków na rzecz miejscowego kościoła. Z takimi widokami na przyszłość uczestnik krucjaty Nivelon z Quierzy, biskup Soisson, obciążył hipoteką przyszłe zyski z relikwii w jego posiadaniu, ażeby odbudować katedrę i most we francuskim mieście ChalonsurMarne. Także koszty prac restauracyjnych w katedrze w Troyes pokryto z przychodów uzyskanych z relikwii darowanych przez biskupa Garniera z Traynel. Ta sama sytuacja powtarzała się w innych przypadkach. Gdy relikwie docierały do Europy, czekano na ich przybycie do miejsca przeznaczenia z wielką bojaźnią, a przekazywanie ich adresatom dokonywało się podczas bardzo uroczystych ceremonii religijnych, którym towarzyszyło śpiewanie hymnów i poematów napisanych specjalnie na tę okazję.

Szczególne procedury obowiązywały natomiast w przypadku relikwii należących do wielkiego zbioru cesarzy bizantyjskich, które przechowywano w kaplicy w Pharos i w bazylice w Blacherne. Cała operacja ich dotycząca była skrupulatnie rejestrowana w urzędowym protokole; pakowano je do specjalnie w tym celu przygotowanych skrzyń, które następnie pieczętowano, aby uniknąć groźby kradzieży i fałszywych kopii, i powierzano najbardziej zaufanym posłańcom. Wyposażano je w paszport i certyfikat autentyczności, który był gwarancją pochodzenia i nosił na sobie złotą pieczęć cesarza bizantyjskiego.

W roku 1241, kiedy cesarstwo łacińskie Konstantynopola, po długim okresie chylecia się ku upadkowi, weszło w pełni w ciężki kryzys ekonomiczny, ostatnie, bezcenne relikwie Męki Chrystusa opuściły stolicę. Nabył je wyjątkowy kupiec, król Francji Ludwik IX, który był człowiekiem wielkiej i szczerzej wiary, i dla ich pozyskania wydał prawdziwą fortunę. W sercu Paryża, przy katedrze NôtreDame, wybudowano mały kościółek: SainteChapelle (Święta Kaplica) o przepięknym wystroju, który sam w sobie był klejnotem godnym tego, aby

przechowywać w nim tego rodzaju skarby. Odpowiednio zapakowane, opieczetowane, potwierdzone i powierzone godnym zaufania dłoniom, Prawdziwy Krzyż, Włócznia, Gąbka, Korona Cierniowa i znaczna ilość innych relikwii Jezusa, zamkniętych w ich oryginalnych, cennych relikwiarzach, ruszyły w podróż w kierunku Francji.

Jeżeli więc templariusze weszli w posiadanie całunu, to z pewnością nie mogli nie uwzględnić jego historii i faktu, że został zrabowany podczas straszliwej masakry, na której uczestników Innocenty III rzucił anatemę. Płótno miało nieporównywalną z niczym wartość, ale fakt posiadania go niósł ze sobą wielkie ryzyko.

Cenniejsze od klejnotów

Hipoteza wysunięta w swoim czasie przez lana Wilsona wypełniałaby lukę, jaka istnieje między świadectwami bizantyjskimi przed płądrowaniem miasta w kwietniu 1204 roku a świadectwami starszymi o około sto pięćdziesiąt lat, które mówią o obecności bezcennej relikwii we Francji w połowie XIV wieku. Fascynująca i stosunkowo dobrze udokumentowana, hipoteza ta wzbudziła w swoim czasie dużo entuzjazmu, ale niektórzy naukowcy wypowiedzieli się o niej krytycznie, ponieważ istotnie autor miał skłonność do uznawania niektórych faktów za oczywiste, gdy były one tylko owocem jego dedukcji, choć nie sposób odmówić jej błyskotliwości i prawdopodobieństwa. Najwięksi znawcy historii templariuszy zareagowali z upływem czasu w rozmaity sposób i po pierwszym okresie sceptycyzmu wydaje się, że teorię tę - stopniowo i ostrożnie - poddaje się ponownej ocenie.

W roku 1985, zaledwie kilka lat po publikacji książki Wilsona, Alain Demurger z Sorbony wypowiedział się dość sceptycznie na jej temat, natomiast Malcolm Barber z Cambridge zajął wobec niej stanowisko bardziej ugodowe. W artykule z 1982 roku, opublikowanym w czasopiśmie "Catholic Historical Review", Barber odpowiadał na teorię Wilsona, uważając, że jej słabym punktem jest to, co można określić jako "dowody rzeczowe". Z uwagi na fakt, że nie zachował się przynajmniej jeden z tych nieuchwytnych wizerunków opisywanych w procesie templariuszy, wydawało mu się, że innym danym zebrany przez Wilsona brakowało w dużym stopniu powiązania ze sobą, a cała teoria sprawiała wrażenie ciągu porozrzucanych i mało spójnych fragmentów. Ponadto już w ramach analizy dokumentów procesu Barber wyraził mocne przekonanie, że templariusze w rzeczywistości oddawali cześć jakiemuś obrazowi Chrystusa, namalowanemu na sposób bizantyjski. Na zakończenie autor stwierdzał, że tego rodzaju tłumaczenie wydaje mu się do przyjęcia, jednak wymaga ono jeszcze dalszych satysfakcjonujących wyjaśnień.

Kilka lat później Francesco Tommasi z Uniwersytetu w Perugii wykonał obszerną i niezwykle drobiazgową pracę badawczą na temat relikwii, które były w posiadaniu

templariuszy. Historyk włoski podjął decyzję o nieanalizowaniu źródeł procesowych, które stanowią najobszerniejszą część świadectw o templariuszach zachowanych do naszych czasów, ale zawierają wiele informacji zniekształconych w wyniku stosowania tortur. Na skutek tego wyboru obszar poszukiwań zawężił się wprawdzie znacznie, był on jednak całkowicie wolny od podejrzeń o manipulację. Tommasi odkrył, że zakon templariuszy prowadził przemyślaną politykę gromadzenia relikwii, w wyniku której w jego posiadaniu znalazł się prawdziwy skarbiec tych przedmiotów, które w kulturze owej epoki, poza znaczeniem religijnym, miały wielką wartość z ekonomicznego punktu widzenia. Już wiele wieków wcześniej w aktach męczeństwa świętego Polikarpa (około 165 po Chr.) napisano, że kości męczenników mogą być o wiele cenniejsze od klejnotów. W opinii autorów tego tekstu chodziło oczywiście wyłącznie o wartość duchową, wypowiedzi tej było jednak przeznaczone osiągnąć niewiarygodną popularność.

Najczęstszą drogą, jaką zakon templariuszy wchodził w posiadanie relikwii, było właśnie ich nabywanie. Albo kupowano je bezpośrednio, albo - częściej - brano je w zastaw w zamian za znaczne pożyczki udzielane osobom mającym trudności finansowe; gdy pożyczka nie została oddana w terminie, relikwia przechodziła na własność zakonu. Świątynia posiadała środki finansowe i nie żałowała ich na relikwie.

Jest interesujące, jak uwydatnił to Tommasi, że w świętym skarbcu templariuszy rzucały się w oczy relikwie świętych czczonych przede wszystkim na obszarze znajdującym się pod wpływem kultury bizantyjskiej, jak chociażby Polikarpa ze Smyrny, Pankracego, Grzegorza, Anastazji, Eufemii, ale honorowe miejsce w tej kolekcji zajmowały oczywiście pamiątki, które pozostawały z bezpośrednim związkiem z Męką Chrystusa. Zakon posiadał w Jerozolimie wielką staurotekę, w której znajdował się fragment Prawdziwego Krzyża dużych rozmiarów, od którego odłupywano małe cząsteczki, wysyłając je następnie wszędzie tam, gdzie znajdowali się templariusze. Wiele z komandorstw zakonu posiadało relikwiarz z fragmentem Krzyża, który dla braci danego domu był znakiem fizycznej więzi z Chrystusem i Świętym Miastem. Wydaje się, że templariuszy cechowało większe nabożeństwo do Krzyża niż inne zakony rycerskie, a członkowie zakonu oddawali mu cześć podczas specjalnych nabożeństw liturgicznych, zarówno w Syrii, jak i później na Cyprze.

Najcenniejszym przedmiotem w zbiorze templariuszy był cień z Korony Cierniowej Jezusa, o którym powiadano, że w cudowny sposób zakwitał w dzień Wielkiego Piątku. Ciekawostką jest, że szpitalnicy, którzy przejęli dobra templariuszy w następstwie kasaty zakonu, odziedziczyli także cień i przywykli do corocznego cudu. W Wielki Piątek 1497 roku cień zakwitł przynajmniej z trzygodzinnym wyprzedzeniem, około południa, i Wielki

Przeor Jakub z Milly natychmiast kazał wezwać notariusza, aby uwiecznił na piśmie to niezwykle wydarzenie w oficjalnym dokumencie.

O podobnym cudzie mówił ostatni Wielki Mistrz templariuszy Jakub z Molay podczas procesu, gdy zeznawał w obronie swego zakonu: Bóg nigdy nie udzieliłby łaski podobnego cudu osobom niegodnym, oddanym herezji. Inną ważną relikwią był krzyż, wewnątrz którego znajdował się mały kielich należący do Jezusa. Przechowywana przez templariuszy w Jerozolimie relikwia była niesiona w procesji błagalnej, kiedy susza zagrażała regionowi, aby błagać Boga o zesłanie daru deszczu. Według tego świadectwa miała ona moc uzdrawiania chorych i uwalniania opętanych od złych duchów.

Wydaje się, że oprócz relikwii będących w posiadaniu zakonu templariusze zasadniczo mieli dużo do czynienia z relikwiami i byli uważani za największych znawców w rozpoznawaniu ich autentyczności. W związku z tym w sytuacji, gdy wysoko postawione osoby chciały zasięgnąć rady na temat jakichś relikwii, to z reguły zwracały się z pytaniami do templariuszy, jako do osób godnych zaufania i kompetentnych w tej dziedzinie. W roku 1164 król Francji Ludwik VII upoważnił rycerza zakonu templariuszy Galfryda Fouchera, który miał właśnie udać się do Syrii, aby poświęcił jego pierścień, ocierając go o napotkane po drodze świątynie. W roku 1247 patriarcha Jerozolimy zapragnął przekazać do Europy ampułkę zawierającą cząstkę Najcenniejszej Krwi, aby powierzyć ją królowi angielskiemu Henrykowi III: Wielki Mistrz Świątyni Wilhelm z Sonnac i najwyższy przełożony szpitalników Wilhelm z Chateaufort zostali wezwani, aby osobiście podpisać certyfikat autentyczności relikwii. Trzy lata później Wielki Mistrz templariuszy Tomasz Berard i niektórzy chrześcijanie z Ziemi Świętej wysłali do Anglii kilka cząsteczek z drzewa Prawdziwego Krzyża wraz z relikwiami świętych Filipa, Heleny, Szczepana, Wawrzyńca, Eufemii i Barbary, a ponadto fragment stołu używanego przez Jezusa. Dla potwierdzenia ich autentyczności wezwano arcybiskupa Tyru oraz biskupa Uberto di Banyasa, który był templariuszem.

Przed upadkiem Jerozolimy grupa najważniejszych relikwii była z dużym prawdopodobieństwem przechowywana w domu macierzystym w Świątym Mieście, znajdującym się pośród ruin Świątyni Pana. Kiedy Jerozolima ponownie dostała się w ręce muzułmanów, wszystkie skarby templariuszy przetransportowano do głównej dzielnicy Akki, która stała się punktem odniesienia dla Bliskiego Wschodu. Kiedy w roku 1291 upadła także Akka, zbiór relikwii i inne rzeczy większej wartości znalazły swą siedzibę na Cyprze, w kościele głównego domu w Nikozji. Nieustanne ryzyko powodowało, że wiele relikwii przewieziono na Zachód i rzeczywiście istnieją świadectwa wielu takich przenosin do Italii,

Anglii i z dużym prawdopodobieństwem także do Francji, do głównej dzielnicy Paryża. Obraz zrekonstruowany przez Tommasiego doskonale pasuje do zeznań procesowych Jakuba z Molay: skarbiec relikwii i sprzętów liturgicznych, który ozdabiał kościoły templariuszy, przewyższał znacznie stan posiadania innych zakonów i był porównywalny jedynie z tym, co kryły w swoich murach katedry.

Dwie relikwie z tych najważniejszych, czyli ciało świętej Eufemii i cierń z Korony, pochodziły z pewnością z tego zbioru, który był chlubą cesarzy bizantyjskich. Tam przechowywano również misę używaną przez Jezusa do obmywania stóp podczas Ostatniej Wieczerzy. Są to relikwie, które, wraz z innymi, przepadły podczas grabieży Konstantynopola, choć w chwili obecnej nie jesteśmy w stanie pojąć, w jaki sposób templariusze weszli w ich posiadanie. Chciałabym wspomnieć o jeszcze jednej interesującej zbieżności: według relacji Antoniego, biskupa Nowogrodu, który przebywał w Konstantynopolu zaledwie kilka lat przed straszliwą grabieżą, w bazylice Hagia Sophia przechowywano dwie płytki kamienne pochodzące ze Świętego Grobu. Podczas procesu przeciw templariuszom w Anglii wezwano do złożenia zeznań starca posługującego przez dwadzieścia lat w domu w Sumford, który opisał relikwię niezwykle podobną do tych małych płytek kamiennych.

Starzec ten oświadczył, że nie ma nic złego do powiedzenia na temat braci zakonu templariuszy z wyjątkiem pewnego dziwactwa, które widział i które zawsze budziło w nim wielkie zdumienie. Kiedy bracia z tego domu mieli do wykonania jakiegoś absorbującego i ważne zadania, mieli zwyczaj wstawać bardzo wcześnie rano i udawać się do kaplicy w ich kościele. Następnie podchodzili do ołtarza i z płyty ołtarza wyciągali inną płytkę kamienną, o wiele mniejszą i przyciętą tak cienko, że można było ją położyć na ołtarzu w taki sposób, by nikt z obcych nie zauważył jej obecności. Po umieszczeniu kamiennej tabliczki tak, aby mogła stać pionowo na ołtarzu, wszyscy klękali i oddawali jej cześć, upadłszy na ziemię. Do tej kaplicy nie pozwalano wchodzić nikomu, kto nie był templariuszem albo osobą blisko związaną z zakonem.

Do tego trzeba dodać, że templariusze posiadali cenną ikonę pokrytą złotem i srebrem, która przedstawiała oblicze Chrystusa, coś podobnego do wizerunków na odwrocie pieczęci należących do Mistrzów z Niemiec i do oblicza na desce w Templecombe.

Nie dziwi więc, że w podsumowaniu tego długiego excursus Francesco Tommasi wypowiada się bardziej optymistycznie - w porównaniu ze swymi kolegami zza Alp - na temat hipotezy przejścia całunu w posiadanie zakonu Świątyni:

W istocie jest całkiem możliwe, że templariuszom był znany wizerunek człowieka z całunu bez konieczności zakładania, że byli oni depozytariuszami relikwii. Z drugiej strony nie sposób zaprzeczyć uderzającemu podobieństwu między obliczem Chrystusa (pozbawionego tradycyjnego nimbu), jak widać to na obrazie na drewnianej desce odkrytym w 1951 w Templecombe (Somerset), wówczas siedziby wspólnoty templariuszy, a obliczem na Całunie [...] Pomimo to jednak istnieją w całościowym spojrzeniu wystarczające motywy, aby uważać za nieuzasadnioną hipotezę Wilsona; zatem wydaje mi się, że absolutnie nie należy odrzucać hipotezy specjalnego miejsca, zauważalnego w praktykach pobożnościowych i w symbolologii Świątyni nawiązującej do ikonografii Chrystusa wzorowanej na wizerunku na całunie.

Na podstawie nowych danych rekonstrukcja lana Wilsona obecnie jawi się jako propozycja, która jest najbardziej prawdopodobna; wyważona opinia Tommasiego jest nad wyraz przekonująca i niewykluczone, że można wykazać więcej. Oczywiście, nie wszystkie świadectwa templariuszy na temat wizerunku dotyczyły kultu Świętego Oblicza i - co więcej - mamy prawo sądzić, że wielu mówiło na ten temat pod wpływem tortur albo innych form przemocy. Jest jednak faktem, że w zakonie znajdowały się i były czczone wizerunki oblicza Chrystusa przedstawionego w sposób niecodzienny, bez aureoli i bez szyi, czyli dokładnie tak, jak widać to na Całunie Turyńskim i w tradycji bizantyjskiej mandylionu.

Ostatnie badania na temat templariuszy potwierdzają, że w niektórych domach na południu Francji wystawiano współbraciom do adoracji wizerunek mężczyzny w całej postaci na płótnie lnianym. Cechy charakterystyczne tego obrazu na płótnie, czczonego przez templariuszy na południu Francji (ciało w całej postaci, niewyraźne kontury, monochromia, kolor czerwonawy), wydają się istotnie odpowiadać formie Całunu Turyńskiego. Ponadto wiele poszlak prowadzi do wniosku, że całun pozostawił mocny ślad na wrażliwości religijnej braci zakonu rycerskiego. Nie jest to z pewnością nic zaskakującego, ponieważ ma on pewne cechy, które według nauki są unikatowe i bez przesady będzie określenie ich mianem poruszających.

Od amfor z Qumran do dzbanów z Chambery

Całun jest ręcznie tkany płótnem lnianym, który przed konserwacją w 2002 roku składał się z kawałków materiału pochodzących z bardzo różnych materiałów pod względem epoki, stylu, techniki produkcji; pomocne jest tu porównanie go do dzieła w stylu patchwork. W całości całun ma 436 centymetrów długości i 111 centymetrów szerokości, w rzeczywistości jednak dane te są pewną średnią, ponieważ mogą one ulec zmianie o kilka centymetrów, gdy całun zostanie rozciągnięty. Ze względu na swój wiek len jest bowiem

bardzo rozciągliwy, widać na nim bruzdy już niemożliwych do zatarcia znaków niektórych zagięć, które świadczą o tym, w jaki sposób był złożony w różnych fazach swej historii. Z upływem czasu stał się bardziej przejrzysty, wręcz prawie wytarty z powodu niezliczonych manipulacji i nieszczęśliwych wydarzeń, których był świadkiem. Przypuszcza się, że osoba, która cięła materiał, uczyniła to według precyzyjnej jednostki miary będącej w powszechnym użyciu, tak że płótno miało długość równą iloczynowi tej jednostki. Jedyną znaną miarą, która w rezultacie daje całe miary, jest łokieć syryjski, powszechnie używany na Bliskim Wschodzie w starożytności; na podstawie tej miary możemy powiedzieć, że płótno mierzy 8x2 łokcie.

Podczas częstego ukazywania wiernym płótno było rozkładane i zawieszane na dwóch podpórkach. W tej pozycji wisiało i pozostawało w napięciu przez wiele dni, dotykane przez niezliczone pary rąk, pocierane różnymi przedmiotami, które poprzez kontakt z nim stawały się relikwiami, czasem było nawet całowane. Ażeby uniknąć niebezpieczeństwa, że pod wpływem tych wszystkich aktów dojdzie kiedyś do rozerwania lnianego płótna, w roku 1534 tkanina autentyczna została połączona z innym kawałkiem holenderskiego płótna lnianego, aby zwiększyć jego grubość, a następnie doszyto po bokach lamówki z tureckiego jedwabiu, które pozwalały obracać nim już bez dotykania starego materiału. W wielu epokach (rzecz wymagająca jeszcze wyjaśnienia) całun był wielokrotnie łątany fragmentami innej tkaniny lnianej w miejscach, gdzie pojawiły się mniejsze lub większe dziury. Tam, gdzie istniało niebezpieczeństwo, że materiał się rozerwie, całun został zacerowany na sposób artystyczny, tak jak czyniono to kiedyś w przypadku cennej koronki, czyli zszyto go nicią identyczną z materiałem, a dokonały tego ręce tak doświadczone, że nowsze fragmenty nici wtapiają się w plątaninę oryginalnej osnowy i wątku do tego stopnia, że stają się prawie niewidoczne. Starożytna tkanina jest spleciona z włókien uprzedzonego lnu techniką dość skomplikowaną, która wymagała użycia równocześnie dwóch wałków zamiast jednego, jak miało to miejsce zazwyczaj. W wyniku tego procesu włókna charakteryzują się splotem zgodnym z ruchem wskazówek zegara, zwanym "splotem Z". Tkania dokonano na krosnach ręcznych o czterech pedałach, techniką zwaną *chewons* (dwa pasy w kształcie V) albo splotem skośnym zygzakowatym (wł. *spina di pesce*) i ścięciem zwanym "3-1", ponieważ nitka wątku przechodzi trzy razy pod nitkami osnowy, a tylko raz nad nimi. Każdy centymetr kwadratowy całunu liczy 40 nitek i waży przeciętnie 23 miligramy. Na krótszych bokach brakuje krajki, czyli tego paska materiału, który znajduje się na początku oraz na końcu każdego sukna i ma specjalną strukturę, wykonaną po to, aby uniemożliwić strzępienie się materiału, kiedy się go

obraca. Fakt ten wskazuje na to, że płótno zostało odcięte od beli materiału, która niewątpliwie była znacznie dłuższa.

Splot Z, splot skośny zygzakowaty oraz ścieg”3-1” należą do bardzo dawnych technik wytwarzania i można je spotkać w rozmaitych wyrobach ręcznych pochodzących z okresu rzymskiego, przedrzymskiego i z epoki średniowiecza. Splot skośny zygzakowaty występuje także w przypadku innych materiałów wykonanych na Bliskim Wschodzie w epoce hellenistycznej i rzymskiej (III w. przed Chr. - II w. po Chr.), i są to produkty niezwykle cenne, wykonane przede wszystkim dla dekoracji (lamówki zdobnicze i tkaniny poduszek). Przy użyciu splotu tworzy się tkaninę, która wygląda, jakby była tkana we wzory, ponieważ splot skośny zygzakowaty odbija światło w różny sposób, w zależności od miejsca, w którym się na niego patrzy. Tkanina lniana ma połysk i w przypadku tej szczególnej obróbki nakładanie się nici tworzy rodzaj rysunku wykonanego z szeregu ukośnie ułożonych pasków w kształcie V, następujących kolejno po sobie, raz w kierunku wstępującym, raz zstępującym. Krótko mówiąc, materiał sprawia wrażenie błyszcząco-matowego i przypomina pewne starożytne brokaty o bardzo prostych wzorach geometrycznych. Niedawno niemiecka badaczka Maria Luisa Rigato potwierdziła opinię wyrażoną już przez innych znawców tkanin starożytnych, że materiał całunu należy do tkanin wysokiej klasy i zdecydowanie nie jest pospolity.

Interesującą właściwością całunu jest to, że nie zawiera on żadnego śladu włókien wełny, co dziwi, gdy weźmie się pod uwagę fakt, że była to przędza zdecydowanie najczęściej używana i że z reguły tkacze korzystali z niej, aby tkać wszystkie materiały. Między jego włóknami znajdują się natomiast ślady bawełny pochodzącej z krzewu *Gossypium herbaceum*, jedyne gatunku uprawianego na Bliskim Wschodzie w starożytności, zanim przywieziono do Europy inne odmiany, znane dzisiaj po odkryciu Ameryki przez Krzysztofa Kolumba. Włókna bawełny pochodzą z innych materiałów, które obrabiano na tych samych krosnach przed utkaniem całunu; są to włókna, które przyłgnęły do przyrządu, aby następnie w czasie pracy stać się częścią splotu osnowy i wątku nowej tkaniny lnianej. Całkowita nieobecność wełny pozwala przypuszczać, że na tych krosnach, z jakiegoś szczególnego powodu, nie tkano nigdy materiałów z wełny. W Biblii (Pwt 22,11) znajduje się norma religijna, która zakazuje tkania razem lnu i wełny, ponieważ zmieszanie tych dwóch materiałów spowodowałoby nieczystość rytualną. Prowadzi to do uzasadnionego wniosku, że krosna należały do wyznawców religii żydowskiej, które nie łamały zakazu i wytwarzały czyste, wolne od domieszek płótno, zgodnie ze zwyczajami swojej kultury.

Poza włóknami bawełny najstarsze płótno zawiera również dużą ilość rozmaitych materiałów, ślady przedmiotów, z którymi wszedł w kontakt w czasie swej długiej historii. Są to: pyłki różnych gatunków roślin, spory i resztki ciał insektów wplątanych w osnowę w czasie wystawień pod gołym niebem, wosk, ślady aloesu i mirry, cząsteczki barwników czerwonego i błękitnego jedwabiu używanego w pewnym okresie do owijania płótna, atramentu i kurzu. Znaleziono ślady pigmentu to ochra, czerwień wenecka, cynober wraz z białkami używanymi niegdyś jako spoiwo dla rozpuszczenia i utrwalenia proszków różnych kolorów. Występują na płótnie w minimalnym stopniu i ich obecność wynika z tego, że w przeszłości kopie sporządzane przez malarzy opierano na całunie, aby mogły stać się relikwiami. W roku 1973, w rezultacie badania przeprowadzonego przez kryminologa Maxa Freia za pomocą technik wykorzystywanych w specjalnym oddziale policji szwajcarskiej stwierdzono obecność śladów pyłków należących do 58 gatunków różnych roślin rosnących na Bliskim Wschodzie, z których niektóre rozpowszechnione są w okolicach Morza Martwego i w Jerozolimie. Znaleziono także ślady przynajmniej 28 gatunków kwiatów złożonych na ciele, z których większość rośnie w Palestynie i zakwita wiosną. Ziemia próchnicza zawiera aragonit, stosunkowo rzadki minerał, który jest jednak obecny na terenie grot jerozolimskich; także obecność natronu, minerału używanego w Palestynie i Egipcie do zachowania w dobrym stanie martwego ciała, wskazuje na bliskowschodnie pochodzenie całunu.

Na jednym z dłuższych boków przyszyto wąski pasek materiału liczący 46 centymetrów; według niektórych znawców stanowił on część płótna, ale został ponownie uprzedzony w nieznaną epokę, a następnie ponownie zszyty. Powody nie są znane; prawdopodobnie pasek ten został odcięty od płótna, które było szersze, niż to konieczne, aby uczynić z niego długi pasek, przydatny do obwiązania całunu wokół zwłok u stóp, kolan i szyi tak, aby dobrze przylegał do ciała. Dopiero w późniejszym okresie pasek odzyskano i przyszyto wzdłuż krawędzi, od której został odcięty, ponieważ prawdopodobnie uważano go za część całunu i w związku z tym chciano go także zachować. Interesujące jest, że technika, którą przyszyto go do całunu, zwana ścięciem krytym, wymaga dużego doświadczenia i w całej historii tkanin starożytnych jest poświadczona tylko dwukrotnie: w przypadku całunu i fragmentu płótna lnianego znalezione w Masadzie, twierdzy, do której schronili się powstańcy żydowscy w czasie wojny żydowskiej i która została zniszczona przez Rzymian w roku 73 po Chr. Interesujące jest również, że nić użyta do przyszywania paska nie jest identyczna z tymi, które wykorzystano przy całunieniu (ze skomplikowanym splotem Z, zgodnym z ruchem wskazówek zegara), lecz jest prostsza i bardziej pospolita (splot S, czyli w

kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara). Osoba, która dokonała przyszycia, prawdopodobnie nie miała już możliwości zdobycia identycznych nici jak te na płótnie, które z pewnością nie były przeciętnej jakości, i musiała zadowolić się tym, co miała do swej dyspozycji.

W rogu na górze po lewej stronie widoczny jest inny brak: to część odcięta w roku 1988 dla celów eksperymentu datowania całunu metodą radioaktywnego węgla. W pobliżu tego prostokąta oddzielonego materiału dają się zauważyć widoczne ślady wypaleń, które tworzą podwójny pasek i biegną przez całą długość całunu; w rzeczywistości ujawniają one formę, w jakiej całun był złożony w XVI wieku, kiedy przechowywano go we francuskim mieście Chambery. W roku 1532 pożar, który wybuchł w kaplicy pałacu książęcego, rozżarzył cenną srebrną skrzynię, w której przechowywano całun, i kilka kropel stopionego metalu (albo może zaostrzony i rozżarzony przedmiot) przypaliło materiał. Siostry klaryski z Chambery naprawiły go, dodając wiele kawałków płótna lnianego w miejscach, gdzie nie było już materiału. Wypadek zostawił po sobie także cztery dziury w kształcie jakby rombu znajdujące się mniej więcej w połowie płótna, a ponadto pewną ilość plam rozrzuconych tu i ówdzie, spowodowanych nieczystościami obecnymi w znacznej ilości wody, którą ugaszono palący się len. Niewykluczone jednak, że ktoś zmoczył przypadkowo całun w okresie dużo wcześniejszym.

W kwietniu 2008 roku Aldo Guerreschi i Michele Salcito opublikowali w czasopiśmie fachowym "Archeo" wyniki swoich badań na temat plam, czyli zacieków pozostawionych przez wodę na całunie. W przeszłości wyrażano zawsze opinię, że zacieki te były spowodowane wodą użytą w Chambery dla ugaszenia pożaru; obecne badania tego problemu ujawniły jednak, że w rzeczywistości było inaczej. To właśnie forma wypaleń z Chambery pozwala zrekonstruować sposób, w jaki całun pozostawał złożony w XVI wieku. Było to zgięcie wykonane z wielką troską i precyzją, brzegi ściśle przylegające do siebie w sposób idealny, co było możliwe po rozciągnięciu całunu na długim stole. Plamy wody wskazują natomiast na złożenie całkowicie innego rodzaju, które nie jest precyzyjne, ponieważ brzegi nie zachodzą jeden na drugi, a główne złożenie nie przypada na środek płótna. Podobny sposób postępowania przypomina zachowanie gospodyni domowej, która ściąga ze sznura prześcieradło rozwieszane tam do wyschnięcia i z wielkim pośpiechem składa je, jak potrafi najlepiej, biegnąc szybko do domu, zanim zacznie się burza. Daje to wrażenie ulokowania prowizorycznego i zrobionego naprędce. Zwinięte byle jak, a następnie schowane, płótno nie było wyciągnięte, lecz jego część przednia sflaczała pod własnym ciężarem. Ze sposobu, w jaki został ulokowany, można wydedukować również kształt pojemnika, w jakim go

umieszczono: był to przedmiot o kształcie cylindrycznym, niezbyt duży, wąski i długi. Nie był to srebrny relikwiarz z Chambery i nie przypominał również pięknej szkatuły bizantyjskiej ozdobionej rombami, jak widzimy to z przedstawień mandylionu. Chodziło raczej o pojemnik przeznaczony do innych celów, w którym ulokowano całun być może tylko prowizorycznie. Kształt przedmiotu jest identyczny z kształtem dzbanów z terakoty znalezionych w Qumran, we wnętrzu których znajdowało się ponad 800 manuskryptów biblioteki esseńczyków. Istotnie, dzbany były pojemnikami powszechnego użytku, gdzie umieszczano się wszystko, od oleju do ziarna, a nawet książki. Na dnie tego pojemnika znajdowała się woda, w niewielkiej co prawda ilości, ale na tyle dużej, że była ona w stanie zmoczyć znajdującą się na dole część płótna.

Rekonstrukcja ta wydaje się otwierać drogę nowym, obiecującym badaniom. Oczywiście, że ten rodzaj glinianego dzbana był przedmiotem bardzo powszechnym, wytwarzanym na całym Bliskim Wschodzie, a nie tylko w Qumran. Jest jednak prawdą, że wspólnota, która żyła w odosobnieniu nad brzegami Morza Martwego, nadawała się z wielu względów do tego, aby uważać ją za bezpieczne schronienie dla pierwszych chrześcijan, prześladowanych przez władze rządzące w Jerozolimie zaraz od pierwszych chwil po śmierci Jezusa. W każdym razie, jeśli rekonstrukcja dokonana przez Salcito i Guerreschiego jest właściwa, to dokumentuje ona stadium historii całunu, w którym przedmiot ten nie był wystawiany publicznie, aby wierni oddawali mu cześć, lecz przeciwnie, pozostawał w ukryciu. Ktokolwiek podniósłby pokrywę dzbana, nie widziałby nic innego jak tylko nieznaną kawałek materiału, zbyt zwinięty, aby były widoczne także liczne ślady krwi. Jak wiadomo, tradycyjna żydowska kultura religijna odznaczała się bowiem wstrętem do krwi i nakazywała koniecznie zniszczyć wszystko to, co weszło w kontakt ze zwłokami, ponieważ są one w najwyższym stopniu nieczyste, zdolne skazić miejsca, osoby i przedmioty.

Między XII i XIII wiekiem templariusze posiadali dziesiątki ośrodków na terytorium SyriiPalestyny, ale nie wiemy nic o tym, że mieli jakikolwiek bezpośredni kontakt z Qumran. W chwili obecnej wykopaliska archeologiczne pokazują, że bastion esseńczyków został opuszczony w roku 68 po Chr., a następnie odkryto go po upływie prawie dwudziestu wieków. Wydaje się natomiast bardzo prawdopodobne, że całun znajdował się przez pewien czas w Qumran, ponad tysiąc lat przed dostaniem się w ręce templariuszy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Przeciw wszystkim herezjom

Mapa pewnej masakry

Całun Turyński, z racji swych jedynych w swym rodzaju właściwości, był przedmiotem zdolnym odcisnąć niezatarte piętno na duchowości zakonu religijnego, jakim był zakon templariuszy.

I rzeczywiście to nastąpiło.

Wyjątkową cechą całunu jest to, że na powierzchni tkaniny pojawiają się odbicie i wizerunek osoby ludzkiej, proporcjonalne do siebie i praktycznie stopione ze sobą. Ukazują one sylwetkę mężczyzny, tak jakby znajdował się on wewnątrz, zawinięty w całun. Jest to osoba dorosła, lecz młoda, skurczona w stanie typowego rigor mortis (stężenia pośmiertnego), który jest właściwy dla ciała w pierwszych godzinach po zgonie. Osoba ta nosi na całym ciele ślady wielu urazów i oznak przemocy. Człowiek owinięty w całun, kimkolwiek był, został w dosłownym tego słowa znaczeniu zmasakrowany. Oprócz niezliczonych ran, które pokrywają całą powierzchnię ciała, wiemy, że był często uderzany w twarz z wielką siłą: złamano mu przegrodę nosową, gdzie nastąpiło wręcz całkowite przerwanie ciągłości kości. Ponadto widać strużki krwi, które wypłynęły z nozdrzy i wsiąknęły w len. Cała prawa strona twarzy jest opuchnięta.

Odbicie na całunie powstało pod wpływem krwi, potu, mieszanki substancji aromatycznych, śladów ziemi, o której już mówiliśmy, i prawdopodobnie fragmentów skóry rozszarpanej podczas tortur. Wszystkie te substancje zostawiły ślad na płótnie poprzez bezpośredni z nim kontakt, to znaczy w momencie, gdy ciało zostało owinięte prześcieradłem. Krew jest krwią ludzką grupy AB, jak wykazał to zespół ekspertów medycyny sądowej pod kierownictwem Pier Luigiego Baima Bollone, wykładowcy medycyny sądowej na Uniwersytecie Turyńskim, i zawiera dużą ilość bilirubiny, jak to się zdarza w przypadku osób, które poniosły gwałtowną śmierć. Krwawe odbicie na twarzy wydaje się pozostawać w związku z wyjątkowym zjawiskiem hamatidrozy albo "krwawego potu". Jest to rzadki proces występujący wtedy, gdy człowiek przeżywa niezwykle mocny stres, w następstwie którego naczynia krwionośne rozszerzają się, co wywołuje rodzaj krwotoku w gruczołach potowych. W okolicach czaszki znajduje się odbicie 13 ran zadanych ostrymi przedmiotami, wszystkie tego samego typu, rozmieszczone w części górnej głowy, które tworzą rodzaj hełmu albo kasku i są źródłem licznych krwawych wycieków. Występują one także na twarzy, gdzie odznacza się pokaźny wyciek, w którym krew przybrała dziwny kształt jakby odwróconej cyfry "3". Strużka krwi jest znacznych rozmiarów, ponieważ spowodowało ją przerwanie żyły czołowej, natomiast kształt powstał w wyniku jej skrzepnięcia na czole już skurczonym przez zmarszczki pod wpływem strasznego cierpienia. Różne analizy były w stanie stwierdzić, że

krw, która weszła w kontakt z tkaniną, pochodzi w części z ran zadanych, kiedy mężczyzna był jeszcze przy życiu, oraz częściowo, gdy był już martwy. Spłynięcie tych strumyków krwi nastąpiło przede wszystkim wtedy, gdy człowiek ów znajdował się jeszcze w pozycji pionowej. Badanie wypływu krwi i jego cech wykazuje, że mężczyzna został owinięty w płótno nie później niż dwie i pół godziny po śmierci.

W świetle ultrafioletowym na prawie całej powierzchni ciała widać znaczną liczbę ran tłuczonoszarpanych (z wyjątkiem twarzy i okolic serca), zadanych, kiedy ofiara była naga. Rany te są rozłożone z pewną symetrią w grupach po sześć, jak gdyby pochodziły od przedmiotu wyposażonego w sześć szpiców, którym mężczyzna był uderzany wiele razy (może 120). W okolicach łopatek rany te powiększają się i występują przetarcia skóry, tak jakby plecy tego człowieka zostały gwałtownie potarte przez duży przedmiot ze sztywnego materiału, co spowodowało rozdarcia skóry w okolicach wystających części kości. Wszystkie te rany i otarcia skóry oznaczają tyleż samo plam krwi. To samo dotyczy również przebicia lewego nadgarstka, ułożonego tak, że zakrywa prawy nadgarstek, którego nie widać, oraz przebicia podeszwy stóp.

Przebicie nadgarstków i stóp, pozycja skurczona klatki piersiowej i mięśni ud, rozdarcia skóry pod wpływem dużego, sztywnego przedmiotu na plecach, wskazują na to, że skazaniec został stracony przez ukrzyżowanie, karę śmierci stosowaną już od starożytności przez wiele ludów: Asyryjczyków, Celtów czy Rzymian. Polegała ona na zawieszeniu skazańca na palu, przy zastosowaniu różnych metod, i oczekiwaniu na jego śmierć, która następowała po upływie długiego czasu oraz po niewyobrażalnych cierpieniach. Rozdarcia skóry na plecach wskazują na to, że skazaniec musiał sam nieść przez pewien czas przedmiot mający kształt patibulum. Była to duża drewniana belka, którą przytwierdzano do pala w taki sposób, aby unieruchomiła ciało i nie pozwalała ofierze na wykonywanie ruchów. W czasach króla perskiego Dariusza (522-485 przed Chr.) karę tę wykonywano przez wbicie na pal, w późniejszym okresie przyjął się jednak powszechnie zwyczaj przybijania do drzewa rąk i nóg skazańca. Fragment księgi proroka Izajasza, żyjącego między VIII a VII wiekiem przed Chr., ale nade wszystko werset Psalmu 22 („Przebodli ręce i nogi moje”) wydaje się nawiązywać do tej praktyki wbijania gwoździ. W późniejszej epoce (III wiek przed Chr. - I wiek po Chr.) stało się to niestety powszechną praktyką, jak poświadczają to także niektóre fragmenty tekstów znalezione w wykopaliskach w Qumran.

W czerwcu 1968 roku w miejscowości Giv'at haMivtar, na obszarze położonym na północ od Jerozolimy, odkryto grobowiec rodzinny znacznych rozmiarów, w którym znajdowały się kości prawie dwudziestu osób. Wewnątrz grobowca znajdowały się szczątki

ukrzyżowanego mężczyzny w wieku około trzydziestu lat. Gwóźdź pozostawał jeszcze wbity w kość pięty i nie było możliwości wyciągnięcia go w momencie zdjęcia z krzyża, ponieważ zakleszczył się wewnątrz stopy. W okresie dominacji Antiocha IV Epifanesa (175-164 przed Chr.) ukrzyżowanie stosowano niestety powszechnie, następnie przez krótki czas zaniechano go za panowania Heroda Wielkiego (39-4 przed Chr.), aby natychmiast powrócić do jego praktykowania za rządów legata rzymskiego Publiusza Kwinktyliusza Warusa. Rzymianie bardzo szybko przyjęli ten sposób wykonywania kary śmierci i zarezerwowali go dla stosowanych w szczególnych przypadkach publicznych egzekucji osób, które nie miały obywatelstwa rzymskiego i były uznawane za szczególnych wrogów publicznych, ponieważ popełniły wyjątkowo ciężkie przewinienia albo naraziły na niebezpieczeństwo istniejący porządek publiczny. W owym czasie głośny był przypadek powstania niewolników pod wodzą Spartakusa, w następstwie którego zdecydowano się zastosować przykładową karę i krzyże, na których umierali powstańcy, rozciągały się wiele mil wzdłuż Via Appia. Według historyków greckich Polibiusza i Plutarcha była to tortura zarezerwowana dla przestępców, którzy splamili się występkiem przeciw państwu; w opinii Cycerona i Tytusa Liwiusza dla obywatela rzymskiego była to kara najokrutniejsza i najbardziej hańbiąca. Olbrzymie cierpienia, jakich doznawał ukrzyżowany, były podniętą dla tego samego przerażającego upodobania, które popychało Rzymian do organizowania walk gladiatorów, a kiedy w tego rodzaju widowiskach były przewidywane także ukrzyżowania, nadawano temu tak wielki rozgłos, jakby to była jakaś wyjątkowa atrakcja, zachęcając ludzi do przyjścia w identyczny sposób, jak to czyniono w przypadku rozdzielania owoców czy pieniędzy. Na ukrzyżowanie decydowano się często w sytuacji, gdy zamierzano pozbyć się wrogów politycznych, ponieważ kara ta do okrutnych cierpień dołączała także zniewagę okrywającej niesławą śmierci, a w historii narodu żydowskiego pojawiają się wydarzenia, podczas których decydowano się na urządzenie widowiska z wykonania kary i dokonywano straszliwych, masowych egzekucji. W roku 162 przed Chr. arcykapłan Alkimos tylko jednego dnia posłał na śmierć na krzyżu sześćdziesięciu pobożnych Żydów, którzy mu się sprzeciwiali, podczas gdy król Aleksander Jannaj w roku 88 przed Chr. nakazał ukrzyżować aż 800 faryzeuszy. Zaledwie trzydzieści lat później kolejne 80 osób poniosło tę samą karę na skutek oskarżenia o czary.

W przypadku ukrzyżowania przez wbicie gwoździ do kończyn skazaniec z reguły umierał z powodu asfiksji, ponieważ ciężar ciała przygniatał ku dołowi klatkę piersiową i pozwalał tylko na wciąganie powietrza, podczas gdy jego wydychanie wymagało wykonania ruchów, które wywoływały bóle nie do zniesienia. Obecność niezliczonych, połączonych ze

sobą ran pozwala na ustalenie, że było to ukrzyżowanie na sposób praktykowany przez Rzymian. W tym przypadku właściwa tortura była poprzedzana torturą dodatkową, jaką było biczowanie: skazaniec był uderzany Jlagrum - drewnianym biczem, do którego były przywiązane paski skóry z przyczepionymi na końcach kawałkami ołowiu lub kości o dwóch ostrych zakończeniach. Przy silnych uderzeniach ostrza te mogły dosłownie rozdrzeć skórę. Nie pozostają natomiast w związku ze zwyczajem rzymskim dwie inne formy przemocy, które człowiek ten musiał również znieść. Było to działanie, które spowodowało liczne rany punktowe na czaszce i na karku oraz ranę zadaną ostrą i tnącą bronią między piątym i szóstym żebrzem w połowie prawej strony klatki piersiowej. To uszkodzenie ciała być może pozostaje w związku z faktem, że skazaniec nie miał łamanych nóg, co stosowano w judaizmie w celu przyspieszenia śmierci ukrzyżowanych, aby móc ich pogrzebać przed końcem dnia, jak nakazywał przepis zapisany w Księdze Powtórzonego Prawa. Tego rodzaju odstępstwa od zwykłej procedury znalazłyby wyjaśnienie w opowiadaniu ewangelicznym. Proces Jezusa Nazarejczyka dokonał się w bardzo szczególnym kontekście politycznospołecznym i z tej przyczyny także Jego pogrzebanie nie mogło się odbyć zgodnie z obowiązującymi zwyczajami.

„Pas krwi” i „znak Jonasza”

Najbardziej widoczne spośród wszystkich odbicie krwi znajduje się po prawej stronie klatki piersiowej w okolicy piątej przestrzeni międzyżebrowej. Jest ono wynikiem dużej rany, długiej na 4,5 i szerokiej na 1,5 centymetra, o brzegach biegnących w linii prostej i lekko rozwartych, która jest typowa dla broni ostrej i siecznej. Obszerny wyciek krwi, która wypłynęła z rany i nasączyła tkaninę, spłynął wzdłuż boku, a następnie rozlał się na całej szerokości pleców, tworząc poziomy pasek. Ta okazała, czerwono-brunatna smuga jest szczególnie widoczna, gdy patrzy się na odbicie pleców na całunie. Z uwagi na jej formę oraz wrażenie, jakie wywołuje, specjaliści nazwali ją „pasem krwi”.

Tak obfity upływ krwi pozwala przypuszczać, że rana spowodowała rozerwanie płuc albo prawej komory serca; ponadto zauważono, że nastąpił podział krwi na dwa jej składniki, czyli na część surowiczą i część upostaciowaną (krwinki czerwone); podział ten następuje dopiero po śmierci, co oznacza, że rana powodująca rozcięcie klatki piersiowej została zadana, kiedy mężczyzna już nie żył.

Historyk współczesny przyzwyczajony jest do patrzenia na całun z perspektywy nauki, czyli w świetle niezliczonych analiz chemiczno-fizycznych, które przeprowadzano na nim praktycznie nieprzerwanie od początków XX wieku. Nieodzowny jest jednak pewien krok wstecz i podjęcie próby zrozumienia, w jaki sposób postrzegali tę tkaninę ludzie

średniowiecza. Z rozcięcia boku, właśnie tam, gdzie według Ewangelii świętego Jana zadano Jezusowi cios włócznią, pojawiały się znaki wielkiego krwotoku. Krew spłynęła wzdłuż boku, przesiąkając na wskroś płótno na całej szerokości klatki piersiowej. Intensywna czerwień na bieli lnu o zabarwieniu kości słoniowej rzuca się natychmiast w oczy i wywiera wstrząsające wrażenie. Dla osoby przywykłej do częstego słuchania Męki Chrystusa, jak było to w przypadku templariuszy, pas krwi musiał mieć niezwykłą siłę sugestii. Można się domyślać, że noszony przez nich codziennie sznur był symbolem odwołującym się do owej czerwonej "wstęgi" krwi. W pewnym okresie ich pasy były święcone poprzez potarcie ich o kamień Grobu, który przyjął ciało Jezusa i był świadkiem Jego zmartwychwstania. Także całun zgodnie z tradycją owijał ciało Chrystusa i "przeżył" Jego powstanie z martwych. Było jednak coś jeszcze: na materiale pozostało trochę Jego krwi. Dla człowieka średniowiecza było to coś bezcennego. Nieco później teolog franciszkański Francesco della Rovere, przyszły papież Sykstus IV (1471 -1484), w swym traktacie zatytułowanym *De corpore et sanguine Christi* wskaże właśnie całun jako relikwię, która zawiera prawdziwą krew Pana.

Jak już wspomnieliśmy, w czasach świętego Bernarda pas templariuszy miał znaczenie wyłącznie symboliczne, odnoszące się do ślubu czystości. Następnie w ciągu XIII wieku znaczenie to uległo zapomnieniu i zostało zastąpione przez o wiele starszy, wręcz teologiczny sens: pas zostaje poświęcony za pośrednictwem kontaktu z relikwiami albo miejscami, które były świadkiem ziemskiego życia Jezusa. W ten sposób nabywa on specjalnej mocy świętej i powoduje, że bracia, którzy go noszą, mają fizyczny kontakt z wymiarem ludzkim Chrystusa. Jestem przekonana (jak już wspomniałam), że specjalne nocne nabożeństwa liturgiczne urządzone przez templariuszy przy Grobie Świętym były modlitewnymi czuwaniem, podczas których dostojnicy zakonnicy dotykali sznurami kamienia Grobu, poświęcając je. Sznury te później były dawane wszystkim przyszłym członkom zakonu jako gwarancja ochrony przed wrogami ciała i duszy. Nie byłabym wcale zaskoczona, gdyby pewnego dnia odkryto nowe dokumenty pokazujące, że powszechna dobra opinia, jaką cieszyli się dostojnicy Świętyni, postrzegani w owej epoce jako prawdziwi eksperci w sprawach relikwii, zależała także od tego, że najwięksi dobroczyńcy zakonu prosili ich w drodze wyjątku o przysługę poświęcenia dla nich pewnych przedmiotów (pierścieni, chustek itd.) podczas tych właśnie liturgii nocnych w Grobie Świętym, aby i one stały się relikwiami, równie cennymi jak sznury templariuszy. Wiemy z pewnością, że uczynił tak król Francji Ludwik VII i kto wie, ile jeszcze innych osób.

Wchodząc w kontakt z tym kamieniem, który był świadkiem zmartwychwstania Chrystusa, pas otrzymywał w pewien sposób udział w tym wydarzeniu i prawdopodobnie sam

był gwarancją zmartwychwstania dla templariusza gotowego do życia i śmierci zgodnych z duchem zakonu. W roku 1187 utracono Jerozolimę i możemy sobie tylko wyobrazić, jakim strasliwym ciosem mógł być ten fakt dla morale templariuszy. Następnie pewnego dnia pojawia się to niesłychane płótno, na którym znajduje się odbicie mężczyzny dosłownie zmasakrowanego, tak jak według przekazu Ewangelii uczyniono to z Jezusem. Godna w najwyższym stopniu wiary tradycja widzi w nim prawdziwy całun Chrystusa. To, co można zobaczyć na tym płótnie, jest nie tylko przerażająco realistyczne, ale wręcz kłopotliwe: zmusza bowiem chrześcijanina do zastanowienia.

Istnieją rzeczy, które człowiek epoki średniowiecza był w stanie dostrzec o wiele lepiej niż my dzisiaj, gdyż odzwyczailiśmy się od pewnych wyobrażeń, które już nie należą do doświadczenia naszego życia, a w owym czasie były stosunkowo powszechne. Zwłoki owinięte w całun są całkowicie zeszywniałe, z głową opadłą na piersi, z rozłożonymi palcami rąk oraz z mocno naprężonymi mięśniami. Znajdują się w stanie *ńgor mortis*, który następuje dopiero po jednej do trzech godzin od zgonu, dobiega kresu po 10-12 godzinach, a następnie zanika po upływie 36-48 godzin, ponieważ rozpoczęło się już naturalne zjawisko rozkładu ciała.

Ludzie średniowiecza byli tego doskonale świadomi, a wiedza ta płynęła z ich codziennych doświadczeń. Zwłoki zmarłych członków rodziny układano w domu na łóżku, wokół którego zapalano świece, i pozostawały tam przez wiele godzin na oczach krewnych, oddających im cześć podczas długich czuwań modlitewnych, w których uczestniczyli także sąsiedzi. Ciała papieży i innych ważnych osobistości pozostawały wystawione w kościołach przez wiele dni, aby wszyscy mieli możliwość ostatniego pożegnania. Ponadto znany był też wielu strasliwy i wyciskający łyzy widok pól bitewnych, na których niepogrzebane trupy zabitych pozostawały nieokreśloną ilość czasu, dotykane przez rabusiów szukających łupu i przez biedaków szukających czegokolwiek. Trwało to aż do momentu, w którym jakiś litościwy przechodzień zatroszczył się o ich pogrzebanie. Człowiek średniowiecza wiedział od pierwszego wejrzenia, że mężczyzna w całunie pozostał w nim tylko przez pewien określony czas, nie więcej niż trzy dni. Odbicie nastąpiło bowiem, zanim ustało stężenie pośmiertne (*ńgor mortis*), zanim rozpoczął się naturalny proces rozkładu ciała. Myśl biegła szybko do słów Ewangelii: "Tak jest napisane: Mesjasz będzie cierpiał i trzeciego dnia zmartwychwstanie".

W języku Pisma Świętego było to nazywane "znakiem Jonasza", w nawiązaniu do historii biblijnej o Jonaszu, który przebywał przez trzy dni w brzuchu wielkiej ryby. Jezus używał tego porównania, aby oznajmić swą śmierć i przyszłe zmartwychwstanie, a w sztuce

chrześcijańskiej symboliczne opowiadanie o Jonaszu, który wychodzi przez usta potwora morskiego, cieszyło się zawsze wielkim powodzeniem, ponieważ dawało artyście okazję do tego, aby puścić wodze fantazji. Był to także sugestywny sposób, aby ludziom prostym i niewykształconym objaśnić tajemnicę zmartwychwstania.

Templariusze byli członkami zakonu religijnego i żyli według porządku liturgicznego Kanoników Świętego Grobu. Ich życie codzienne wyznaczał ustalony cykl godzin, podczas których słuchali lektury Starego Testamentu i Ewangelii. Wiedzieli oni doskonale, co to jest "znak Jonasza" i co on dokładnie oznacza; jeśli widzieli wizerunek na całunie, to niesamowity realizm tego zeszywniałego i umęczonego ciała musiał wywołać w nich uczucia wykraczające daleko poza to, co jesteśmy w stanie dzisiaj pojąć. Także w Konstantynopolu widok przebitego boku wzbudził bez wątpienia głębokie wzruszenie i zdumienie, co poświadczają słowa Grzegorza Referendarza, który jako pierwszy znalazł się przed tym wizerunkiem, kiedy w roku 944 mandylion został wyjęty ze szkatuły i poddany gruntownemu badaniu, tak aby uzyskać pewność, że do stolicy zostanie zabrany właściwy przedmiot. Dla templariuszy doświadczenie to było jednak jeszcze mocniejsze, ponieważ zakon powstał w celu zbrojnej obrony chrześcijan i w ideologii właściwej zakonowi była silnie uwydatniona idea, że ofiara templariusza, który poniósł śmierć, aby ratować słabszych, jest naśladowaniem cierpienia Chrystusa. Podczas procesu na Cyprze wystąpił człowiek świecki, aby bronić niewinności templariuszy, i w sposób niezwykle jasny wyraził tę myśl wobec biskupów - komisarzy, przypominając ofiarę poniesioną przez Wielkiego Mistrza Wilhelma z Beaujeu, który w praktyce sam wybrał śmierć, aby umożliwić odwrót innym osobom: "wolał umrzeć, aby bronić wiary katolickiej, i wybrał wylanie krwi dla Chrystusa w walce z wrogami wiary, tak jak to uczynił również Chrystus dla naszego odkupienia".

Mniej więcej w jednej czwartej długości całunu pojawia się inna seria dziur, które także wydają się rozmieszczone na wzór lustrzanego odbicia po dwóch bokach, ponieważ pochodzą od wypalenia, które nastąpiło, gdy całun był złożony. Są to cztery dziury, z których trzy są w jednym rzędzie, a jedna znajduje się z boku. Już w przeszłości zauważono, że całun dokładnie z tym rodzajem dziur został przedstawiony na miniaturze budzącego zachwyt manuskryptu Pray, kodeksu sporządzonego między rokiem 1192 a 1195 w opactwie benedyktyńskim na Węgrzech, który jest znany naukowcom, ponieważ zawiera pierwsze świadectwa pisane w języku węgierskim. W niedawno opublikowanej pracy Marcel Alonso, Erié de Bazelaire i Thierry Castex wykazali, że miniatura przedstawiająca pójście do Grobu trzech Maryi ma bardzo szczególną fabułę. Anioł pokazuje kobietom chustę, która przykrywała twarz umęczonego Jezusa, podczas gdy całun pozostaje jeszcze rozpostarty na

kamieniu, na którym zostało złożone ciało. W języku typowym dla XII wieku artysta przedstawia płótno całunu, który ma stronę wierzchnią ozdobioną kłosami, a na niej można zauważyć cztery dziury dokładnie w tej samej formie, w jakiej pojawiają się na Całunie Turyńskim; cztery stare otwory spowodowane przypadkowymi wypaleniami. Na stronie tylnej znajduje się biała podszewka przyozdobiona wieloma czerwonymi krzyżami w formie krzyża greckiego, podobnymi do tych, które były znakiem rozpoznawczym i chlubą templariuszy. Wskazówka jest dosyć interesująca i skłania do przypuszczenia, że także w Konstantynopolu została dołączona do płótna podszewka, aby uczynić je bardziej trwałym, podobnie jak stanie się to w Chambery w XVI wieku. Nie oznacza to jednak, że motywy pozostających blisko siebie czerwonych krzyży wiąże się nieodzownie z zakonem templariuszy. Jest to bowiem dekoracja symboliczna, używana często w Konstantynopolu. Na pięknej ikonie z XIV wieku, przedstawiającej Chrystusa jako Najwyższego Kapłana, można zauważyć Jego wystawny strój liturgiczny usiany krzyżami, podobnie jak widać to w miniaturze kodeksu Pray. Także wielu innych świętych jest przedstawionych na ikonach bizantyjskich w szatach, które mają charakterystyczny wzór utworzony z wielu umiejscowionych blisko siebie krzyży.

Bardziej niż bezpośredni związek z zakonem templariuszy motywy ornamentalne kodeksu Pray potwierdzają raczej to, że całun w latach 1192-1195 znajdował się w posiadaniu cesarza Bizancjum. Pomimo to idea pewnego związku z zakonem templariuszy nie musi być zupełnie niedorzeczna. Templariusze mieli specjalny zwyczaj pogrzebowy, zgodnie z którym brat, który za życia zachował cześć, dostępował przywileju bycia pogrzebanym w całunie lnianym, na którym naszywano krzyż z czerwonej wełny, krzyż typu greckiego, który był znakiem i chlubą zakonu. Mamy tu do czynienia ze zwyczajem szczególnym, nie powszechnym, biorąc pod uwagę, że w zachodnich zakonach religijnych z reguły bracia byli grzebani w używanym przez nich na co dzień habicie mniszym. Nie wiemy na razie, czy opactwo, w którym powstał kodeks Pray, było w szczególny sposób powiązane z zakonem templariuszy, jest jednak pewne, że templariusze posiadali w tym regionie różne siedziby; ponadto mieli dobre relacje z dworem bizantyjskim, ponieważ cesarze angażowali niektórych z ich dygnitarzy do spełnienia delikatnych misji dyplomatycznych.

W każdym razie miniatury kodeksu Pray przedstawiają szczególnie ważny trop w badaniach nad dawną historią całunu. W przedstawianiu pochówku Jezusa cechuje je bardzo niezwykły dla tej epoki realizm. Józef z Arymatei ściąga z krzyża zwłoki zupełnie zeszywniałe, kładzie je nagie na całunie i nie jest w stanie złożyć dobrze rąk na łonie, jedna na drugiej, ponieważ ramiona zatrzymały się pod wpływem rigor mortis, kiedy były

rozciągnięte na krzyżu. Odpowiada to dokładnie temu, co widać w przypadku mężczyzny na całunie: z uwagi na zeszytywnienie mięśni, aby zbliżyć do siebie ręce, jedna na drugą, z dużym prawdopodobieństwem musiano związać ze sobą nadgarstki.

Innym faktem o pierwszoplanowym znaczeniu jest to, że Jezus z kodeksu Pray ma ręce, na których nie widać kciuków. Zjawisko to jest obce całej tradycji ikonografii chrześcijańskiej, ale może wynikać z widoku na całunie, na którym kciuk jest zakrzywiony do wewnątrz (a więc niewidoczny) pod wpływem uszkodzenia spowodowanego przez gwóźdź w nerwie środkowym. Ten zaskakujący szczegół, w połączeniu z wątkiem w kłosa i obecnością czterech otworów umieszczonych w grupie, wskazuje na to, że autor miniatur nie zamierzał namalować jakiegoś całunu, lecz przeciwnie - odtworzył precyzyjnie Całun Turyński, przedmiot ściśle określony, niezwykle sławny, jedyny w swym rodzaju i z niepowtarzalnymi szczegółami. Miniatura Pray zawiera więc portret pamięciowy całunu, tak jak jawił się on w XII wieku pielgrzymom (do których prawdopodobnie należał anonimowy miniaturzysta), którzy dostąpili przywileju widzenia go podczas wystawienia w Konstantynopolu przy okazji bardzo uroczystych ceremonii, zaopatrzonego w cenną podszewkę, na której znajdowały się znaki najwyższego kapłaństwa, właściwe dla religijnej kultury bizantyjskiej. Należy również wspomnieć o tym, że król węgierski Bela III poślubił Agnieszkę Antiocheńską, siostrę przyrodnią żony cesarza bizantyjskiego Manuela I Komnena (1143-1180). Są to fakty o dużym znaczeniu historycznym. Kodeks Pray jest o wiele starszy od momentu, w którym test metodą węgla 14C dokonany w roku 1988 umieszcza powstanie całunu; jest zatem ewidentne, że w próbie tej coś źle zadziało, być może ze względu na zwyczajny brak istotnych danych.

Podsumowując, możemy stwierdzić, że na razie nie posiadamy pewnych informacji na temat momentu, w którym templariusze weszli w posiadanie całunu, ani nie wiemy dokładnie, kiedy dostał się on w inne ręce. Jest wysoce prawdopodobne, że kasata zakonu ze względów politycznych w roku 1312, a następnie śmierć na stosie ostatniego Wielkiego Mistrza dwa lata później, spowodowały, iż siłą rzeczy znalazł się on pod opieką innych osób. Nie ma natomiast wątpliwości co do tego, że całun, dzięki swym wyjątkowym właściwościom, pozostawił niezatarty ślad na duchowości i zwyczajach liturgicznych templariuszy. Fakt ten zasygnalizował już Ian Wilson w roku 1978; podobne przekonanie na podstawie istniejących śladów wyrazili również dwaj wielcy badacze historii templariuszy Malcolm Barber i Francesco Tommasi. Systematyczne badania prowadzone nad procesem templariuszy w ostatnich latach przyczyniły się do potwierdzenia ich intuicji. A może pozwalają nam nawet na sformułowanie dodatkowych wniosków.

Wizerunki

Na płótnie całunu są obecne ślady aloesu i mirry, substancji używanych w starożytności w celu zachowania zwłok w dobrym stanie. Były one wymieszane razem tak, aby tworzyły oleistą maść albo też używano ich jako proszku do posypania ciała. Według niektórych badaczy substancje te miały decydujący wpływ na zaistnienie procesu, który pozwolił na utworzenie tego osobliwego wizerunku. Ślady ziemi, o których już wspominaliśmy, znajdują się na piętach, co jest typowe dla osoby chodzącej boso, oraz na prawym kolanie, gdzie na wizerunku jest widoczny obrzęk, tak jakby człowiek upadł, uderzając z całą siłą o ziemię. Jako że ta sama ziemia znajduje się także przy czubku nosa, wyciągnięto wniosek, że skazaniec musiał upaść na ziemię, nie mając możliwości osłonięcia twarzy rękami. Żadna z czterech Ewangelii nie mówi o upadkach Jezusa podczas Jego wspinania się na Golgotę, natomiast w specjalnej liturgii Via Crucis, odprawianej podczas Wielkiego Tygodnia, przypomina się o tym, że Jezus upadł na ziemię pod ciężarem krzyża przynajmniej trzy razy. Widoczne obrzęki na kolanie i na twarzy mężczyzny, który był zawinięty w całun, mogłyby w pełni uzasadniać ideę licznych upadków na ziemię, i to do tego stopnia, że bylibyśmy skłonni przypuszczać, że liturgia Via Crucis mogła w pewnej mierze wynikać z badania tego zdumiewającego znaleziska, które w przeszłości uważano niewątpliwie za autentyczną relikwię. Według obecnego stanu wiedzy Droga Krzyżowa miała swój początek w Syrii/Palestynie, wywodząc się z bardzo dawnej tradycji lokalnej. Jej pierwsza ustalona forma pojawiła się w V wieku i była dziełem świętego Petroniusza. Później, w epoce wypraw krzyżowych i chrześcijańskiego Królestwa Jerozolimskiego, odgrywała niezwykle ważną rolę w pobożności ludzi; był to rodzaj szczególnej, podzielonej na etapy pielgrzymki wzdłuż miejsc w Jerozolimie, które były świadkiem Męki Chrystusa. W późniejszym okresie, pod koniec średniowiecza, liturgia ta stała się zdecydowanie bardziej powszechna pod wpływem działań duszpasterskich franciszkanów i karmelitów. Wszystkie jej stacje odwołują się do faktów opisanych w Ewangeliach, z wyjątkiem trzech: spotkania Jezusa z Matką, miłosiernego gestu Weroniki ocierającej twarz ociekającą krwią oraz trzech upadków. Uważa się, że fakty te wywodzą się z ludowej tradycji religijnej z Jerozolimy, z tego dziedzictwa informacji na temat śmierci Jezusa, które prawdopodobnie przekazywano w miejscowej wspólnotce chrześcijańskiej, opowiadając o nich z pokolenia na pokolenie.

Podwójny wizerunek (przedniej i tylnej części ciała) obecny na całunie znajduje się dokładnie nad tym wielkim śladem pozostawionym przez krew, pot i inne substancje jak aloes i mirra. Utworzył się on po tym, jak wszystkie te elementy weszły w kontakt z tkaniną i przeniknęły ją. Jak już wspomniano, odbicie to ma szczególną właściwość, że jest widoczne tylko wtedy, gdy osoba wpatrująca się w całun znajduje się wobec rozwiniętego płótna w

odległości od dwóch do dziewięciu metrów; jeśli stoi bliżej albo dalej, oko ludzkie jest w stanie rozróżnić tylko ślady krwi. Widoczna jest sylwetka dorosłego mężczyzny, o wzroście przypuszczalnie 170-180 centymetrów, wysmukłej budowie ciała, z dobrze określoną muskulaturą, także z uwagi na sztywność mięśni charakteryzującą osoby zmarłe, o której już mówiliśmy. Mężczyzna ten musiał być w wieku między 30 a 40 rokiem życia; na podstawie nieznacznej ilości tkanki tłuszczowej w jego ciele można dojść do stwierdzenia, że jadł niewiele i był przyzwyczajony do pracy fizycznej. Jego głowa opadła całkowicie ku przodowi, tak że podbródek dotyka mostka, klatka piersiowa jest zeszywniała w chwili, gdy była wygięta ku przodowi, zaś nogi wydają się lekko zgięte. Ramiona opadają wzdłuż boków, natomiast ręce, jedna na drugiej, łączą się ze sobą, zakrywając łono. Odbicie obu dłoni nie pokazuje kciuka, co (jak już wspomniano) ma prawdopodobnie związek z raną na środku nadgarstka: przedmiot, który go przebił, uszkodził nerw środkowy i spowodował, że palec zgiął się zupełnie w kierunku wnętrza dłoni. Stopy są także nieco podniesione wyżej, a prawa wydaje się niemal zgnieciona na płótnie, tak jakby sztywność pośmiertna pojawiła się w chwili, gdy stopa tego mężczyzny przylegała ściśle do twardej i pionowej ściany. Mężczyzna nosił wąsy i brodę średnich rozmiarów, która jest jakby rozdzielona na dwa końce częściowo została wyrwana. Długie włosy opadają na plecy i na wysokości karku łączą się w rodzaj warkocza, natomiast po bokach twarzy wydają się lekko uniesione, zamiast opadać ku dołowi, tak jakby zostały podtrzymane przez jakąś podpórkę.

W maju 1898 roku adwokat turyński Secondo Pia wykonał fotografie całunu, których rezultat był prawdziwym szokiem: po raz pierwszy widać było wyraźnie, że całun zachowuje się jak negatyw fotograficzny. Ten blady, niewyraźny, żółtawy wizerunek, który można dostrzec gołym okiem, przekształca się na fotografii w wyraźny obraz, nad wyraz realistyczny i pełen robiących wrażenie szczegółów. Okazuje się, że wizerunku nie sposób wywabić, że nie został namalowany ani że nie ma na nim farby. Nie ma śladów pociągnięć pędzlem. Ciemne zabarwienie wynika z tego, że zewnętrzne włókienka lnu pożółkły pod wpływem procesu, który spowodował utlenianie, odwodnienie i połączenie molekuł celulozy wchodzących w skład lnu. Zjawisko to dotknęło samego włókna tylko w niezwykle minimalnym stopniu (125 mikrometrów), pozostawiając nietkniętą resztę tkaniny, tak że wizerunek nie jest widoczny na odwrocie całunu. W okresie prawie stuletnich badań wykonano setki analiz i prób doświadczalnych, pośród których było wiele dążących do reprodukcji wizerunku za pomocą różnego rodzaju technik. Naukowcy rozpoczęli szybko wytwarzanie nowych "całunów" przy użyciu różnych sztuczek, dążąc do stworzenia kopii, które mają w jak największym stopniu część z osobliwych właściwości oryginału. Próby te są

godne pochwały i pożyteczne, o ile przeprowadza się je w sposób naukowy, ponieważ pozwalają na odrzucenie tych procedur, które nie przynoszą pozytywnego efektu, i kierują wysiłki badawcze w stronę działań przynoszących większy pożytek. Zdarza się jednak niestety często, że wykorzystuje się je do przeprowadzania nikczemnych spekulacji o charakterze komercyjnym, skonstruowanych misternie oszustw na szkodę zainteresowanych tych argumentem, wśród których jest wiele osób prostych, niemających wiedzy naukowej koniecznej do obrony przed tego rodzaju mistyfikacjami. Regularnie co jakiś czas pojawia się znikąd przypadkowy pisarz, który po sfabrykowaniu jakiejś brudnej szmaty publikuje książkę pełną sensacyjnych rewelacji, której z reguły towarzyszy wielki rozgłos.

Spośród tych mistyfikacji jedna dotyczy wręcz hipotezy, że mężczyzną, którego wizerunek znajduje się na Całunie Turyńskim, jest w rzeczywistości ostatni Wielki Mistrz Świątyni Jakub z Molay. Hipotezie tej nie poświęcę większej uwagi, zostawiając inteligencji czytelnika wyciągnięcie należytych wniosków. Jakub z Molay poniósł śmierć na stosie na wysepce na Sekwanie w Paryżu o zachodzie słońca 18 marca 1314 roku. Jego ciało zamieniło się w popiół i wiemy od naocznego świadka wydarzenia, że lud Paryża bił się między sobą, aby zabrać ze sobą choć odrobinę popiołu z tego stosu, który uważał za skuteczną relikwię. I jeszcze jeden fakt: Jakub z Molay liczył około 64 lat, w epoce, w której starość zaczynała się po sześćdziesiątce, a ostatnie siedem lat swego życia spędził w nędzy panującej w więzieniach Filipa Pięknego. Mężczyzna, który pozostawił swój wizerunek na całunie, był bez wątpienia bardzo młody i silny, z pewnością miał mniej niż czterdzieści lat.

W ostatnich latach postęp informatyki wytyczył nowe kierunki poszukiwań, sprawiając, że obecnie stało się możliwe przeprowadzenie pewnych badań, których wcześniej nie sposób było sobie nawet wyobrazić. I tak odkryto, że całun nie jest również fotografią. W odróżnieniu od fotografii wizerunek zawiera informacje trójwymiarowe. Chodzi o pewien rodzaj projekcji optycznej, który w pewnym sensie przypomina holografie. Zweryfikowano, że wizerunek utworzył się po tym, jak strumienie krwi i krew już obecna na płótnie spowodowały proces jakby ekranowania, tak że pod plamami hematycznymi len nie nosi wizerunku. Nowy obszar poszukiwań skłania do hipotez, które wydają się szczególnie prawdopodobne. Najbardziej badana zakłada, że jest to rezultat bardzo silnego promieniowania o wielkiej intensywności i minimalnym okresie trwania, zdolnego do naświetlenia tkaniny i utlenienia jej włókien w sposób powierzchniowy, nie przypalając ich jednak. Tego rodzaju zjawisko byłoby pomocne w znalezieniu wyjaśnienia w wielu kwestiach, które w przeciwnym razie nie mają racji bytu, jak chociażby fakt, że intensywność wizerunku wynika z odległości od ciała, które było całunem zawinięte.

Z biegiem czasu powstało wiele hipotez na temat sposobu, w jaki ukształtował się przedziwny wizerunek tego mężczyzny. Jest jednak faktem, że do tej pory żadnemu naukowcowi nie udało się wykonać przedmiotu mającego te same właściwości, jakie ma całun. Zjawisko to jest więc nadal nieznanne. Różne próby wyjaśnienia, choć niezwykle istotne na płaszczyźnie nauki, pozostają modelami czysto teoretycznymi.

W ostatnim okresie pojawiły się nowe hipotezy także w kwestii kontrowersyjnego datowania metodą węgla radioaktywnego. Fizyk Christopher Bronk Ramsey, dyrektor oxfordzkiego ośrodka Radiocarbon Accelerator Unit, czyli jednego z trzech laboratoriów, którym zlecono dokonanie datowania, powiedział, że nie jest przeciwny temu, aby w przyszłości powtórzyć eksperyment przy użyciu metody węgla ^{14}C . W udzielonym niedawno interesującym wywiadzie dla BBC wyjaśnił, że w porównaniu z okresem, w którym dokonano próby na całunie, nastąpił znaczny rozwój technologii i dzisiaj metoda ta jest o wiele bardziej miarodajna niż w owym czasie. Metoda polega na zmierzeniu ilości węgla znajdującego się w tym znalezisku archeologicznym, którego czas powstania zamierza się ustalić. Węgiel jest pierwiastkiem chemicznym obecnym w każdej substancji organicznej i istnieją jego różne odmiany: ta najbardziej rozpowszechniona w materii żywej (98,89%) składa się z atomów, które mają jądro utworzone z 6 protonów i 6 neutronów. Istnieją jednak również inne odmiany, jak węgiel ^{13}C (który ma w jądrze 6 protonów i 7 neutronów) i właśnie węgiel ^{14}C , którego jądro składa się z 6 protonów i 8 neutronów. Zarówno węgiel ^{13}C , jak i węgiel ^{14}C są izotopami odmiany bardziej rozpowszechnionej. Izotop ^{14}C jest formą nietrwałą, czyli z natury radioaktywną, która wraz z upływem czasu rozpada się stopniowo i podczas tego procesu wydziela elektron i cząsteczkę neutralną (neutrino). Węgiel ^{14}C jest obecny w atmosferze i istoty żyjące nieustannie go sobie przyswajają; kiedy organizm umiera, proces przyswajania dobiega końca i jego pozostałości tracą radioaktywny węgiel, który nie może już zostać przyswojony przez organizm. Znając szybkość rozpadu ^{14}C i posiadając możliwość zmierzenia jego ilości znajdującej się jeszcze w danym dowodzie rzeczowym, można obliczyć, jaki czas temu umarł organizm, z którego ten dowód pochodzi. Przykładowo, dla tkaniny bawełnianej teoretycznie można ustalić okres, w którym zostały zebrane włókna w celu jej sporządzenia. Zasada działania metody jest sama w sobie bardzo prosta, ale dokonywanie pomiarów jest procesem nadzwyczaj złożonym. Posługując się pierwotną metodą, należało zliczyć ilość atomów ulegających rozpadowi w danej jednostce czasu, uważając przy tym, aby do pomiaru nie zaliczyć innych form rozpadu atomów, które są obecne, ale nie pozostają w związku z przeprowadzaniem testem (na przykład radioaktywność środowiska). Istnieje jeszcze druga metoda dokonywania wyliczeń, ale żadna z nich nie jest

absolutnie pewna. Każdy pomiar ma bowiem w sobie pewien margines błędu i trzeba wziąć pod uwagę wiele czynników, które mogą sfałszować rezultat. Zdarza się niezwykle rzadko, aby znalezisko archeologiczne pozostawało odizolowane od świata po jego wytworzeniu. Z reguły przedmioty wchodzą w kontakt z osobami i innymi substancjami na skutek ich używania. Bardzo dobrym nawykiem w przeszłości było wielokrotne wykorzystywanie przedmiotów, w praktyce aż do momentu, w którym dosłownie przestały nadawać się do użytku. Także tam, gdzie było wielkie bogactwo, nie wyrzucano niczego; strój kobiecy w średniowieczu przechodził w spadku z matki na córkę, a wreszcie był darowany jakiemuś kościołowi, który robił z niego strój liturgiczny dla kapłana. Kiedy już nie nadawał się do tego celu, cięto go, aby zrobić z niego ścierki, a gdy i one nie nadawały się do użytku, wykorzystywano je do wytwarzania papieru.

Ten bawełniany materiał, który wykorzystaliśmy jako przykład, mógł być użytkowany na nieskończoną ilość sposobów. Noszono go, był pobrudzony różnymi substancjami roślinnymi i zwierzęcymi, używano go do sprzątania domu, wykorzystywano, aby uszczelnić korek w glinianych dzbanach z oliwą, czy wreszcie służył jako pieluszka dla noworodka. Każdy z tych sposobów wykorzystania sprawił, że wszedł on w kontakt z innymi istotami żyjącymi albo z innym materiałem organicznym i za każdym razem mógł wzbogacić się izotopem ^{14}C , który nie pochodził od niego. W rzeczywistości metoda radioaktywnego węgla jest tylko jedną z wielu metod naukowych, za pomocą której można podjąć próbę datowania jakiegoś znaleziska. Nie jest ona lepsza ani bardziej wiarygodna od innych, co więcej - w niektórych sytuacjach okazuje się całkowicie nieodpowiednia. Znamcom tego działu nauki są znane słynne przypadki datowania za pomocą ^{14}C , które przyniosły rezultaty absurdalne, a nawet komiczne. Na przykład miejscowość prehistoryczna Jarmo była poddana badaniu czterokrotnie i za każdym razem wynik datowania był inny: najpierw 4700 lat przed Chr., potem 10 000, następnie 7000 i wreszcie 6000 lat przed Chr. Kilka narzędzi pierwotnych wykonanych z kości karibu, które pochodziły z Old Crown na Alasce, poddano analizie tą metodą i na podstawie badania miały one pochodzić sprzed 27 000 lat. Naukowcy nie byli jednak absolutnie przekonani co do słuszności tego rezultatu, ponieważ na podstawie badania archeologicznego wydawało im się, że pochodzą z dużo późniejszego okresu. Zaczęli analizować dogłębnie całą sytuację i zorientowali się, że to datowanie wynikało z badania materiału, który znajdował się na części zewnętrznej kości. Po powtórzeniu badania tym razem na części wewnętrznej (prawdopodobnie mniej zanieczyszczonej) okazało się, że wiek narzędzi sięgał okresu sprzed 1350 lat. Najbardziej zabawny przypadek przydarzył się natomiast laboratorium z Tucson: badano w nim hełm wydobyty z grobu wikinga, którego

datę pochodzenia na podstawie wszystkich innych właściwości można było określić na X wiek. Wynik testu radioaktywnym węglem wskazywał jednak na to, że rogi krowy znajdujące się na tym hełmie należały do cielaka, który się jeszcze nie narodził! Oczywiście te absurdalne przypadki są jednak bardzo pożyteczne dla naukowców, ponieważ pokazują, jak potworne błędy można popełniać także wtedy, gdy korzysta się z najlepszej technologii, jaka jest do dyspozycji w danym czasie. Test może być także przeprowadzony w sposób poprawny, ale brak nieodzownych danych może zupełnie skompromitować poprawność rezultatów.

Na temat datowania całunu za pomocą metody radioaktywnego węgla nagromadziło się wiele wątpliwości i polemik już wkrótce po jej ogłoszeniu. Ujawniono, że cała procedura była bardzo aproksymatywna i brakowało w niej dyscypliny naukowej. Także naukowcy nieuczestniczący w polemice zauważyli, że sposób postępowania był, mówiąc krótko, nietypowy: podczas pobrania próbek nie sporządzono żadnego protokołu - a to zwyczaj przestrzegany przez laboratoria, ponieważ w czasie pracy mogą zawsze ujawnić się nieprzewidziane okoliczności, które w konsekwencji trzeba wziąć pod uwagę. Ciężar właściwy pobranych próbek (300 mg) był prawie dwa razy większy niż ciężar właściwy całunu dla tej powierzchni (161 mg), a powinien być praktycznie identyczny, gdyż pobrano go z tego samego płótna. Ponadto za zamkniętymi drzwiami pobrano inne próbki bez powiadamiania o tym świata nauki i w konsekwencji w następnych latach pojawiły się nagle tu i ówdzie wyniki badań przeprowadzonych na fragmentach albo włóknach całunu, które według uzgodnionego protokołu nie miały prawa istnieć. Wydaje się, że zaczęły dawać o sobie znać niezwykle silne interesy osobiste i polityczne, a do tego ujawniła się prawdziwa wojna między specjalistycznymi laboratoriami, które za wszelką cenę dążyły do tego, by uzyskać dla siebie możliwość wykonywania badania, ponieważ przewidywano, że przyczyni się to do uzyskania wielkiego rozgłosu. Cała historia przypomina więc bardziej powieść szpiegowską niż test naukowy; nie dziwi więc, że powstały różne książki opowiadające tę niewiarygodną historię.

Dzisiaj międzynarodowy świat nauki jest bardziej skłonny upatrywać źródeł błędów w tym, iż wybrana technologia była jeszcze zbyt niedoskonała, aby określić datę powstania tak bardzo złożonego przedmiotu. Większa część historii całunu jest jeszcze nieznana, nie mamy pojęcia, na jakie zanieczyszczenia został on narażony, zwłaszcza że wiedza o tym, czego doświadczyło w przeszłości jakieś znalezisko, ma fundamentalne znaczenie dla przeprowadzenia wiarygodnego testu radiodatowania. Jest to myśl bardzo prosta: badanie moczu przechowywanego w zanieczyszczonej próbówce jest nieważne. Znana jest nam

szczegółowa historia całunu z ostatnich 650 lat; w jego dziejach ukrywa się tyle zmiennych, że użycie radioaktywnego węgla wydaje się jeszcze nieodpowiednie; istnieje konkretne ryzyko, że całun zostałby pocięty kawałek po kawałeczku, zanim bylibyśmy w stanie przeprowadzić próby rzeczywiście wiarygodne.

Znamiennym przykładem jest obecność warstwy bioplastycznej na włóknach lnu, spowodowana działaniem bakterii, która zanieczyściła próbkę i z dużym prawdopodobieństwem "odmłodziła" len, przynosząc ze sobą wiele węgla ^{14}C , który nie miał nic wspólnego z całunem. Warstwę bioplastyczną odkryto wiele lat po teście z 1988 roku i oczywiście podczas tej próby jej obecność (i powstałe z tego powodu zanieczyszczenie) nie zostało wzięte pod uwagę.

Ile jeszcze czynników zanieczyszczających, o których zupełnie nic nie wiemy, może się dzisiaj znajdować na plótnie?

Nieustanny postęp różnych dziedzin nauki rodzi nadzieję, że w ciągu niewielu lat zostaną opracowane doskonalsze i przede wszystkim nieniszczące badanego przedmiotu techniki datowania. One są wręcz niezbędne: każdy milimetr całunu ma wielką wartość, a jego zniszczenie pozbawia na zawsze przyszłe pokolenia możliwości zbadania go metodami i przyrządami, które z pewnością będą o wiele doskonalsze od tych, które mamy dziś do dyspozycji.

Tymczasem szczególną uwagę poświęca się badaniu strefy włosów. Budzi ono nadzieję na dobre rezultaty. Wydaje się bowiem, że dzięki temu badaniu będzie można wykluczyć hipotezę, iż wizerunek powstał pod wpływem odcisnięcia. W takiej sytuacji byłoby widać wyraźnie, że włosy są wgniecione, spłaszczone, podczas gdy są one giętkie i faliste, tak jakby nie zaznały żadnej formy nacisku.

Tajemnicze ślady pisma

W roku 1978 chemik Piero Ugolotti poddawał badaniu negatyw całunu uzyskany z niektórych fotografii zrobionych mniej więcej dziesięć lat wcześniej. Zwrócił uwagę na pewne znaki, które wyraźnie rzucały się w oczy. Nie były to plamy w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale raczej osobliwe punkty o określonym kształcie geometrycznym, ukierunkowane w taki sposób, że z bliska przypominały czcionki alfabetu, a w dodatku znajdowały się w grupach. Krótko mówiąc, wydawało się, że są to słowa. Historia napisów na całunie rozpoczyna się właśnie w ten dzień przed trzydziestu laty i nadal trwa. W książce tej powiemy o niej tylko w najważniejszych zarysach, ponieważ w przeciwnym razie wywody na ten temat zmusiłyby nas do wejścia na szlaki, które zaprowadziłyby nas do Syrii/Palestyny epoki Drugiej Świątyni, do judaizmu epoki rzymskiej, i bylibyśmy zmuszeni do poruszania

zagadnień zbytnio oddalonych w czasie od historii templariuszy. W każdym razie obecność tych napisów, a szczególnie niektórych w alfabecie hebrajskim, jest istotna także dla naszych wywodów, ponieważ prawdopodobnie może nam pomóc zrozumieć, dlaczego templariusze zdecydowali się zachować w tajemnicy istnienie całunu w tym ważnym momencie historii, kiedy zakon wszedł w jego posiadanie.

Piero Ugolottiemu udało się rozróżnić kształty niektórych liter greckich i łacińskich, ale - chociaż był osobą wykształconą - nie zamierzał odczytywać sam tych napisów i zwrócił się o pomoc do specjalisty w tej dziedzinie. Był nim Aldo Marastoni, profesor filologii antycznej na Uniwersytecie Katolickim w Mediolanie, który przygotowywał ważne wydania dzieł Seneki i innych autorów łacińskich, współpracując także przy publikacji różnych tomów cenionej serii Teubner wydawanej przez berlińską Deutsche Akademie der Wissenschaften. Marastoni natychmiast wyodrębnił litery, ale spostrzegł także inne rzeczy, które rozbudziły jego ciekawość. W tej sytuacji poprosił o nowe negatywy w turyńskim Międzynarodowym Centrum Syndologii, najbardziej znanym i budzącym szacunek instytucie badań nad całunem. Po otrzymaniu negatywów Ugolotti i Marastoni zabrali się do pracy. Te ślady pisma są widoczne tylko dzięki kontrastowi odcieni jasnych i ciemnych na zdjęciu; konieczne jest więc wielokrotne wywoływanie zdjęć, a następnie wykonanie licznych fotokopii, aby uwydatnić możliwie jak najwięcej znaków.

Rezultat badań jest elektryzujący: na całunie odznaczają się ślady pisma w językach greckim, łacińskim, a także hebrajskim. Nie są to czcionki naszkicowane bezpośrednio na płótnie lnianym, lecz fragmenty słów napisanych na innym przedmiocie; są to słowa, które tylko częściowo zostały uwiecznione na materiale. Patrząc z bliska na całun (który, jak przypominamy, ma właściwości negatywu), nie sposób prawie rozróżnić czegokolwiek, natomiast na negatywie (który oddaje realistyczny wizerunek człowieka, tak jakby był to sam pozytyw zdjęcia) czcionki stają się możliwe do rozpoznania. Biorąc pod uwagę kontekst, jest rzeczą naturalną, że w pierwszej chwili myśl kieruje się do opisanych w Ewangelii wydarzeń: Piłat nakazał umieścić na krzyżu Jezusa napis powiadamiający wszystkich o przyczynie wyroku skazującego; był to osławiony *titulus crucis*. Trzy Ewangelie synoptyczne (Marek, Mateusz i Łukasz) informują o wydarzeniu w formie skróconej, podając do wiadomości tylko tę najprawdźwieszą przyczynę, która skłoniła przywódców Sanhedrynu oraz uczonych w piśmie do wydania Jezusa gubernatorowi rzymskiemu. Chodziło o ukazanie Go jako przywódcy buntowników, czyli zarzucenie Mu, że sam ogłosił siebie "królem żydowskim". Ewangelia świętego Jana opisuje natomiast tę sytuację o wiele obszerniej, w bardziej szczegółowy sposób:

Wypisał też Piłat tytuł winy i kazał go umieścić na krzyżu. A było napisane: "Jezus Nazarejczyk, Król Żydowski". Ten napis czytało wielu Żydów, ponieważ miejsce, gdzie ukrzyżowano Jezusa, było blisko miasta. A było napisane w języku hebrajskim, łacińskim i greckim (J 19,19-20).

Po okresie uzasadnionego entuzjazmu na początku badań Marastoni zauważył natychmiast z pewnym rozczarowaniem, że sprawa napisów jest bardziej złożona. To, co jest napisane na całunie, nie pokrywa się bowiem z opisem ewangelicznym, ponieważ nie sposób znaleźć pewnych istotnych szczegółów, o których wspomina Ewangelia świętego Jana, występują natomiast osobliwe rzeczy, które nie mają nic wspólnego z Ewangelią. Nad prawym łukiem brwiowym (nad lewym na negatywie) Marastoni zauważa obecność przynajmniej trzech czcionek kwadratowego alfabetu hebrajskiego. Są to: jedna Taw, jedna Waw albo Jod, a następnie znak, który wydawał mu się podobny do Sade, w formie znajdującej się wyłącznie na końcu wyrazu, i wreszcie inny niejasny znak, który uważał za sop pasuh, znak interpunkcyjny odpowiadający naszej kropce na końcu zdania. Marastoni uważał, że jest to część jakiegoś słowa w języku hebrajskim albo aramejskim, które jednak nie jest tożsame z napisami znajdującymi się na krzyżu Jezusa według przekazu ewangelicznego. Na środku czoła filolog odczytuje ciąg liter greckich IBEP na górze oraz IB na dole, gdzie szczególnie rzuca mu się w oczy, że napis dolny jest częściowym odciskiem napisu górnego, lekko przesuniętym w prawo. Marastoniemu natychmiast przychodzi do głowy, że ten ciąg liter może być podwójną pozostałością imienia TIBEPIOS napisanego w języku greckim, imienia niezwykle ukochanego wśród Rzymian od okresu etruskiego, noszonego przez wielu cesarzy, a wśród nich pierwszego cesarza, adoptowanego syna Oktawiana Augusta, sprawującego swe rządy właśnie w tym okresie, w którym Ewangelie datują śmierć Jezusa (14-37). Odkrycie to przywołuje od razu na myśl inne, dokonane w roku 1979 przez jezuitę Francisa L. Filasa, teologa Uniwersytetu Świętego Ignacego Loyoli w Chicago. Wewnątrz odbicia prawego oczodołu zauważa on pewnego rodzaju pierścień, zaś wewnątrz tego kształtu kilka drobniutkich liter. Wyodrębniony dzięki dużej ilości powiększeń ciąg liter to: UCAI, który wydaje się otaczać łukiem pewien osobliwy kształt, przypominający jakby zakrzywioną na jednym końcu łaskę pastoralną, podobną do tych, których używają biskupi. Filas cierpliwie bada napis i odkrywa, że odbicia te są tożsame z monetą bitą z rozkazu Poncjusza Piłata w okresie, gdy był gubernatorem Judei, w latach 26-36 po Chr. Jest to moneta szczególna, na której znajduje się osobliwy błąd gramatyczny. Błąd ten nie powinien jednak budzić aż tak wielkiego zdumienia, gdyż nie należał do rzadkości w prowincjach cesarstwa rzymskiego. Na obszarach tych również lud mówił po grecku,

ponieważ był to najbardziej powszechny język w całym ówczesnym świecie, choć w odmianie pełnej błędów gramatycznych, a także rozmaitych form dialektycznych powodujących, że była to greka znacznie różniąca się od tego języka, którym mówiono w Atenach. W napisie greckim ΤΙΒΕΠΙΟΥ ΚΑΙ ΚΑΠΟΣ wystąpił błąd i zamiast tego napisano ΤΙΒΕΠΙΟΥ ΚΑΙ ΚΑΠΟΣ. Sekwencja UCAI stanowi część środkową tego zapisu znaków.

Marastoni sądzi, że znaki te były zapisane na przedmiocie umieszczonym na głowie skazańca. Niewykluczone, że była to opaska hańby, rodzaj prymitywnego i lekkiego kaptura, wykonanego przykładowo z materiału albo z papirusu, na którym znajdowały się obelżywe napisy zamieszczone celowo, aby upokorzyć skazanego na śmierć. Delikatne przesunięcia się tego kaptura miałyby spowodować podwójne odbicie czcionek IB na czole skazańca; była to rzecz, którą należało wyjaśnić. Profesor widzi jeszcze dwa napisy po łacinie, które kierują się od dołu ku górze na lewym policzku (prawym na negatywie) i które są paralelne. Dłuższy napis jest utworzony z ciągu liter, które w jego opinii wydają się tworzyć sekwencję NEAZARE, ze znakiem Z napisanym wspak, natomiast inny, wykonany drobniejszym pismem, można zinterpretować jako INNECE, czyli jako pozostałość łacińskiego wyrażenia in necem („na śmierć”). Jeszcze niżej, w dolnym kwadracie, zauważa dużą, łacińską literę T, a pod podbródkiem dziwny znak, który wydaje się utworzony z dwóch dużych N połączonych ze sobą. Tymczasem Aldo Tamburelli, specjalista od informatyki, podjął próbę zbadania całunu przy wykorzystaniu najnowszych odkryć w tej dziedzinie i w ten sposób odkrył inną, zaskakującą właściwość całunu, a mianowicie to, że jest on trójwymiarowy. Oznacza to, że wizerunek, choć zachowuje się jak fotografia, nie powstał jednak pod wpływem metody identycznej z metodami właściwymi dla powstania fotografii, ponieważ fotografie są dwuwymiarowe. Marastoni nawiązał kontakt z Tamburellim, by sprawdzić, czy napis jest także widoczny na całunie w perspektywie trójwymiarowej. Rezultat próby jest pozytywny, co więcej - dzięki zastosowaniu informatyki czcionki są jeszcze lepiej widoczne.

Od samego początku wydaje się wysoce prawdopodobne, że wyrażenie NEAZARE jest zniekształceniem oryginalnego zwrotu NAZAPENOS, który występuje w Ewangeliach Marka i Łukasza. Jest to przymiotnik wskazujący na miejsce pochodzenia Jezusa, oznaczający „mieszkający w Nazarecie”. Słowo INNECE wydaje się także bardzo dystynktywne, biorąc pod uwagę kontekst. Jest to język łaciński i oznacza „na śmierć”, co potwierdza, że całun służył do owinięcia w niego ciała osoby skazanej na śmierć. Wreszcie na negatywie niektórych zdjęć zrobionych w roku 1931 Marastoni zauważa ostatni napis, tym razem dosyć jasny i wyraźny. Znajduje się on nieco powyżej prawego kolana, utworzony wokół dwóch linii tworzących krzyż, i sądząc po znaku, wydaje się, że został utworzony za

pomocą pióra i atramentu na innej powierzchni (na przykład papirusie albo pergaminie), która weszła w kontakt z płótnem lnianym. Fragmenty słów, z których ten napis się składa (ISSIE, ESY, SNCT, 1 SERE, STR), profesor Uniwersytetu Katolickiego rozpoznał natychmiast jako strzępy łacińskiej modlitwy (Iesu sanctissime miserere nostri, "Najświętszy Jezu, zmiłuj się nad nami"). Kształt liter wskazuje na pismo przedgotyckie, a ich obecność jest zgodna z szeroko rozpowszechnionym w średniowieczu zwyczajem, aby na relikwie kłaść pergaminowe albo papierowe kartki, na których znajdowały się modlitwy, aby i one stały się relikwiami na mocy przekonania, że można pozyskać moc duchową pod wpływem kontaktu. Z uwagi na epokę, z której najprawdopodobniej pochodzi forma liter, można w pewnej mierze założyć, że ten kawałek tekstu z modlitwą mógł zostać sporządzony przez templariuszy.

Didaskalia?

W roku 1994 Marcel Alonso i Eric de Bazelaire, członkowie Centre International d'Etudes sur le Linceul de Turin z Paryża, wpadli na pomysł, aby powrócić do zagadnienia napisów i przekonać się, czy postęp technologiczny dokonany w ostatnim czasie nie mógłby być jeszcze bardziej pomocny w poznaniu tego zagadnienia. Także oni podejmują decyzję o zwróceniu się o pomoc do specjalistów i przedkładają problem naukowcom z paryskiego Institut d'Optique Theorique d'Orsay, cenionego centrum badawczego, w którym grupa fizyków specjalizujących się w obróbce digitalnej wizerunków pracuje między innymi nad identyfikacją palimpsestów i innych tekstów, których obecnie nie sposób odczytać.

Powstał zespół ekspertów od analizy znaków pod przewodnictwem Andre Mariona, pracownika CNRS i profesora Institut d'Optique. Przez siedem miesięcy analizowano najwłaściwszy sposób postępowania w podejściu do zagadnienia, następnie w styczniu 1995 roku Andre Marion i AnneLaure Courage przedstawili na zjeździe rezultaty swojej długiej pracy. Ustalili, że na obliczu skazańca, który pozostawił swój wizerunek na płótnie całunu, pojawia się przynajmniej pięć różnych słów po łacinie i grecku, do których trzeba dodać jeszcze trzy serie osobnych czcionek. Wzdłuż lewej strony twarzy (prawej na negatywie) zidentyfikowano obecność dwóch paralelnych sekwencji kierujących się od dołu ku górze, jedna napisana czcionkami łacińskimi INNECE (wewnętrzna w stosunku do kości jarzmowej) i druga literami greckimi NAZAPENOS (bardziej zewnętrzna). Chodzi o te same słowa, które dostrzegł już Marastoni, z tym że drugie z nich zostaje poprawione. Według analizy komputerowej nie jest to NEAZARE, lecz NAZAPENOE, a oba jego N są uczynione w ten sam osobliwy sposób (jako dwa N połączone ze sobą wspólną kreską), co Marastoni już wyodrębnił w słowie INNECE, i pojawiają się jako osobny znak pod podbródkiem, którego obecność potwierdzono. Jest jednak jeszcze coś więcej: nadal w tych samych okolicach, nieco

poniżej odosobnionego znaku, który tworzą dwa połączone ze sobą N, można odczytać sekwencję, której Marastoni nie zauważył i która wydaje się w wyjątkowy sposób dystynktywna. Jest to grupa liter HSOY, którą szybko rozpoznano jako zasadniczą część słowa (I)HEOY(E). Jest to imię Jezusa po grecku, które w połączeniu z innym słowem greckim oznacza dokładnie "Jezus Nazarejczyk".

W pasie pionowym wzdłuż lewej kości jarzmowej można odczytać inne dwa słowa, także równoległe do siebie. Słowo znajdujące się bardziej na zewnątrz ma czcionki nieco większe, natomiast to bardziej wewnętrzne - mniejsze, ale za to dobrze uwydatnione. Pierwsze słowo tworzy grupa czcionek greckich 'PS, oddzielona białą przestrzenią, tak jakby był to koniec słowa, po czym następuje sekwencja trzech znaków, z których KI są stosunkowo wyraźne, podczas gdy ostatni jest niewyraźny i skłania do przypuszczenia, że jest to A. Mniejszy napis, także w języku greckim, to PEZcfl. Ma on tę właściwość, że widać go wyraźnie na negatywie, podczas gdy wszystkie inne napisy są na ciemnym tle, z czego wynika, że musiały być wykonane atramentem albo innym materiałem. Jeżeli chodzi zaś o grupy rozdzielonych czcionek, to Marion i Courage wyodrębniają nad głową, prawie w centrum, ale nieco w prawą stronę, sekwencję, która ich zdaniem jest utworzona z czcionek IC (którymi po łacinie są i oraz c, a po grecku i oraz s); obok napisu NAZAPENOL wydaje się im, że dostrzegają po raz drugi grupę czcionek ARE, a dwa napisy znajdują się jeden nad drugim, sprawiając wrażenie, jakby ten sam napis został przyłożony dwukrotnie do lnianego płótna w różnych momentach, zostawiając dwa różne ślady mniej więcej w tym samym punkcie. Bardziej na zewnątrz i w tym samym kierunku odczytują jeszcze grupę czterech znaków, z których pierwsze trzy (w alfabecie greckim AAA) są wyraźne, natomiast ostatni (naukowcom francuskim wydaje się, że jest to U, a może zaokrąglone M) jest zakryty przez jakiś rodzaj plamy. Wreszcie, nadal w pobliżu słowa NAZAPENOE, ale skierowane ku dołowi i odwrócone do góry nogami, pojawiają się znaki SB.

W tej sytuacji należało podjąć próbę interpretacji. Marion i Courage przekazali napisy do analizy kilku specjalistom zajmującym się historią starożytności i średniowiecza. Była to grupa bardzo znanych osobistości pracujących na Sorbonie i w innych cenionych francuskich instytucjach badawczych. Dwa prostopadłe do siebie napisy (I)HIOY(L) oraz NAZAPENOE nie wydają się szczególnie problematyczne, ponieważ chodzi tu po prostu o imię Jezus Nazarejczyk w języku greckim, z niewielką różnicą w porównaniu z tym, co przekazały nam Ewangelie, według których samogłoska eta (czyli H) pojawia się na miejscu epsilon (czyli E), i w konsekwencji występuje tam napis NAZAPHNOL. Pomyłki w pisowni tych dwóch samogłosek były czymś bardzo powszechnym na Bliskim Wschodzie w epoce rzymskiej i w

pisanych po grecku tekstach z tego okresu występują one tak często, że wiele podręczników z epigrafiki w ogóle nie wspomina o nich jako o czymś szczególnym. Także sekwencja INNECE nie sprawia trudności, biorąc pod uwagę kontekst, czyli to, że występuje w przypadku osoby skazanej na śmierć. Rozpoznanie pozostałych napisów (różne fragmenty słów) jest natomiast bardziej skomplikowane i rokuje mniej nadziei na sukces.

Obaj fizycy nie byli zgodni w ocenie celu, jakiemu miały służyć te napisy, ponieważ hipotez jest wiele. Jedna z bardziej interesujących zakłada, że słowa te znajdowały się na relikwiarzu albo na jakimś pojemniku i stanowiły one coś na kształt didaskaliów, a ich ślady przeniosły się niezauważalnie na lniane płótno. Niedawno inny specjalista od analizy znaków, Francuz Thierry Castex, wykorzystał w badaniu metodę opracowaną przez Mariona i Courage i udało mu się zidentyfikować nowe ślady pisma czcionkami hebrajskimi w okolicach podbródkiem. Wyniki tych badań przesłał mi następnie do konsultacji i za jego pozwoleniem mowa jest o nich po raz pierwszy w tej publikacji. Wydaje się, że spośród widocznych znaków można rozróżnić czcionki mem, sade i alej, tworzące rdzeń ms\ występujący zarówno w języku hebrajskim, jak i aramejskim, który oznacza "znaleźć". Jest także kolejna sekwencja dwóch znaków, którymi mogą być nw albo ky, biorąc pod uwagę podobieństwo ich form oraz obiektywną trudność ich odczytania. Cały napis może więc wyglądać: nwms' („my znaleźliśmy”) albo kymś („ponieważ znaleziono”).

Sprawa wydaje się dosyć interesująca: słowa, będące urywkiem dłuższego zdania, zgadzają się ściśle z fragmentem Ewangelii świętego Łukasza, w którym ewangelista przedstawia kontekst procesu Jezusa. Chodzi dokładnie o Łk 23,2, czyli o opis sytuacji, w której arcykapłan i członkowie Sanhedrynu wydają Jezusa Poncjuszowi Piłatowi z jasno określonym oskarżeniem: "Znaleźliśmy (Stwierdziliśmy), że ten człowiek podburza nasz naród, że odwodzi od płacenia podatków Cezarowi i że siebie podaje za Mesjasza - Króla". Już zresztą inne badanie, opublikowane w roku 1989 przez Roberto Messinę i Carlo Orecchie, sygnalizowało prawdopodobne istnienie innych napisów zapisanych literami hebrajskimi, znajdujących się na wysokości czoła.

Wśród tych dziwnych napisów na całunie nie ma żadnego, który nawiązywałby do tradycji bizantyjskiej. Również na pytanie, czy napisy te są dziełem templariuszy, trzeba udzielić odpowiedzi negatywnej. Tożsamy z ich epoką pozostaje jedynie mały wycinek wywodzący się z modlitwy: Najświętszy Jezu, zmiłuj się nad nami. W opinii ekspertów, konsultowanych przez Mariona i Courage, prawie wszystkie napisy w języku greckim i łacińskim sporządzono wiele wieków przed założeniem zakonu templariuszy. Wydają się one pochodzić z epoki paleochrześcijańskiej, mniej więcej z okresu między I a III wiekiem po

Chr. Były to napisy wykonane przez jakiegoś chrześcijanina, pragnącego wyjaśnić, kim był ten człowiek, którego wizerunek pozostał na płótnie, być może jednak były to zwoje o pewnym charakterze urzędowym (a więc dokument), jak to w swoim czasie sugerował w swej hipotezie Grégoire Kapłan.

Ślady napisów w języku hebrajskim skłaniają do przypuszczeń, że powstały one być może w Syrii/Palestynie (albo w Qumran?) w bardzo starożytnej epoce. Wszystko to każe wykluczyć, że są one dziełem templariuszy. Bracia Świątyni być może zauważyli ich istnienie, jak o tym powiemy w dalszej części niniejszej pracy. A jeśli tak było, to odkrycie to utwierdziło ich w pragnieniu, aby zachować całun wyłącznie dla siebie.

Trop "problemu żydowskiego"

Według opinii różnych fachowców, którzy przez długi czas badali płótno Całunu Turyńskiego, ostrość wizerunku zmniejsza się z upływem czasu z powodu naturalnego zjawiska niszczenia pod wpływem działania światła, a w minionych stuleciach można było rozróżnić wizerunek o wiele lepiej. W istocie niektóre dawne przedstawienia całunu ukazują odbicie, które ma o wiele bardziej intensywny, ciemny odcień, chociaż nie możemy wykluczyć hipotezy, że malarze umyślnie przejawiali kolor, aby sedno sprawy było lepiej widoczne. Prowadząc swe badania, fizycy pod przewodnictwem Andre Mariona zdecydowali się wykorzystać negatywy, które wykonał Enrie w roku 1931. Decyzja ta wynikała z faktu, że ten rodzaj fotografii, którego używano w owym okresie, zawiera olbrzymią ilość informacji. Wpłynęło na nią także silne podejrzenie, że wówczas wizerunek był o wiele bardziej intensywny niż dzisiaj, czyli zdecydowanie bogatszy w szczegóły. Ślady pisma odznaczają się właśnie dzięki kontrastowi, jaki istnieje między odcieniami, ponieważ są niczym śnieżnobiałe plamy w formie liter na ciemnojasnym tle wizerunku. Dzisiaj, aby je zobaczyć, potrzeba uciec się do pomocy negatywu fotograficznego, który akcentuje bardzo wyraźnie grę kontrastów. Jeśli jednak naukowcy mają rację i wizerunek w dawnym okresie był ciemniejszy, być może niektóre napisy można było rozróżnić gołym okiem. Nie jest to jakiś mało znaczący fakt, jeżeli przyjrzymy się z uwagą historii społecznej średniowiecza. Słowa w języku greckim i łacińskim nie stwarzałyby z pewnością problemów w owym okresie, tego samego nie można jednak powiedzieć o napisach uczynionych literami hebrajskimi.

W późnej starożytności, a następnie przez cały okres średniowiecza, relacje między władzą polityczną a Żydami były zmienne. Po edyktie mediolańskim z 313 roku po Chr. cesarz Konstantyn popierał rozprzestrzenianie się chrześcijaństwa w sposób raczej bezkompromisowy i z pewnością nie okazywał im względów. Nieco jednak później, kiedy całe cesarstwo było już chrześcijańskie, Teodozjusz I (379-395 po Chr.) wydał serię

dekretów, których celem była obrona tej mniejszości, niebędącej już niebezpieczeństwem dla jego polityki religijnej. Na Zachodzie papieże chronili ich często: szczególnie Grzegorz Wielki stworzył prawdziwą strategię, aby bronić ich przed wrogami, którymi zasadniczo były władze społeczności lokalnych. Zachowało się przynajmniej sześć listów tego papieża, który potępiał akty przemocy wobec Żydów, i wiemy, że wspólnoty żydowskie rozproszone w różnych krajach świata chrześcijańskiego miały zwyczaj zwracania się do rabina rzymskiego, aby wstawiał się za nimi u papieża, który często podejmował się roli mediatora w konflikcie z królami i cesarzami. Najsłynniejszy z tych listów, zatytułowany *Sicut Iudaeis*, był następnie podejmowany w późniejszych wiekach przez wielu papieży. U jego podstaw leżała myśl wyrażona już przez cesarza Teodozjusza I, która jednak z wielką trudnością przenikała do mentalności ludzi: „nie ma prawa, które zakazuje religii żydowskiej”.

W czasie całej epoki średniowiecza Europa doświadczyła częstych przejawów antyjudajizmu, pełnych niesłychanych gwałtów, których źródłem było powszechne wśród ludzi uczucie wrogości. Wrogość ta wynikała z nietolerancji, a rządzący (papieże, cesarze czy królowie) usiłowali zawsze ją wykorzystać, ponieważ zagrażała porządkowi publicznemu. Dopiero jednak w późnym średniowieczu problem ten przybrał rzeczywiście niepokojące rozmiary. Począwszy od 1150 roku, a potem jeszcze bardziej w XIII i XIV wieku, fale prześladowań następowały jedna po drugiej, powodując prawdziwe rzezie ludności pochodzenia żydowskiego. Z przeszłości wyłonił się upiór mrocznej starodawnej legendy ludowej. Według niej Żydzi trzymali przez rok jako zakładnika chłopca chrześcijanina i przez cały ten okres żywili go szczodrnie, aby zaokrąglił się jak najbardziej. Gdy już to nastąpiło, został zabity, a jego ciało spożyte podczas jednej z ich świątokradczych uczt rytualnych. Ten makabryczny wymysł krążył już po cesarstwie rzymskim za czasów filozofa Celsusa (II wiek po Chr.) i wykorzystywała go bez różnicy przeciw Żydom i chrześcijanom ludność pogańska, która czuła wstręt wobec pewnych zwyczajów bliskowschodnich, jak na przykład obrzezanie. Gdy pojawił się ponownie po upływie około tysiąca lat, natrafił na glebę szczególnie żyzną i rozpowszechnił się w sposób straszliwy. W roku 1144 odkryto w Norwich zwłoki małego chłopca, którego zabójca nie był znany. Winą obarczono miejscowych Żydów, których następnie wymordowano. Dwadzieścia lat później w Gloucester rozeszły się pogłoski, że młodzieniec o imieniu Harald został najpierw poddany barbarzyńskim torturom, a następnie ukrzyżowany przez Żydów. Od tego momentu przypadki zaczęły się mnożyć, jak dzieje się to przy wybuchu jakiejś epidemii: pogromy wystąpiły pod koniec XII wieku w Bury St. Edmunds, Bristolu i Winchester, a na początku XIII wieku także w Lincoln, Stanford i w Londynie. Z Anglii legenda ta przedostała się do Francji, zasiewając wszędzie w umysłach

przewrotną sugestią, że oto prawie każde tragiczne wydarzenie było nieodwołalnie spowodowane obecnością Żydów. Już w roku 1171 uwierzono, że znaleziono dowody jednego z tych "przestępstw rytualnych" w Pontoise. Ofiarę pochowano w Paryżu w kościele Świętych Niewiniątek, szybko rozeszła się fama, że ów młodzieniec dokonał po swej śmierci różnorodnych cudów i wiele osób pielgrzymowało do grobu tego chłopca, widzianego jako męczennika "perfidii żydowskiej". Stworzono także specjalny rytuał, aby oddawać mu cześć. W tym samym roku Thibaut, hrabia Blois, pod wpływem tej legendy skazał na śmierć przez spalenie na stosie przynajmniej 32 Żydów i usiłował także zniszczyć miejscową wspólnotę. Natomiast jego sąsiad Thibaut IV, hrabia Szampanii, a także król Francji Ludwik VII oraz cesarz Henryk VI ogłosili oficjalnie, że ta pogłoska nie miała rzeczywistych podstaw, próbując ją wykorzenić; niestety bez powodzenia. Z upływem XIII wieku ten mroczny mit rozprzestrzenił się na obszarze całej Europy i był przyjmowany z wielką wiarą przez łatwowierny lud. Siła sugestii była tak wielka, że legenda ta wzbogaciła się o jeszcze jeden straszliwy szczegół: Żydzi potrzebowali krwi ludzkiej, aby sporządzić przaśny chleb, który spożywali podczas obrzędów paschalnych.

W roku 1235 doszło do tragicznych wydarzeń w niemieckim mieście Fulda. Oskarżono tam Żydów o to, że zabili pięcioro dzieci pewnego młynarza. Po poddaniu ich okrutnym torturom udało się uzyskać w końcu zeznanie, że przaśny chleb spożywany podczas Paschy był rzeczywiście sporządzany przy użyciu krwi ludzkiej. Konsekwencją tego był kolejny masowy mord. Wydarzenie to uzyskało tak wielki rozgłos, że spowodowało reakcję ze strony cesarza Fryderyka II. Jako człowiek wielkiej kultury, którego - jak na ową epokę - cechowała niezwykła otwartość, Fryderyk II wykazywał się dużą znajomością zwyczajów Bliskiego Wschodu, ponieważ wychował się na Sycylii i jako dziecko żył w ukryciu w rodzinie muzułmańskiej, która przyjęła go, aby uchronić przed wrogami. Cesarz był bardzo sceptyczny w tej sprawie, biorąc jednak pod uwagę, że legenda miała olbrzymi wpływ na mentalność zwykłych ludzi, zdecydował się na powołanie komisji, w skład której wchodziłi Żydzi nawróceni na katolicyzm, aby niezwykle wnikliwie przebadac ten problem. Oczywiście komisja wykazała, że w Starym Testamencie znajduje się bezwarunkowy zakaz spożywania krwi, także krwi tych zwierząt, które zabijano celem ich spożycia. Fryderyk II uważał, że rozwiązał problem raz na zawsze, i wydał dekret, w którym zarządzał, że osoby prześladowające Żydów są winne obrazy majestatu, czyli ciężkiego przestępstwa, za które był przewidziany najwyższy wymiar kary. W tym samym roku w miejscowościach Lauda i Pforzheim doszło jednak do kolejnych masowych mordów. Papież Grzegorz IX był zmuszony do ogłoszenia nowej wersji bulli *Sicut Iudaeis*, w której nakazywał biskupom francuskim, aby karali surowo

chrześcijan, którzy dokonywali aktów przemocy wobec ludności żydowskiej oraz jej własności.

Właśnie w tych latach wybuchło jedno z bardziej gwałtownych prześladowań i oblicza się, że aż 2500-3000 osób religii żydowskiej zostało zamordowanych przez uczestników szóstej wyprawy krzyżowej, włącznie z kobietami i dziećmi, a setki Żydów zmuszono siłą do przyjęcia chrztu. Był to prawdopodobnie okres największego napięcia. Kościół, poirytowany szerzeniem się herezji i kontestacją religijną, zaczął potępiać niektóre tradycyjne księgi żydowskie jak Talmud, który nie należał do świętych ksiąg, ale zawierał kilka lekceważących fragmentów na temat Jezusa, powstałych pod wpływem ludowych przekazów. Nastawienie antyżydowskie znajdowało pożywkę w idei, że Żydzi dokonywali rozmyślnie profanacji Eucharystii. Rozeszły się pogłoski, że mamki będące chrześcijankami, które zatrudniano w domach bogatych Żydów, aby karmić piersią ich dzieci, były zmuszane przez trzy dni do wyciskania swego mleka do latryn po przyjęciu hostii, tak aby poprzez mleko nie skaziła ona żydowskiego noworodka. Opowiadano o ponad 50 przypadkach cudów, jakie zdarzyły się profanującym konsekrowane hostie Żydom, którzy przez oszustwo zdobyli je celem ich zbezczeszczenia, a które w ich dłoniach przemieniły się w prawdziwe ciało i krew.

W połowie XIII wieku papież Innocenty IV dał się zasugerować tym uwarunkowaniom i zatwierdził dekret o wygnaniu Żydów, który ogłosił w swej diecezji biskup wiedeński. W rzeczywistości był to stosunkowo rzadki przypadek. Papieże nadal wydawali bulle w obronie ludności pochodzenia żydowskiego, które jednak niezmiennie nie były przyjmowane do wiadomości, ponieważ silne zakorzenienie w świadomości ludu powodowało, że uprzedzenie to było nie do przezwyciężenia. Pod koniec tego stulecia wygnania przybrały charakter masowy. W roku 1290 przyszła kolej na Żydów w Anglii, następnie w 1306 na rozkaz Filipa Pięknego los ten spotkał Żydów we Francji. Między rokiem 1298 i 1337 fale prześladowań o ogromnych rozmiarach przetoczyły się przez Niemcy: pod wpływem pogłosek o profanacji hostii zniszczono 150 wspólnot lokalnych, zaś według wyliczeń historyków podczas tych sądów bożych zamordowano od 20 do 100 tysięcy Żydów.

To wszystko znamionuje atmosferę, jaka otaczała templariuszy w momencie, gdy prawdopodobnie weszli w posiadanie Całunu Turyńskiego. Zdecydowana większość braci była raczej pozbawiona wykształcenia, niektórzy z dostojników zakonnych byli jednak osobami o niezwyklej erudycji. Pielgrzymi, którzy przechodzili szybko przed relikwią, od której oddzielał ich bezpieczny dystans, z pewnością nie byli w stanie rozpoznać śladów

pisma, niewykluczone jednak, że można było zauważyć je przy okazji uważnego, szczegółowego i wydłużonego w czasie badania.

Jeśli któryś z braci zorientował się, że na płótnie znajdują się napisy po hebrajsku, co jest możliwe, to zrozumiemy jeszcze lepiej, dlaczego przełożeni Świątyni postanowili utrzymać w najskrytszej tajemnicy posiadanie relikwii. Zakon nie mógł sobie pozwolić, aby ją utracić. Z pewnych powodów uważano bowiem, że jest ona niezbędna w walce przeciw złu, które właśnie trapiło całe chrześcijaństwo. Było to zło, które miało swe początki jeszcze w starożytności, a jego ofiarą padli także niektórzy członkowie Świątyni.

Dochować wierności drodze wytyczonej przez Piotra

W roku 1143 opat Erwin ze Steinfeld powiadomił świętego Bernarda z Clairvaux, że w Niemczech, w okolicach Kolonii, doszło do aresztowania grupy wyznawców szczególnej sekty heretyckiej. Głosili oni, że są członkami starożytnego Kościoła pozostającego w ukryciu od epoki męczenników, który przetrwał w Grecji i innych krajach pod kierownictwem pewnych "apostołów" i biskupów. Od połowy XII wieku aż do końca XIII wieku społeczeństwo chrześcijańskie dozna wstrząsów na skutek szerzenia się olbrzymiego ruchu odstępstwa religijnego. Ruch ten nie tylko poddawał krytyce niektóre zasadnicze dogmaty i tradycję Kościoła, ale kontestację teologiczną łączył z silnymi oskarżeniami duchowieństwa o niemoralność oraz zdecydowanymi żądaniem o charakterze politycznym. W tej tak podatnej na zmiany atmosferze relikwie i przedmioty pozostające w związku z życiem Jezusa były dla Kościoła niczym ostatnia deska ratunku, były traktowane jako coś, co mogło pomóc chrześcijanom, aby nie zeszli na manowce, idąc za prądem nowych nauk. Chodziło więc o to, aby pozostać na utwierdzonym szlaku, zachować wierność drodze, którą swego czasu wytyczyli apostołowie.

Krótko przed śmiercią stary rybak z Betsaidy w Galilei, Szymon zwany Piotrem, podyktował list swym uczniom, którzy następnie go zredagowali niczym prawdziwą encyklikę i wysłali do wszystkich chrześcijan, którzy mogli go otrzymać. W liście wyrażał on głębokie zaniepokojenie i zalecał chrześcijanom, aby trzymali się z daleka od pewnych nowych teorii, według których wizerunek Jezusa miał przede wszystkim charakter intelektualny i duchowy, co powodowało, że przedstawiały Go tak, jak gdyby był On symbolem całkowitego odnowienia ludzkości. Współcześni historycy nazywają ten ruch religijny doketyzmem, od greckiego *dokein* („wydawać się”), ponieważ podstawą tej nauki była idea, że Jezus miał tylko pozorne ciało ludzkie. Ich błędem było przypisanie przesadnego znaczenia interpretacji osobistej. Piotr nie miał za sobą wielkich studiów, ale te nowe i wyrafinowane wysiłki umysłu ludzkiego, które zaczynały być modne w myśli

chrześcijańskiej, nie podobały mu się wcale. Tymczasem ich źródło nie tkwiło w religii żydowskiej, ale raczej w filozofii neoplatońskiej, czyli w myśli greckich pogan. Ponadto wyznawcy tych idei sprawiali wrażenie, że wynoszą pod niebiosa wymiar duchowy Jezusa, próbując w ten sposób ukryć Jego wymiar ludzki, tak jakby był on pewnego rodzaju słabością, przejawem tego, czego trzeba się wstydzić. Przede wszystkim chodziło o mity. Podążając za Nim przez trzy lata, przeżywając osobiście proces, śmierć i następujące po niej wydarzenia, Piotr zachował o tych latach bardzo konkretne wspomnienie i nie zgadzał się z tym, aby nowe pokolenia wyobrażały sobie Jezusa przede wszystkim jako oderwaną od rzeczywistości ideę. Jego reakcją na te nowe kierunki myślenia - na ile nam wiadomo - było natychmiastowe i bezkompromisowe potępienie. Do istoty chrześcijaństwa należało uznanie, że Mesjasz Izraela był identyczny z żyjącym w historii człowiekiem - Jezusem z Nazaretu, a ponieważ dokeci odrzucali człowieczeństwo Jezusa, więc z perspektywy Piotra po prostu nie byli chrześcijanami. Jeżeli zapagniemy wyrazić to przy użyciu terminów właściwych dla naszych czasów, dojdziemy do stwierdzenia, że religia Piotra, a także Pawła i Jana, była religią historyczną, i to w tym znaczeniu, że oto wszystko zrodziło się na bazie kilku fundamentalnych faktów usytuowanych precyzyjnie w czasie i przestrzeni. Istniał konkretny człowiek, który dokonał pewnych rzeczy, a podeszwy jego stóp pozostawiły swój ślad na ziemi Jerozolimy.

W piśmie, który tradycja przekazała jako Drugi List Piotra, stary rybak przestrzegał przed niebezpieczeństwami, które mogą zrodzić się w momencie, gdy ktoś rości sobie prawo do interpretowania Ewangelii w sposób niezależny i osobisty. Wszystkim konstrukcjom intelektualnym na temat Jezusa Piotr przeciwstawiał prostą i bezpośrednią prawdę, czyli to, co widział na własne oczy:

Nie za wymyślonymi bowiem mitami postępowaliśmy wtedy, gdy daliśmy wam poznać moc i przyjście Pana naszego Jezusa Chrystusa, ale [nauczaliśmy] jako naoczni świadkowie Jego wielkości. [...] To przede wszystkim miejcie na uwadze, że żadne proroctwo Pisma nie jest dla prywatnego wyjaśnienia.

Osiemdziesiąt lat po jego śmierci sytuacja uległa pogorszeniu i pojawiło się wiele kościołów niezależnych, w opinii których wymiar ludzki Jezusa, ciało, był nie tylko czymś drugorzędnym, ale wręcz negatywnym, co należało odrzucić. Skłaniano się ku pogładowi, że było niemożliwe, aby Duch Boży, który wypełniał niebieskiego Chrystusa, mógł pozostawać zamknięty w ciele ludzkim, które zapadało na choroby i umierało. W związku z tym zakładano, że Duch w pewnym momencie zawładnął tym śmiertelnym prochem po to, aby porozumiewać się z istotami ludzkimi i nauczyć ich drogi poznania, a następnie pozbyć się

jak najszybciej tego kłopotliwego opakowania ciała, zanim zostanie ono unicestwione przez ukrzyżowanie. Kościoły te określały się jako gnostyczne, z greckiego słowa gnosis (poznanie), ponieważ zgodnie z ich koncepcją religijną zbawienie człowieka nie zależało od ofiary Jezusa, która w rzeczywistości nigdy nie miała miejsca, lecz wyłącznie od głoszonego przez Niego słowa, dzięki któremu ludzie docierali do poznania Boga. Prądy doketyczne i gnostyczne rozdzielały całkowicie Jezusa ziemskiego od Chrystusa niebieskiego, jak gdyby były to dwie różne istoty, niedające się ze sobą pogodzić. Śmiertelny Jezus, Jezus z Nazaretu, był więc pustą powłoką bez żadnego znaczenia, był czasową siedzibą duchowego Chrystusa. Dla niektórych sekt był człowiekiem jak każdy inny, dla innych nie był nawet człowiekiem z ciała i krwi, lecz rodzajem ektoplazmy. Tak czy inaczej, zarówno dla jednych, jak i drugich zmartwychwstanie nigdy nie nastąpiło, ponieważ Chrystus niebieski nie mógł ani cierpieć, ani tym bardziej umrzeć. Nie została złożona żadna ofiara, aby odkupić ludzkość, a eucharystia była rytmem pozbawionym sensu, w związku z czym nie była sprawowana. Bóg posłał swego niebieskiego Posłańca pod wprowadzającą w błąd powierzchownością śmiertelnego człowieka, nieróżniącego się od innych ludzi, aby mógł głosić słowo do ludzkości i w ten sposób wybawić ją z błędnych przekonań. Powłoka cielesna Posłańca była tylko rodzajem optycznego złudzenia, koniecznego do tego, aby ludzie mogli go widzieć, choć sama była pozbawiona rzeczywistej treści. Niektóre ekstremalne grupy gnostyczne dochodziły nawet do stwierdzenia, że w rzeczywistości na krzyżu poniósł śmierć Szymon Cyrenejczyk. W odpowiednim momencie Bóg bowiem jakby oślepił swym światłem żołnierzy i spowodował, że pomylili oni osoby.

Abstrahując od podobnych skrajności, ruch gnostyczny wypracował fascynującą teologię, która wysławiała wielkość duchową Chrystusa i wychwalała sposób, w jaki dusza ludzka za Jego pośrednictwem pokonywała długą drogę wznoszenia się ku górze, osiągając możliwość kontemplacji oblicza Boga. Od końca 1 wieku aż do epoki Konstantyna także chrześcijaństwo katolickie wielokrotnie było pod urokiem tej intelektualnej i duchowej wizji Jezusa, która pomniejszała znaczenie Jego wymiaru ludzkiego i interpretowała każdy fragment Ewangelii w sposób alegoryczny. Wybitni przedstawiciele tej koncepcji znajdowali się zawsze na pograniczu ortodoksji i byli ludźmi wielkiej wiary, jak na przykład teolog Walentyń, który żył w Rzymie za panowania cesarza Hadriana. Z jego twórczości zachował się fragment wspaniałej poezji religijnej: "Skoro zaś wejrzy na nie Ojciec, który Jeden tylko jest dobry, z tą chwilą doznaje ono pełnego oświecenia, rozbłyska światłem i wówczas doznaje szczęścia ktoś mający serce w takim stanie, ponieważ ujrzy Boga".

Już od końca I wieku chrześcijanie byli pod wrażeniem tego typu idei, a ocenę tę wzmacniało między innymi to, że gnostycy prowadzili ascetyczne, surowe i przykładowe życie. Walentyń był obdarzony szczególną bystrością umysłu i wydaje się, że w pewien sposób dał początek tej dyspacie, której owocem w przyszłości będzie dogmat o Trójcy Świętej. Piękno jego myśli religijnej, połączonej z porywającą elokwencją, skłoniło znaczną część duchowieństwa rzymskiego do wysunięcia go jako kandydata na przyszłego papieża. Coś jednak się nie powiodło i w wyborze papieża sukces odniósł inny kandydat, który nie był wprawdzie wielkim teologiem, ale przemawiało za nim wielkie świadectwo codziennego życia. Racji przemawiających za tego rodzaju wyborem można doszukać się w tym, co stanowiło szczególną cechę myśli gnostyckiej, a co już napiętnował święty Ignacy z Antiochii, człowiek pierwszego planu we wspólnocie chrześcijańskiej za panowania cesarza Trajana (98-117 po Chr.). Ignacy zauważył, że gnostycy nie troszczą się o udzielanie pomocy ubogim, chorym, wdowom i sierotom. Postępowanie to było naturalną konsekwencją ich teologicznego myślenia: jeśli ciało nie jest czymś innym jak tylko grzechem i zepsuciem, to po co troszczyć się o chorych? Jeśli życie jest tylko niewolą i wygnaniem, to po co pomagać ubogim? Krótko mówiąc, gnostycy, postępując według swego rozumienia nieumiarkowanego ascetyzmu, stawali się wręcz nieludcy. Nauka Jezusa w tej materii była natomiast jednoznaczna: pójście Jego drogą oznaczało miłowanie bliźniego w trudnościach i pomaganie mu za wszelką cenę. Kościół pierwotny był przede wszystkim wspólnotą religijną, utworzoną przez ludzi, którzy gromadzili w jedno swe dobra, aby nakarmić ubogich i troszczyć się o chorych. Nie budziło wątpliwości, że to właśnie jest wola Jezusa, zwłaszcza że tak było już wtedy, gdy był On jeszcze z apostołami i kierował nimi. Sekty te interpretowały przesłanie Chrystusa, jak gdyby było to w głównej mierze nauczanie jakiejś szkoły filozoficznej, i zaniebýwały praktykowanie miłości bliźniego wobec tych, którzy byli w potrzebie. Gdyby więc nawet byli wolni od wszelkiej zmy, to i tak gnostycy w ostatecznym rozrachunku dopuszczali się zdrady wobec samej istoty chrześcijaństwa.

Rozczarowanie wywołane porażką przy wyborze na papieża zrodziło w teologu Walentyńnie niezwykle silny uraz do duchowieństwa Rzymu. Wydaje się, że opuścił stolicę i udał się na Bliski Wschód, gdzie tworzył dzieła całkowicie inne od tych wcześniejszych. W dziełach tych przedstawiał teorie o zabarwieniu zdecydowanie gnostyckim, przeczące ciału ludzkiemu Chrystusa, które być może opracował już wcześniej, wstrzymując się jednak z ich ujawnieniem. Konkretny obraz chrześcijaństwa Piotra, który pozostawił w spadku kult Jezusa jako Chrystusa głoszonego przez proroków, ale równocześnie człowieka z krwi i kości, ostatecznie odniósł zwycięstwo, a doktryny gnostyckie odrzucono. Gnoza jednak nie zanikła,

ponieważ miała silne korzenie zarówno na Bliskim Wschodzie, jak i na Zachodzie. Współczesny historyk ma trudności, aby określić precyzyjnie różnicę między jedną sektą a drugą, ponieważ nie ma wielu informacji i z reguły pochodzą one od intelektualistów chrześcijańskich epoki, którzy byli negatywnie nastawieni do tych nauk z powodu wielkiego zamieszania, jakie wywoływały one wśród ludzi. Niektórzy przywódcy szkół gnostycznych rozpowszechnili wersje ewangelii, które zostały przerobione albo wręcz napisane osobiście przez nich samych. Tekst Ewangelii Janowej, szczególnie bogaty w wyrażenia symboliczne, należał do najczęściej wykorzystywanych w tych celach.

Między jedną a drugą szkołą gnostyczną istniała duża różnica, choć w ostatecznym rozrachunku wszystkie odwołały się do tego samego przekonania, które w istocie negowało człowieczeństwo Chrystusa. Dla autorów Kościoła pierwszych wieków gnostycyzm był podobny do hydry o stu głowach, do starożytnego potwora, który może za każdym razem ujawnić się ponownie z nową twarzą.

Kontynuacje gnozy

Konstantyn podjął decyzję o zalegalizowaniu kultu chrześcijańskiego pod wpływem osobistej sympatii i w wyniku kalkulacji politycznej, ale oczywiście pragnął Kościoła zjednoczonego, w którym panuje pokój i który byłby organizmem jednomyślnym, pożytecznym w realizacji jego planów. Dlatego też wyjął spod prawa odstępce sekty. Gnoza jednak przetrwała; szczególnie w północnej Afryce i na niektórych obszarach Bliskiego Wschodu ujawniła się w ruchu manichejczyków, z którym w swej młodości związał się także święty Augustyn z Hippony. W epoce bizantyjskiej dawały o sobie znać małe grupki o zabarwieniu gnostyckim, rozproszone tu i ówdzie na rozległych terytoriach cesarstwa. Następnie nurt ten nabrał nowych sił w ramach ruchu ikonoklastycznego, którego intencją było zniszczenie ikon, ponieważ ukazywały one wizerunek ludzki Chrystusa i wzywały do oddawania czci jedynie Ewangelii zawierającej Jego słowo. W wiekach VIII i IX rozmaici cesarze bizantyjscy byli zaangażowani w zwalczanie ruchu paulicjan, których nazywano tak, ponieważ byli wyznawcami doktryn gnostycznych Pawła z Samosaty. Ci cesarze to Michał I (811 -813), Leon V (813-820), regentka Teodora (842-856), która zdelegalizowała ruch prowadzący walkę z kultem ikon, wreszcie Bazyli I, który w roku 871 zadał mu klęskę. Odstępcy ci byli znakomitymi żołnierzami i z tego względu w przeszłości byli rozlokowani w Tracji i Macedonii w oddziałach garnizonowych na terytoriach cesarstwa. Na tych obszarach ruch ten odżył ponownie i rozprzestrzenił się znacznie w Bułgarii, na Bałkanach i w pewnych regionach Rosji. W połowie X wieku przedstawiciele tego ruchu znano pod nazwą bogomilów, od imienia ich przywódcy duchowego Bogomiła, co oznacza „miły Bogu”.

Niczym powracająca fala ten kierunek myśli, w którym odstępstwo religijne dążyło w XI wieku do połączenia się z protestem politycznym, pojawił się ponownie w stolicy cesarstwa bizantyjskiego. Za panowania cesarzy z dynastii Komnenów herezja wywodząca się z gnozy dała o sobie silnie znać i w związku z tym podjęto środki, aby bezlitośnie ją zdławić. Anna Komnena, córka cesarza Aleksego I i autorka słynnej Kroniki, opowiada, że w roku 1117 wykryto rodzaj spisku przedsięwziętego przez przywódców tych kościołów gnostycznych, którzy dotarli aż do najbliższego otoczenia cesarza i mieli swych zwolenników pośród najbardziej zaufanych urzędników. Aleksey, aby przykładowo ukarać sprawców, skazał ich na spalenie, kazał jednak przygotować dwa różne doły, w których mieli oni spłonąć. Nad jednym z nich wznosił się krzyż, natomiast nad drugim - nie. Krzyż był znakiem prawdziwej wiary i zaakceptowanie go oznaczało zaakceptowanie rzeczywistego człowieczeństwa Jezusa, Jego rzeczywistej, dobrowolnej ofiary oraz wszystkich związanych z tym dobrodziejstw dla zbawienia rodzaju ludzkiego. Niektórzy spośród heretyków wybrali śmierć pod znakiem krzyża. Cesarz potraktował to jako znak nawrócenia in extremis i ułaskawił ich.

W XI wieku reprezentanci gnostycznego ruchu bogomilów dotarli do Europy Zachodniej, zanosząc tam swe nauczanie, które rozprzestrzeniło się lotem błyskawicy szczególnie na południu Francji, w północnej Italii oraz w Niemczech. Midi, czyli cały centralnopółdniowy obszar terytorium francuskiego, był siedzibą kwitnącego kościoła gnostycznego. W roku 1167 w pobliżu SaintFelixdeCaraman w Langwedocji odbyły się nawet obrady soboru tego nowego, niezależnego kościoła, który nazwał się mianem katarzy, od greckiego słowa katharós, oznaczającego "czysty". Różni biskupi katoliccy przyłączali się do niego, akceptując wraz ze swymi wiernymi jego szczególne credo, miała nawet miejsce swego rodzaju unia między katarami Zachodu i Wschodu. W soborze wziął także udział przełożony Kościoła greckiego Niketas, który nosił wymowny tytuł papas⁴⁹. Niebezpieczny zamęt doktrynalny wkraść się zresztą także w środowisko hierarchów Kościoła katolickiego. Teolog miary papieża Innocentego III został zmuszony do napisania ogromnej ilości listów i traktatów skierowanych nie do zwykłych ludzi, lecz do samych biskupów, którzy mieli dosyć chwiejne poglądy w kwestiach o znaczeniu fundamentalnym, jak na przykład sakramenty. W tym samym czasie Innocenty III uczynił wiele dla podniesienia wartości kultu relikwii, szczególnie tych, które pozostawały w związku z życiem Chrystusa. Identycznie jak miało to miejsce w przypadku cesarzy bizantyjskich Romana I i Konstantyna VII, którzy byli zmuszeni stawić czoło heretykom, papież pojął rzecz niezwykle istotną: relikwie mogły wydawać się niektórym skromnymi przedmiotami powiązanymi z pobożnością ludową, ale w tradycji były konkretnym dowodem na to, że Jezus żył prawdziwie jako człowiek, cierpiał w

czasie Męki i poniósł śmierć. Wobec tych, którzy głosili, że niebieski Chrystus był czystym duchem, ideą, oderwanym od rzeczywistości ziemskiej bytem, także relikwie rzeczy najbardziej codziennych - jak mleko Maryi Panny - stawały się dla zwykłych ludzi podstawowym dowodem na to, że heretycy głosili nieprawdę.

Jak już usiłowałam wyjaśnić, nasze podejście i sposób myślenia nie jest w stanie pojąć, czym była prawda relikwii w rozumieniu dawnego świata. Ludzie średniowiecza, od profesora Sorbony do ostatniego żebraka, odbierali ją w sposób bardzo intensywny i byłoby niewłaściwe, gdybyśmy uważali to po prostu za przejaw ich głupoty. To prawda, że wiele relikwii było falsyfikatami. Znane są wypowiedzi niektórych pisarzy, jak chociażby Erazm z Rotterdamu albo Jan Kalwin, w opinii których można by było załadować do pełna cały okręt, umieszczając na nim wszystkie kawałki drzewa pochodzące z krzyża Chrystusa, znajdujące się w wielu miejscach. Niewątpliwie mieli oni rację, ale nade wszystko w odniesieniu do skandalicznych nadużyć, do jakich w ich epoce dochodziło, gdy wykorzystano relikwie, aby zbierać ofiary od pielgrzymów. Podobny pogląd wyraził w sposób bardzo dosadny także inny człowiek Kościoła, żyjący w XII wieku opat cystersów Gilbert z Nogant. Zarówno Gilbert, jak i Kalwin albo Erazm pomijali jednak istotny dla współczesnego historyka aspekt: jeśli na przykład cesarz Konstantynopola pragnął darować jakiemuś kościołowi część Prawdziwego Krzyża, to nie był to fragment znacznej wielkości, lecz pobierano z cennej relikwii bardzo niewielką jej częśćeczkę, czasem była to dosłownie drzazga. Wartość relikwii była wartością duchową i nie wazono jej na kilogramy. Liczyło się tylko to, że to drzewo zostało obmyte krwią Chrystusa. W każdej sytuacji pozostawało ono świadkiem Męki, bez względu na to, czy była to malutka drzazga czy też cała belka patibulum. Oczywiście przedmiotem modlitw wiernych nie mógł być cieniutki skrawek drzewa, którego nie sposób było dojrzeć po tym, jak zamknięto go wewnątrz relikwiarza. Dlatego też święta drzazga była umieszczana w znacznie większym kawałku drewna, przypominającym materiał, z którego pochodziła autentyczna relikwia. Drzewo okrywające świętą relikwię na mocy kontaktu samo stawało się święte, a drzazga - po umieszczeniu jej w nim - stapiała się z nim i stawała się właściwie niezauważalna. Nie było w tym jednak żadnej intencji mamienia wiernych ani ich oszukiwania. Zdecydowana większość relikwii Krzyża Świętego, które spotykamy w średniowieczu, była prawdopodobnie autentyczna w tym znaczeniu, że jej najistotniejszy fragment pochodził z pierwotnej, autentycznej relikwii, którą według tradycji znalazła święta Helena w Jerozolimie.

Badanie fenomenu, jakim są relikwie, stanowi niezwykle pasjonujący rozdział w historii kultury i może nauczyć nas wiele, o ile przeprowadzimy je z należnym szacunkiem.

Chodzi bowiem o procesy kulturalne, które współczesny historyk winien uchwycić i na tym poprzestać, bez roszczenia sobie prawa do poddawania ich wiwisekcji w świetle racjonalizmu, który jest prądem zbyt niedawnym i jednocześnie zbyt odległym, aby wykorzystywać go do wydawania sądów. W pewnym sensie zresztą także obecna epoka ma coś, co w dużym stopniu przypomina dawny głód relikwii. Jest to ciekawość wobec tak zwanego "Chrystusa historycznego", czyli wszystkie dążenia ukierunkowane na jak najbliższą rzeczywistości rekonstrukcję ludzkiej i ziemskiej postaci Jezusa z Nazaretu. Jako dziecko pozytywizmu, relatywizmu i także pewnego sceptycyzmu, który był niezwykle modny w XX wieku, kultura na początku trzeciego tysiąclecia rości sobie prawo do oderwania historycznego człowieka, wywodzącego się z Galilei poddanego Heroda Antypasa i Tyberiusza Cezara, od tajemnic związanych z Jego osobą, które powodują, że jest On punktem centralnym nowej religii. W tym celu Ewangelie są czasem "cięte na małe skrawki", rozkładane na czynniki pierwsze, a następnie składane ponownie w całkowicie inny sposób. W ten sposób uważa się, że jest możliwe dotarcie do "autentycznych słów" wypowiedzianych przez Jezusa. Nie jestem w stanie powiedzieć, czy jest to właściwe z punktu widzenia teologii; z pewnością jest to absurd z punktu widzenia metody historycznej. Jeśliby ktokolwiek biorący udział w kongresie na temat Dantego Alighieri zaproponował, aby epizod, którego bohaterami są Paolo i Francesca, przesunąć z Pieśni V Piekła do Pieśni V Raju, to zostałby publicznie i gremialnie obrzucony inwektywami. Dla historyka tego rodzaju pomysł jest nie do przyjęcia. Kojarzy się on z pomysłem nieco szalonego konserwatora dzieł sztuki, który zamierza zniszczyć rozpuszczalnikiem arcydzieło wielkiego malarza Giulio Romano, gdyż jest przekonany, że na płótnie znajduje się również rysunek jego mistrza Rafaela Santi. W każdym razie, choć czasem ujawnia się to w absurdalnych i śmiesznych formach, nowożytne pragnienie dotarcia do Jezusa historii, tak aby wręcz widzieć go visavis, przypomina chorobliwe przywiązanie, jakie cechowało człowieka średniowiecza w relacji do wszelkich pamiątek z ziemskiej pielgrzymki Jezusa.

Kierując się osobistym zamiłowaniem do relikwii i w przekonaniu, że są niezwykle skuteczną bronią przeciw wszelkim herezjom, Innocenty III skomponował hymn wysławiający chustę świętej Weroniki, słynny wizerunek oblicza Jezusa przechowywany w Rzymie. Jej tradycja była związana z tradycją mandylionu. Także chusta świętej Weroniki była acheropita, czyli cudownym wizerunkiem nieuczynionym ręką ludzką. Mówiło się, że powstał on w wyniku cudu, w momencie gdy powodowana litością kobieta zbliżyła się do Jezusa podczas Jego drogi na Golgotę, aby otrzeć Jego oblicze zalane krwią i potem. Templariusze byli świadomi, że papież ten kochał albo pragnął gromadzić relikwie Chrystusa

z racji ich znaczenia, a jego następcy nie ustępowali mu w tym. Pewne wyobrazenie o tamtych czasach może nam dać słynny przypadek cudu, jaki się dokonał w katedrze w Bolsenie w roku 1263. Niemiecki kapłan, który udawał się jako pielgrzym do Rzymu, odprawiał mszę świętą na ołtarzu świętej Krystyny, ale w swym wnętrzu (jak być może wielu kapłanów jego epoki) wątpił, że konsekrowana hostia jest rzeczywiście ciałem Chrystusa. Nagle zobaczył wypływającą z tego chleba krew, która zaplamiła korporał. Wydarzenie to oczywiście wywołało niesamowite wrażenie, a papież Urban IV zapragnął uroczystie obchodzić jego pamiątkę, ustanawiając święto Bożego Ciała.

Zakon templariuszy zawdzięczał wszystko papieżom; ponadto, jak już powiedzieliśmy, same statuty zakonne deklarowały, że biskup Rzymu jest panem i właścicielem zakonu. Gdyby rozeszła się wieść, że w posiadaniu templariuszy znajduje się tego rodzaju relikwia, to jest wysoce prawdopodobne, że panujący w danej chwili papież dałby do zrozumienia sprawującemu właśnie rządu Wielkiemu Mistrzowi, iż chciałby, aby znalazła się ona w Kurii Rzymskiej. W takiej sytuacji templariusze nie mogliby odmówić; być może właśnie dlatego zdecydowano, że lepiej jest milczeć.

Na południu Francji doszło w owym czasie do powstania tragicznego w skutkach połączenia między ideałem religijnym katarów, za którym wiele osób podążało ze szczerością, oraz opozycją polityczną wobec króla. Filip II August czynił starania o polityczne zjednoczenie terytorium swego królestwa, tak aby stworzyć silniejszą monarchię, a starania te oczywiście oznaczały, że wielcy feudałowie południa utraciliby swą autonomię. Ponadto cywilizacja na północy kraju, gdzie mówiono językiem oïl, bardzo się różniła kulturowo od cywilizacji południa. Powiązanie autonomiczny Kościół - autonomiczne rządy cieszyło się wielkim powodzeniem, wzmocnionym ponadto faktem, że hierarchowie katolickcy prowadzili często styl życia niegodny w porównaniu z surowym i przykładowym stylem życia biskupów katarskich. Pojęcie herezji rozszerzono w sposób nadmierny: krytykowanie władzy biskupa albo odmowa płacenia dziesięciny, jako brak posłuszeństwa Kościołowi katolickiemu, uważano za dowód przejścia na stronę heretyków.

Opozycję ożywiały także duch reformy obyczajów, który obdarzył ją silnym charyzmatem moralnym i popychał wiele osób w stronę kościołów katarów. Początkowo usiłowano zażegnać konflikt wyłącznie środkami natury religijnej, także dzięki żarliwej działalności kaznodziejskiej świętego Dominika Guzmána. Działania te nie były jednak w stanie zapobiec tragedii. 5 stycznia 1208 roku legat papieski Piotr z Castelnau został zamordowany z ręki poddanego hrabiego Tuluzy i zabójstwo to pozostało bez kary. Zabójca był związany z katarami, jego pan wydawał się go chronić, a cała sprawa była bardzo

podejrzana. Gdziekolwiek leżała prawda, ten rozlew krwi był iskrą, która wysadziła w powietrze całą prochownię. Filip II August wszczął prawdziwą wojnę domową, która doprowadziła do masakry tysięcy Francuzów i militarnego podboju Prowansji, a nade wszystko Langwedocji. Nazwano ją "krucjatą albigensów", ponieważ represje osiągnęły wyjątkowo tragiczny rozmiar w mieście Albi, a w celu propagandy politycznej zamierzano bezprawnie nadać tej rzezi status krucjaty. Operacja osiągnęła zamierzony cel polityczny, wcale nie wykorzeniła jednak w rejonie Midi kościoła katarów, który w tym i w innym obszarze nadal istniał jeszcze przez ponad sto lat. Według Raniero Sacconiego, który urodził się i wychował w rodzinie katarów, ale następnie nawrócił się i wstąpił do dominikanów, w roku 1251 popularność tego funkcjonującego paralelnie kościoła robiła wrażenie. Jeszcze w połowie XIII wieku był to kościół kwitnący; Wilhelm Belibaste, ostatni przywódca, o którym mamy informacje, zmarł na stosie w roku 1321.

Jest rzeczą ciekawą i z pewnością nieprzypadkową, że obszar największego szerzenia się herezji katarów jest tożsamy z obszarem, na którym spotykamy najbardziej szczegółowe świadectwa na temat znajdujących się wśród templariuszy wizerunków oblicza Chrystusa.

Między Prowansją a Langwedocją

Wiemy, że w czasie plądrowania Konstantynopola, czyli w momencie, w którym całun zaginął z cesarskich zbiorów relikwii, mały oddział templariuszy znajdował się w stolicy Bizancjum. Dowódcą tego oddziału był Jacopo Barozzi, rycerz pochodzący z jednej z bardziej znanych rodzin weneckich, który w owym czasie pełnił ważną funkcję przełożonego Świątyni w prowincji Lombardii (obejmującej większą część północnej Italii). Nie wiadomo dokładnie, jaki był cel obecności templariuszy, i jedyną rzeczą pewną jest fakt, że znajdowali się tam na wyraźny rozkaz Wielkiego Mistrza. Wiadomo, że templariusze ci nie brali udziału w plądrowaniu miasta, zresztą nie wolno im było tego czynić. Z jednej strony bowiem Innocenty III rzucił ekskomunikę na tych wszystkich, którzy splamili się napaścią na innych chrześcijan, z drugiej sama reguła templariuszy przewidywała, że każdy, kto zadał gwałt innym osobom wyznającym tę samą religię, winien zostać natychmiast i nieodwołalnie usunięty z zakonu.

Główne siły templariuszy w rzeczywistości znajdowały się już w Ziemi Świętej, przygotowane do udziału w krucjacie, a nawet zaczęły już przeprowadzać pewne operacje wojskowe, które według uzgodnionych planów miały poprzedzać ponowne zdobycie Jerozolimy. W działaniach tych chodziło o umocnienie pozycji chrześcijan w północnej Syrii. Oddział dowodzony przez preceptora Lombardii wyruszył z Wenecji wraz z wojskami krucjaty, ponieważ jest wysoce prawdopodobne, że wenecki dom templariuszy użył

znacznej pożyczki w gotówce baronom francuskim, aby mogli wreszcie wyruszyć w drogę w sytuacji, gdy długi wobec państwa weneckiego uniemożliwiały wojsku odbicie od nabrzeża. Zaraz po zdobyciu Konstantynopola nowy cesarz łaciński Baldwin de Courtenay zlecił Barozzemu przeprowadzenie dla niego niezwykle delikatnej misji dyplomatycznej. Miał on się udać do Italii, do papieża, i błagać go o zdjęcie ekskomuniki nałożonej na przywódców wyprawy krzyżowej. Przy tej okazji nowy cesarz podarował Świątyni pewną sumę w gotówce, wspaniałe wyroby złotnicze pełne cennych kamieni, a także dwa kawałki drzewa z Prawdziwego Krzyża; rzeczy drogocenne, które miały wynagrodzić zakonowi to, co wyłożył w pieniądzech we wcześniejszym okresie.

Czy to preceptor Jacopo Barozzi był tą osobą, za pośrednictwem której całun przeszedł ze zbioru bizantyjskich cesarzy do zakonu templariuszy? Wydaje się, że należy odrzucić tę hipotezę, ponieważ dostępne nam dzisiaj źródła historyczne jej nie potwierdzają. Bardziej prawdopodobne jest natomiast, że tragiczne wydarzenie grabieży - wraz z niegodziwym handlem relikwiami, który rozpętał się zaraz po zdobyciu miasta - stanowiło okazję, dzięki której templariusze zobaczyli z bliska relikwię i jej wyjątkowe przymioty. Na podstawie zachowanych do naszych czasów świadectw wiemy, że najstarsza wzmianka o obecności "Świętego Oblicza" w zakonie templariuszy wskazuje na Palestynę, na zamek templariuszy w Safed, i odnosi się do okresu starszego o kilkadziesiąt lat. W roku 1266 sułtan Bajbars zdobył zamek będący własnością templariuszy i z wielkim zdumieniem odkrył, że w głównej sali domu, gdzie odbywały się kapitule generalne braci zakonnych, znajdowała się płaskorzeźba przedstawiająca oblicze mężczyzny, którego sułtan oczywiście nie był w stanie rozpoznać.

Mniej więcej w tych samych latach tego rodzaju wizerunki pojawiły się w domach na południu Francji, szczególnie w Prowansji; z jakiegoś szczególnego powodu kult ten pojawił się na tym obszarze najwcześniej i rozwijał się lepiej niż gdzie indziej. W następnych dziesięcioleciach doszło do prawdziwej "eksplozji" kopii tego wizerunku, która spowodowała, że w ostatniej ćwiartce XIII wieku pojawiły się one właściwie we wszystkich krajach, w których znajdowała się prowincja Świątyni.

W Paryżu obecność "bożka" poświadczona jest regularnie od roku 1298 do 1307, czyli podczas ostatniej kapitule generalnej, którą templariusze mogli przeprowadzić na kilka miesięcy przed ich aresztowaniem. Wydaje się, że także na Cyprze wizerunki "bożka" pojawiły się stosunkowo późno.

Prawdopodobnie powodem, dla którego Prowansja była punktem wyjścia szerzenia się kultu, było jej usytuowanie strategiczne - Marsylia była bowiem głównym portem

zaokrętownia się w kierunku Outremer (Zamorza); być może jednak były inne racje, pozostające w związku z określonymi osobami: pogłoska krążąca w zakonie mówiła, że akty niegodne rytuału praktykowanego w zakonie (errores) zostały wprowadzone w czasie, w którym Tomasz Berard był Wielkim Mistrzem, a Roncelin z Fos preceptorem Prowansji.

Mistrzowie tej prowincji wydawali się pełnić uprzywilejowaną rolę w rozpowszechnianiu tego kultu. Posiadamy bowiem przynajmniej 19 zeznań, które bez przerwy wiążą tajemniczy wizerunek z preceptorami Prowansji i ich zastępcami w drugiej połowie XIII wieku. Byli to: Roncelin z Fos, Pons z Brozet, Guy Audemar i Bernard z La Roche.

Źródła przypisują wprowadzenie kultu właśnie Roncelinowi z Fos i wymieniają datę bardzo znamiennej. Jest rok 1266, a więc rok, w którym templariusze utracili zamek w Safed, a sułtan znalazł tam osobliwy wizerunek oblicza wyrzeźbiony w sali kapitulnej. Nietrudno sobie wyobrazić, że w tej samej sali przechowywano wcześniej także inny wizerunek tego samego oblicza, który przetransportowano na Zachód w momencie, gdy zamek dostał się w ręce muzułmanów.

Na temat Roncelina z Fos posiadamy w chwili obecnej jedynie kilka informacji. Opierając się na cennej pracy Anne Marie BulstThiele poświęconej Wielkim Mistrzom Świątyni, dowiadujemy się, że Roncelin z Fos miał w zakonie długą karierę, pokrywającą się z okresem, w którym Tomasz Berard został Wielkim Mistrzem. W latach 1252-1255 i 1262-1266 Roncelin piastował stanowisko Mistrza Anglii, do którego w okresach 1248-1250, 1254-1256, 1260-1278 dochodziła funkcja Mistrza Prowansji. Niewykluczone jednak, że człowiek ten posiadał w Świątyni władzę daleko większą niż tą, jaką zapewniały mu piastowane stanowiska. W dokumencie z 1252 roku wraz ze swym krewnym Galfrydem z Fos figuruje jako członek prywatnego towarzystwa Wielkiego Mistrza Tomasza Berarda, czyli grupy tych niewielu dostojników, których przywódca wybierał jako swych zaufanych współpracowników.

Towarzysze Wielkiego Mistrza Świątyni musieli być szlachcicami; asystowali mu we wszystkich najbardziej delikatnych sytuacjach, a w niektórych ważnych sprawach - jak na przykład pożyczanie pieniędzy ze strony zakonu - Wielki Mistrz nie mógł podjąć wiążącej decyzji bez ich aprobaty. Ogólnie rzecz biorąc, regulacja prawna określa te osoby jako grupę ludzi należących stale do najbliższego otoczenia Wielkiego Mistrza, osoby tak ściśle z nim związane, że w pewnych przypadkach jest wręcz nieodzowne, aby określić, jakiego rodzaju honory i przywileje należały do wyłącznych prerogatyw Wielkiego Mistrza templariuszy, których nie mógł on dzielić ze swymi towarzyszami. Przynależność do wąskiego grona

towarzyszy Wielkiego Mistrza oraz niewzruszone zaufanie z jego strony, jakie zakłada ten zaszczyt, dały z pewnością Roncelinowi z Fos okazję do udziału w rozstrzygnięciu spraw najbardziej zastrzeżonych. O ile wiadomo, de Fos był pierwszą z osób, która szerzyła na Zachodzie szczególny kult oblicza, które znajduje się na całunie. Jako zaufany Wielkiego Mistrza znalazł z pewnością wiele informacji, które były niedostępne dla reszty współbraci. W podsumowaniu swego oskarżenia Filip Piękny wyszczególnił, że wiedza o tajemniczym "bożku" była czymś bardzo elitarnym, dostępnym tylko gronu najważniejszych dostojników zakonnych. Po odrzuceniu całej otoczki powstałej pod wpływem konieczności podtrzymania oskarżenia zauważymy, że u podstaw tego stwierdzenia leży szczypta prawdy.

W oparciu o źródła wydaje się, że przynajmniej w pierwszych latach kult nie wykroczył poza terytorium prowansalskiej prowincji templariuszy. Wzmianka o sporadycznym pojawieniu się w innym miejscu, a konkretnie w Paryżu, przypada na rok 1270, a w roku 1271 wiadomo o występowaniu wizerunku na pieczęciach preceptorów niemieckich. Nieustanną obecność tego rodzaju wizerunków możemy jednak stwierdzić na podstawie świadectw na obszarze podporządkowanym władzy Roncelina z Fos. Trzy świadectwa dotyczące bezpośrednio de Fosa obejmują bardzo długi okres i prawdopodobnie sięgają aż do ostatnich dni jego życia. Jego następcą Pons z Brozet "odziedziczył" po nim kult i nakazał przekazywanie go niektórym współbraciom, w tym także dwóm ostatnim templariuszom, którzy byli wyznaczeni do pełnienia tej misji. Jeżeli chodzi o miejsce przechowywania wizerunku, to nie ma dowodów na to, że było to zawsze ściśle określone miejsce; przeciwnie - niektóre świadectwa wskazują, że nie powierzano go domom zakonnych, ale raczej określonym osobom. Jedną z tych osób jest właśnie przełożony prowansalski Pons z Brozet.

Ważny ślad pojawia się w pierwszym świadectwie, które wspomina o głównym domu Świątyni w Paryżu. Jak już powiedziano, sierżant, który widział na własne oczy "podobiznę", wyraził zdziwienie, że po swojej ceremonii wstąpienia nie oglądał jej nigdy więcej. Biorąc pod uwagę, że jego wstąpienie do zakonu miało miejsce wiele lat wcześniej (1270) oraz uwzględniając fakt, że obecność "podobizny" w Paryżu jest w nieprzerwany sposób poświadczona wyłącznie od roku 1298 do 1307, wydaje się, że wystawienie na widok publiczny zależało nie tyle od domu, ile od osoby tego, kto przewodniczył ceremonii wstąpienia. Być może opierało się to przede wszystkim na zaufaniu pokładanym w osobach o moralności bez skazy.

Podobizna ta była pokazywana braciom przede wszystkim na początku ich życia w Świątyni, podczas ceremonii, w ramach której stawali się częścią zakonu. Wyglądało to tak,

jakby przełożeni zakonnicy pragnęli, aby wielki patron zakonu wziął natychmiast nowego templariusza pod swą najwyższą opiekę, a następnie nadal zawsze go strzegł mocą sznura poświęconego przez kontakt z nim.

Amalryk z La Roche

Ostatnia osoba, u której można zauważyć szczególny związek z tajemniczą „podobizną”, jest osobistością pierwszego planu w Świątyni w połowie XIII wieku. Pod pewnymi względami, przynajmniej na płaszczyźnie międzynarodowej, miał on może nawet większe wpływy niż sam Wielki Mistrz. Amalryk z La Roche należał do znaczącej rodziny szlachty francuskiej, która dała już Świątyni preceptora Francji w pierwszej połowie XIII wieku. Był starszy o jedno pokolenie od dostojników zakonu templariuszy, którym wytoczono proces za panowania Filipa Pięknego; w roku 1261 dostąpił w zakonie wielkiego zaszczytu - został komandorem Outremer (Zamorza), czyli komendantem całego rejonu wschodniego. Był to trzeci stopień w hierarchii w Świątyni, na mocy którego kontrasygnował dokumenty wydane przez Wielkiego Mistrza. W roku następnym nadal piastował to stanowisko, ale łączył je z inną funkcją, bardziej delikatną i ważną. Podobnie jak Roncelin z Fos dokładnie dziesięć lat wcześniej, w dokumencie urzędowym z roku 1262 Amalryk z La Roche pojawia się jako *compaignon* Wielkiego Mistrza Tomasza Berarda.

W roku 1264 Wielki Mistrz wezwał go do Francji, oświadczając mu jednoznacznie, że sytuacja na Zachodzie wymaga jego obecności. W następnym roku monarcha francuski rozpoczął małą wojnę dyplomatyczną, ponieważ uważał, że Amalryk jest człowiekiem bardzo wartościowym, i nie chciał w żaden sposób pogodzić się z tym, że mógłby nie być jego sprzymierzeńcem. Na mocy papieskiego pozwolenia zakon Świątyni zawsze cieszył się swobodą wyboru swych przełożonych na podstawie autonomicznego głosowania, wolnego od różnego rodzaju nacisków zewnętrznych. Statuty templariuszy przewidywały w tym względzie tylko jeden wyjątek. Była to sytuacja, gdy papież w warunkach najwyższej konieczności ingerował w wybór, dając odczuć swą wolę. Ludwik IX wykorzystał ten wyjątek i nalegał bardzo u papieża Urbana IV, aby poparł kandydaturę Amalryka z La Roche na preceptora Francji, stanowiska, które z wielu względów wymagało współpracy z monarchią. Papież musiał się natrudzić, aby narzucić swą wolę zgromadzeniu Świątyni, która ingerencję króla francuskiego uważała za nieodpowiednią. Monarcha jednak nie poddawał się, nadal nalegał, wychwalając osobę Amalryka i podkreślając, jak bardzo ten człowiek jest mu bliski z uwagi na przyjaźń starej daty. Papież nie chciał odmówić komuś takiemu jak Ludwik IX, uważany za sprawiedliwego króla, wiernego małżonka, człowieka wyróżniającego się pobożnością, która była przykładem dla innych. Z pewnością nie było

łatwo powiedzieć mu "nie". Ponadto znając mądrość króla, można było być przekonanym, że wybór Amalryka będzie bardzo odpowiednim krokiem. W końcu Urban IV wpadł na pomysł, aby prosić o pomoc patriarchę Jerozolimy, autorytet religijny i moralny, z którym templariusze pozostawali w bardzo dobrych relacjach. Wielki Mistrz Tomasz Berard prawdopodobnie nie chciał pozbyć się tego współbrata, jako że potrzebował go na Bliskim Wschodzie. W praktyce jednak największe potęgi społeczności chrześcijańskiej owego okresu sprzymierzyły się i naciskały na to, aby Amalryk z La Roche został preceptorem Francji. W tej sytuacji Wielki Mistrz musiał ustąpić. W późniejszym okresie sytuacja powtórzyła się. Następca Urbana IV, Klemens IV, dwukrotnie wywierał naciski na Wielkiego Mistrza, aby oddał Amalryka do dyspozycji Karola Andegaweńskiego, powierzając mu zarządzanie domami templariuszy w królestwie Neapolu.

Pomimo faktu, że od tego momentu jego zakres działania oficjalnie dotyczył terytoriów w Europie Zachodniej, Amalryk z La Roche prawdopodobnie odgrywał w Świątyni rolę zdecydowanie wykraczającą poza sprawowaną funkcję, dzięki zaufaniu, jakim go darzył Ludwik IX. Źródła pokazują, że osobiście zajmował się sprawami wschodnimi, przede wszystkim nową krucjatą, która była obsesją monarchy. W roku 1267 patriarcha Jerozolimy zwrócił się do niego, a nie do Wielkiego Mistrza, aby skarżyć się na udręki chrześcijan w Palestynie, znajdujących się w potrzasku pod wpływem działań sultana Egiptu, i prosić go o interwencję u papieża, króla Ludwika oraz Karola Andegaweńskiego, której celem byłoby uzyskanie szybkiej reakcji na tę sytuację. Amalryk towarzyszył monarsze francuskiemu w jego ostatniej krucjacie i brał udział w oblężeniu Tunisu. Prawdopodobnie śmierć króla w roku 1270 zastopowała jego karierę w Świątyni, ponieważ ostatnie świadectwo, które mówi o nim jako o osobie żyjącej, a konkretnie wzmianka o ceremonii przyjęcia do zakonu, której przewodniczył w Paryżu w roku 1287, tytułuje go nadal Mistrzem Francji. Życie tego człowieka krzyżuje się z historią całunu, tak jak została ona zrekonstruowana do tej pory. Cieszył się całkowitym zaufaniem Ludwika IX, który stworzył prawdziwy system "wychwytywania" relikwii, w wyniku którego dotarły do Francji najważniejsze relikwie Chrystusa, które pozostały w Konstantynopolu. Król zlecił również budowę miejsca ich przechowywania, prawdziwej perły architektury, jakim jest paryska Sainte-Chapelle. Prawdziwy Krzyż, Włócznia, Gąbka służąca do tego, aby napoić Chrystusa na krzyżu i inne przedmioty nieocenionej wartości przetransportowano uroczyście do Francji. Temu przeniesieniu relikwii starano się nadać wszystkie cechy działań zgodnych z prawem, sporządzając stosowne dokumenty. W świetle sprawowanych funkcji nie budzi wątpliwości to, że Amalryk był pomocny Ludwikowi IX w kilku niezwykle ważnych sprawach.

Nadzorował badanie relikwii, aby mieć pewność, że zostaną wysłane autentyczne pamiątki, oraz troszczył się o zapewnienie środków bezpieczeństwa na czas transportu.

Opierając się na źródłach dotyczących procesu przeciw templariuszom, nie jesteśmy w stanie ustalić dokładnie, kim byli rodzice tego ważnego dostojnika zakonu templariuszy. Tym samym musimy zadowolić się wiedzą, na podstawie której możemy stwierdzić, że należał on do rodu La Roche, rodziny szlacheckiej, która brała udział w czwartej wyprawie krzyżowej i stworzyła znajdujące się pod jej władaniem księstwo feudalne z siedzibą w Atenach. Właśnie w Atenach, według dokumentu z 1205 roku, który zachował się do naszych czasów dzięki kopii wykonanej na polecenie arcybiskupa Monreale Benedetto d'Acquisto, szlachetnie urodzony Otton z La Roche zdecydował się przechowywać najcenniejszy przedmiot ze swego łupu, jaki otrzymał po splądrowaniu Konstantynopola, czyli całun Jezusa Chrystusa. Dokument jest listem napisanym do papieża Innocentego III przez Teodora Angelosa, brata Michała, władcy Epiru, członka rodziny cesarzy bizantyjskich na wygnaniu, który prosił papieża przynajmniej o zwrot najbardziej świętych przedmiotów.

Forma dyplomatyczna listu wydaje się autentyczna; jest to tłumaczenie na język łaciński z oryginału napisanego po grecku. Cesarska kancelaria bizantyjska sporządzała dokumenty w języku greckim, ale równocześnie dołączała do nich tłumaczenie tekstu na łacinę i prawdopodobnie nieznany pisarz skopiował tylko to dołączone do oryginału tłumaczenie. Aż po dziś dzień nie znaleźli się znawcy przedmiotu, którzy podaliby w wątpliwość autentyczność tego dokumentu. Jest on podobny do innych dokumentów bizantyjskich tego okresu, przynajmniej sądząc na podstawie użytych w nim formuł, na przykład nazywania papieża rzymskiego "papieżem starożytnego Rzymu" albo stosowania schematu formuł grzecznościowych zwanych przez specjalistów *illiillesl*. W tej sytuacji chciałabym wskazać na pewien interesujący fakt, który mógłby pozostawać w związku z obecnością całunu w rejonie Aten. Ze skrupulatnych badań przeprowadzonych przez Raymonda Janina na temat kościołów cesarstwa Konstantynopola wynika, że niedaleko Dafni, na starożytnej, świętej drodze, która swego czasu wiodła pielgrzymów ku słynnej świątyni boga Apollina, znajdowało się opactwo pod wezwaniem Matki Bożej. W liście z roku 1209 papież Innocenty III osobliwie nazywa tę świątynię kościołem Blacherne, czyli używa dokładnie tej samej nazwy, jaką miała słynna bazylika w Konstantynopolu, w której uczestnik wyprawy krzyżowej Robert z Clari widział przed grabieżą miasta wystawiony całun. W opactwie zamieszkali cystersi wywodzący się z francuskiego klasztoru w Bellevaux, który był związany z rodziną La Roche. Janin, który szczegółowo przeanalizował historie bardzo wielu bizantyjskich fundacji religijnych, nie był w stanie odpowiedzieć na pytanie,

skąd pochodziła ta nowa nazwa Blacherne, która w żaden sposób nie miała nic wspólnego z historią tego klasztoru i pojawiała się z niczego dopiero tuż po wielkiej grabieży. Nie byłoby wielkim zaskoczeniem, gdyby okazało się, że kościołowi w Dafni nadano tę nazwę właśnie ze względu na ów rzadki przedmiot, który przyszło mu gościć w swych murach, a który w pewnym sensie uczynił z niego nową bazylikę z Blacherne.

Ostatni książę Aten z rodu La Roche, który także nosił imię Otton, umarł 5 października 1308 roku, nie pozostawiając po sobie dziedzica, i został pochowany w klasztorze w Dafni. Jest pewne, że w tym okresie całun nie był już od dawna w posiadaniu jego rodziny.

W roku 1261 cesarstwo łacińskie Konstantynopola upadło, a cesarze greccy odzyskali tron. W konsekwencji musiało dojść także do pewnej reorganizacji systemu państw feudalnych. W tych latach, dokładnie od roku 1260 do 1265, Amalryk był dowódcą Świątyni na całym Bliskim Wschodzie, a więc posiadał wielką władzę na płaszczyźnie wojskowej, politycznej i ekonomicznej. Sobór Laterański IV pod karą ekskomuniki zakazał handlu relikwiami, w związku z czym całun nie mógł zostać sprzedany. Po grabieży Konstantynopola wysłano do Europy wiele cennych relikwiarzy zawierających bardzo małe fragmenty całunu Chrystusa i nawet król francuski Ludwik IX postarał się o jeden z nich dla swego skarbcza w SainteChapelle. Mimo że były to tylko małe fragmenty, to jednak chodziło o przedmioty, które budziły pobożność i ciekawość ludzką. Możemy więc sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby rozeszła się wieść o istnieniu całego płótna, jednej ze słynniejszych i bardziej czczonych relikwii całej cywilizacji chrześcijańskiej. Aby uniknąć ekskomuniki, należało ominąć przeszkodę, uciekając się do dobrowolnego odstąpienia albo zawołanego nabycia, ale i tak było nieodzowne, aby przejście własności nastąpiło w sposób możliwie jak najbardziej dyskretny. Nie byłoby więc niczym zdumiewającym, gdyby zakon Świątyni, który o wiele bardziej niż inni pożywał relikwii Chrystusa, wyszedł z inicjatywą wobec znajdującego się w trudnościach rodu La Roche za pośrednictwem ich krewnego i zaproponował mu bajorńską sumę za przyjęcie w zastaw tego przedmiotu. Była to suma, której La Roche nie byłoby nigdy w stanie zwrócić.

Templariusze nigdy nie wystawili publicznie całunu dla wiernych i nie otrzymali za to datków; nie wykorzystywali go, aby ciągnąć zyski z odpustów, co więcej - ukryli go przed większą częścią własnych współbraci. Dlaczego więc chcieli zatrzymać ten osobliwy przedmiot?

Nowy Grób

Jak już wyjaśniałam wcześniej, zestaw informacji, które posiadamy, skłania do przypuszczeń, że templariusze mogli nadać ich sznurom nowe znaczenie duchowe w momencie, gdy zakon zetknął się z całunem i odkrył jego wyjątkowe właściwości, a szczególnie wstrząsający "pas krwi". Sznury, które nosili wszyscy członkowie zakonu, poświęcane w przeszłości dzięki zetknięciu ich z kamieniem Grobu Świętego, obecnie po utracie Jerozolimy były poświęcane właśnie dzięki wejściu w kontakt z całunem. Całun stawał się w pewnym sensie "nowym Grobem", ale w porównaniu z grobem znajdującym się we wspaniałej bazylice Zmartwychwstania miał o wiele bardziej przemawiającą siłę sugestii. Tej sile, w szczególnie trudnym w historii zakonu momencie, templariusze przypisywali ogromne znaczenie.

Między rokiem 1198 a 1202, kiedy możni władcy francuscy zajmowali się przygotowaniem nowej wyprawy krzyżowej, Innocenty III podejmował szeroko zakrojoną reformę mającą na celu nowe określenie przeznaczenia templariuszy i szpitalników, w sytuacji gdy po dramatycznej klęsce pod Hattinem, zadanej im przez Saladyna, oba zakony były powalone na kolana zarówno z powodu strat ludzkich i materialnych, jak i z powodu olbrzymiej szkody dla ich wizerunku w społeczności zachodniej, uważającej ich za ostoję chrześcijaństwa w Ziemi Świętej. Celem papieża było ułatwienie wstępowania do obu zakonów, aby zachęcić do podjęcia tej decyzji rycerzy świeckich i w ten sposób powiększyć szeregi Świątyni i Szpitala. Pierwszym krokiem było poszerzenie pewnych przywilejów, których w rzeczywistości udzielił już Innocenty II w roku 1139. Szczególnie chodziło o przywilej grzebania w kościołach templariuszy tych zmarłych, którzy wyrażali życzenie, aby to było miejsce ich pochówku. Następnie przyznano im prawo do przyjmowania do Świątyni także osób obłożonych ekskomuniką. Był to krok niezwykle śmiały, który był całkowicie sprzeczny z wolą wyrażoną swego czasu przez Bernarda z Clairvaux. Bernard walczył długo o to, aby zatrzymać szerzenie się herezji katarów na południu Francji i jego działalność kaznodziejska zaowocowała wieloma nawróceniami, które jednak nie miały trwałego charakteru. Pracując nad redakcją tekstu reguły templariuszy, opat z Clairvaux był bardzo surowy: zakazywał surowo wstępowania do Świątyni osobom ekskomunikowanym, a templariusze nie mieli nawet prawa przyjmowania ofiar od tych osób, które były wyłączone ze wspólnoty Kościoła katolickiego.

W roku 1206 uchylono ten przepis i Świątynia otworzyła swe podwoje także dla tych rycerzy, którzy stanowili pewną rezerwę niewykorzystanej energii, ponieważ znajdowali się poza społecznością chrześcijańską. Innocenty III uznał, że wymóg chwili uzasadniał tego rodzaju odstępstwo od przepisów ustalonych przez świętego Bernarda i że w gruncie rzeczy

można było pójść za tym samym rozumowaniem, które zastosował swego czasu papież Urban II, gdy w roku 1095 obwieścił pierwszą wyprawę krzyżową. W wielu krajach Europy obłożeni ekskomuniką rycerze żyli na marginesie społeczeństwa, zarabiali na życie, zaciągając się jako najemnicy na służbę jakiegoś możnowładcy, który werbował ich celem organizowania najazdów na terytorium swych wrogów. Często byli oni zwykłymi bandytami, którzy urządzali krwawe napady, łupiąc ludność wiejską i kościoły. Udzielenie im rozgrzeszenia, w sytuacji gdy staliby się braćmi w zakonie templariuszy i szpitalników, oznaczało danie im drugiej szansy. W ten sposób mieliby możliwość ocalenia własnej duszy, służąc Bogu i strzegąc Jerozolimy, a ponadto staliby się istotnym zasobem sił dla wojska chrześcijańskiego. To zdarzenie jest typowym przykładem reformy dokonanej pod wpływem najlepszych intencji, która jednak w ostatecznym rozrachunku wyrządziła wielką szkodę. Innocenty III miał wszelkie prawa do tego, aby dokonać zmian w prawodawstwie templariuszy; jeden z przepisów ich statutów powiadał bowiem, że papież jest zarządcą zakonu i jego panem po Jezusie Chrystusie. W rzeczywistości papież nie wtrącał się nigdy w sprawy zakonne i wspomniana przed chwilą ingerencja, mająca na celu mianowanie Amalryka z La Roche na stanowisko preceptora Francji, była prawdopodobnie jedynym znaczącym przejawem tego rodzaju działania. Z drugiej strony, sądząc z tonu listu papieskiego, wydaje się, że to sami templariusze sugerowali papieżowi tego rodzaju reformę. Krok ten dopełnił się wraz z promulgacją kolejnego listu apostolskiego, który potwierdzał, że przywileje rycerzy skłonnych do zostania templariuszami zostają pośrednio przeniesione na całą rodzinę. W roku 1213 Innocenty III będzie musiał zaliczyć się na bardzo szeroką interpretację intencji papieskich, jest jednak faktem, że skłaniały ku temu sformułowania użyte w jego liście.

Do pewnego stopnia Świątynia stała się rodzajem bezpiecznego portu, uprzywilejowaną drogą wiodącą ku zbawieniu, ale także użyteczną, aby znaleźć w niej schronienie przed prześladowaniami. Biorąc pod uwagę zasięg herezji katarów na południu Francji oraz uwzględniając atmosferę, jaka wytworzyła się w latach krucjaty przeciw albigensom, jest rzeczą naturalną, że wiele rodzin powiązanych ze wspólnotami katarów podchwyciło błyskawicznie sposobność tej amnestii, aby znaleźć schronienie przed Inkwizycją, ale także przed ludźmi z północy, którzy wykorzystywali konflikt teologiczny, aby uderzyć w nie na płaszczyźnie politycznej. Wiele fragmentów dawnych źródeł pokazuje, że atmosfera ta właściwie uniemożliwiała normalne życie i dochodziło do sytuacji absurdalnych. Przykładowo wielkim ryzykiem było wzywanie Ducha Świętego, ponieważ wiadomo było, że katarzy uznawali tylko jeden rodzaj sakramentu - przekazanie Ducha

Świętego, które następowało przez nałożenie rąk na wiernego. W Ewangeliach Jezus wielokrotnie mówił o mocy Ducha i Jego roli uświęcającej dla chrześcijan, w owych czasach jednak unikano nawet wymawiania Jego imienia, tak jakby Duch Święty w ogóle nie istniał. Także w sytuacjach najbardziej osobistych znajdował się zawsze ktoś, kto się przysłuchiwał, wyciągał wnioski, a potem szedł złożyć doniesienie. Żonę rycerza z Cestayrols niedaleko Albi uznano za podejrzaną, ponieważ cierpiąc pod wpływem bólów porodowych, wykrzyknęła „Duchu Święty Boży, pomóż mi!”. W roku 1254 mieszkaniec gminy Montgey w regionie Tarn, złożony ciężką chorobą, wzywał Ducha Świętego błagając o uzdrowienie, ale jego brat nakazał mu milczenie, ponieważ lękał się, że słowa te przyciągną uwagę inkwizytorów.

Aktualnie nie jesteśmy w stanie przedstawić dokładnych danych na ten temat, jednak jest wielce prawdopodobne, że niektórzy synowie z arystokratycznych rodzin powiązanych z katarami zostali templariuszami i w ten sposób rozciągnęli nad ich krewnymi parasol ochronny Stolicy Apostolskiej. Jest równie prawdopodobne, że nie wszyscy zmienili swe poglądy religijne, ponieważ wstąpili oni do Świątyni, aby ratować siebie i swe rodziny. Mało ortodoksyjne zachowania i wypowiedzi ze strony niektórych dostojników zakonu templariuszy przypuszczalnie mogły wywoływać skandal wśród osób świeckich i szkodziły wizerunkowi zakonu, który i tak już był nie najlepszy na skutek zawiści żywionej do niego przez wielu na skutek licznych przywilejów, jakimi cieszyli się templariusze.

W dossier, na podstawie którego Filip Piękny uzasadniał areszt templariuszy we Francji, było też oskarżenie, że kapłani zakonni nie konsekrowali hostii w czasie sprawowanych przez nich mszy. Oskarżenie to jest absurdalne, jeśli odniesiemy je do całego zakonu, ponieważ wielu zwykłych ludzi chodziło na msze do kościołów Świątyni i tego rodzaju osobliwość w sprawowaniu liturgii zostałaby z pewnością szybko zauważona. Jest jednak możliwe, że szpiedzy nasłani przez Nogareta zauważyli w jakimś nieokreślonym miejscu sporadyczne praktyki tego rodzaju, odosobnione i rzadko pojawiające się pogłoski, które były jednak cenną pożywką dla celów oskarżenia.

Katarzy w istocie nie sprawowali Eucharystii, ponieważ według ich doktryny ciało Chrystusa nie miało w sobie nic istotnego, było po prostu rodzajem zwykłej powłoki. Nigdy też nie dokonała się naprawdę rzeczywista ofiara Chrystusa, którą należałoby odnawiać albo przypominać o niej, sprawując ten sakrament. Chrystus, niebieski posłaniec Boga, według nich nie mógł umrzeć, ponieważ Jego natury nie tworzyła nędzna, bezużyteczna i podlegająca śmierci nicość, jaka jest właściwa ludziom. Jeżeli już coś takiego nastąpiło, to śmierć spotkała tę fizyczną powłokę, w której ulokował się Jezus i która dla katarów nie miała żadnego

znaczenia. Rzeczywiście w czasie procesu pojawiło się kilka zeznań, które mogłyby sugerować ten kierunek przypuszczeń: podczas ceremonii wstąpienia pewien preceptor powiedział na przykład do nowego templariusza, że Bóg nigdy nie umarł. Prawdopodobnie są to fragmenty krążących plotek, które skłoniły orientalistę HammeraPurgstalla do napisania książek w stylu *Mysteńum Baphometis revelatum*. Po zapoznaniu się z nielicznymi źródłami procesu, jakie były wówczas dostępne, wychwytał on pewne powiązania istniejące między oskarżeniami wysuniętymi przeciw templariuszom a tymi zarzutami, które odnosiły się do katarów. Moda właściwa kulturze epoki, w której żył, niemożliwość obiektywnego osądu z powodu uwzględniania w pracy celów postawionych mu przez Metternicha, a także bardzo ryzykowna metoda badawcza zmusiły go do puszczenia wodzy fantazji. W ten sposób wyobraził sobie, że właściwie wszyscy członkowie zakonu Świątyni wyrzekli się katolicyzmu, dokonując w ukryciu ożywienia tajemniczych rytuałów, wywodzących się z pradawnych czasów.

Dzisiaj całościowy obraz wszystkich źródeł procesu pozwala nam twierdzić, że było to zjawisko bardzo niewielkich rozmiarów i ograniczone wyłącznie do obszaru południa Francji, gdzie wystąpienia przeciw herezji były bardziej gwałtowne i w których nade wszystko dochodził silnie do głosu podtekst polityczny. Templariusze Italii, Hiszpanii, Niemiec, Szkocji i Anglii, krajów słowiańskich, SyriiPalestyny i Armenii - na ile nam wiadomo - byli wolni od tego rodzaju zjawiska. Na południu Francji można natomiast mówić o krótkotrwałym i bardzo ograniczonym szerzeniu się heterodoksyjnych poglądów na temat Chrystusa, które pozostawały w ścisłym związku z tym okresem historii oraz z amnestią zainicjowaną przez Innocentego III. Było to zjawisko o rozmiarach mało znaczących, drobnitka iskra, która jednak w przyszłości posłuży Wilhelmowi z Nogaret do wywołania pożaru.

Tomasz i rana

Jest interesujące, że obszar, który znajdował się pod najsilniejszym wpływem oddziaływania herezji, jest równocześnie tym, gdzie kult całunu Chrystusa był najbardziej zadomowiony w Świątyni. Jeżeli templariusze rzeczywiście mieli możliwość strzeżenia tego cennego przedmiotu, to jest ewidentne, że chcieli zatrzymać go z tych samych powodów, które skłoniły Konstantyna VII do uczynienia z niego najbardziej czczonej relikwii Konstantynopola. Całun był bronią o niesamowitej mocy w walce przeciw szerzeniu się heretyckich idei, odtrutką zdecydowanie bardziej skuteczną od kazań kaznodziejów, a nawet od stosów Inkwizycji. Dla człowieka średniowiecza, często analfabety, ale równocześnie posiadacza intuicji, której dzisiaj zupełnie nie rozumiemy, najważniejsze nie były uczone,

drobiazgowe wywody. Katarzy mówili, że Chrystus nie miał prawdziwego ciała ludzkiego ani prawdziwej krwi; po całkowitym rozłożeniu płótno całunu pozwalało zobaczyć odbicie skatowanego w czasie Męki ciała dokładnie tak, jak opisują to Ewangelie. I nade wszystko widać było krew, wielką ilość krwi widocznej wszędzie. W okolicach przebitego boku strumień krwi był poruszającej wielkości i umysł nie mógł uczynić nic innego, jak przywołać na myśl słowa Ewangelii. Podczas Ostatniej Wieczery Jezus powiedział: "To jest moja krew Przymierza, która za wielu będzie wylana na odpuszczenie grzechów".

Ta wylana krew znajdowała się tam nadal, wsiąknięta w lniane płótno całunu. Można ją było zobaczyć, dotknąć, całować. Było to najlepsze lekarstwo na wszystkie herezje. Dwa wieki później Marcin Luter napisał: "jedynie krzyż jest naszą teologią". Jest to zdanie odległe w czasie, ale oddaje znakomicie sens tego, czym całun był dla templariuszy. Zeznanie złożone podczas przesłuchania przed papieżem w Poitiers wydaje się wskazywać na tę właśnie dynamikę. Brat Pons z Brozet, preceptor Prowansji, w roku 1288 przyjmuje do Świątyni młodego nowicjusza i po zakończeniu obrzędów wstąpienia do zakonu pokazuje mu najpierw oblicze znajdujące się na ołtarzu, a następnie krzyż. Następnie mówi mu, że nie powinien wierzyć w krzyż, lecz w to oblicze, ponieważ Bóg nigdy nie umarł. Wreszcie nakazuje mu oddać cześć obliczu i ucałować je "tak, jak całuje się relikwie". Pons z Brozet jest jednym z tych dostojników zakonnych, którzy sprawowali osobistą pieczę nad całunem. Gdy wyobrazimy sobie tę scenę, to ukaże się naszym oczom całun w szkatulerelikwiarzu, który pozwalał zobaczyć tylko oblicze, i wtedy wszystko nabiera sensu. Jest to cudowny wizerunek, który poświadcza, że Jezus nie pozostał w grobie dłużej niż trzy dni; wizerunek, który nosi na sobie odcisnięty znak Jonasza, objawia Zmartwychwstanie. Heretycy głosili, że człowiek Jezus umarł, że to było naturalne przeznaczenie człowieka i że ciało nie mogło powstać z martwych. Templariuszowi nie wolno jednak nigdy dawać posłuchu tym fałszywym, odmiennym naukom; nie wolno mu nigdy wierzyć, że wszystko skończyło się wraz z ukrzyżowaniem. Krzyż był tylko początkiem; ta podobizna, ten tajemniczy wizerunek, który nosi na sobie znaki Zmartwychwstania, jest tego dowodem.

Jest jeszcze inny ważny fakt, który należy wziąć pod uwagę. Ślady krwi pozostające na całunie uwidaczniają się w postaci silnych wycieków; wiele z nich (szczególnie na twarzy, w miejscu ran pochodzących od gwoździ oraz na boku) jest wynikiem pęknięcia żył, które spowodowało bardzo obfity wypływ krwi. Dzisiaj jednak nie ma już wielkich skrzepów, które kiedyś znajdowały się na lnianym płótnie, tak jakby materiał pod wpływem nieznanym nam wydarzeń stracił większą część tej zakrzepłej i zaschłej krwi, która u początku tworzyła skupiska odcinające się od tła płótna, podobne do wielkich strupów na wielu ranach. W

Konstantynopolu, w ponad tysiącu kościołów stolicy, znajdowały się relikwiarze, o których mówiło się, że zawierają cząstkę Świętej Krwi Jezusa. Wiele z nich zostało przywiezionych do Europy przez krzyżowców po grabieży miasta z 1204 roku. To pojawienie się relikwii Krwi Chrystusowej, które oddziaływało niezwykle na wyobraźnię człowieka średniowiecza, ponieważ było ściśle powiązane z misterium Eucharystii, mogło prawdopodobnie mieć wpływ na przekształcenie legendy o świętym Graalu. W najstarszych wersjach tej legendy był on tylko cudowną misą, opisywaną w niektórych podaniach celtyckich, natomiast właśnie w latach bezpośrednio po czwartej krucjacie zaczyna być opiewany jako Kielich Ostatniej Wieczerzy albo kielich, do którego Józef z Arymatei zebrał krew, która wypłynęła z przebitego boku Jezusa ukrzyżowanego. Tak czy inaczej te relikwiarze Krwi Chrystusowej były niewielkimi ampułkami wykonanymi z kryształu albo kryształu górskiego, które zawierały minimalną ilość wyschniętej krwi. Uwzględniając fakt ich bizantyjskiego pochodzenia, wszystko skłania do przypuszczeń, że ta wyschnięta krew została zeszkobana właśnie ze skrzepów obecnych swego czasu na całunie. W tym to znaczeniu relikwie te rzeczywiście były prawdziwe, ponieważ zawierały krew pochodzącą z przedmiotu uważanego za autentyczny całun Chrystusa i były poświadczone autorytetem cesarza Konstantynopola. Jeśli tak było w istocie, nie dziwi to, że ludzie byli gotowi zapłacić za nie astronomiczne sumy, aby je mieć.

Jeśli zakon Świątyni był w jakimś stopniu dotknięty oddziaływaniem herezji, to nie jest zaskoczeniem, że pomyślał o zapewnieniu sobie na tyle potężnego lekarstwa, aby przeciwstawić się swym problemom na forum wewnętrznym w sposób dyskretny i niewidoczny dla innych. Wyżsi dostojnicy zakonnicy spełniali delikatne misje dyplomatyczne dla cesarzy bizantyjskich i znali dobrze pałac cesarski w Konstantynopolu. Zaniepokojony szerzeniem się nauczania katarów, które przenikało do znacznej części społeczności chrześcijańskiej i Kościoła katolickiego, zakon templariuszy zamierzał leczyć niedowiarstwo niektórych swych znaczących przedstawicieli w ten sam prosty, skuteczny sposób, w jaki swego czasu zostało przezwyciężone niedowiarstwo Tomasza. Apostoł ten oświadczył, że nie uwierzy w Jezusa zmartwychwstałego, dopóki nie zobaczy i nie dotknie rany Jego otwartego włócznią boku. W ten sam sposób także templariusze, których dręczyły wątpliwości, zostaliby uleczeni z nich w momencie, gdy będą mogli zobaczyć na własne oczy znaki człowieczeństwa Jezusa odcisnięte na tej zadziwiającej relikwii. Widzieć i także dotknąć: jak już mówiliśmy, opierając się na historycznych źródłach, templariusze mieli zwyczaj oddawania czci całunowi w ramach liturgii, która przewidywała całowanie ran stóp.

W świetle tych rozważań nie wydaje się już dziwne, że śledczy prowadzący przesłuchania w Langwedocj i kładli tak wielki nacisk na sprawy herezji i czarów, akcentując te kwestie w sposób nienaturalnie przesadny w porównaniu z innymi regionami. Nie jest wykluczone, że w przeszłości właśnie na tych terenach było głośno o jakimś skandalu, były pewne pogłoski albo przynajmniej wiadomo było o mało ortodoksyjnych sposobach postępowania, które wzbudziły cień podejrzenia. Może był to tylko jeden przypadek albo dwa, ale w tych okolicach nawet jeden albo dwa przypadki były więcej niż wystarczające.

Jest rzeczą znamioną, że wielu współczesnych chrześcijan ma tendencję do patrzenia na Całun Turyński jako na dowód tego, że Jezus prawdziwie zmartwychwstał. Natomiast templariusze - o ile przyjmujemy, że strzegli całunu, jak wszystko na to wskazuje - szukali w nim prawdy całkowicie odmiennego rodzaju. Co do tego, że Jezus zmartwychwstał, nie mieli wątpliwości; im było potrzebne, aby zobaczyć, że Chrystus naprawdę umarł. Decyzja przywódców templariuszy, aby zachować w tajemnicy przechowywanie całunu i jego kult w zakonie, z czasem okazała się tragicznym w skutkach błędem. Zasadniczo nie jest rzeczą właściwą pisanie o historii, gdy jest się mądrym poniewczasie, a następnie snucie przypuszczeń na temat tego, co mogłoby się wydarzyć: istniejące fakty są jednak oczywiste. Tożsamość całunu oraz jego charyzmat były niewątpliwie w stanie uchronić zakon templariuszy od jakiegokolwiek próby oskarżenia o przestępstwa przeciw religii. Jeśli cały świat chrześcijański wiedziałby na pewno, kim jest naprawdę tajemniczy "bożek" templariuszy, jeśli mógłby go zobaczyć i widzieć, jaką czcią otaczają tę relikwię przywódcy zakonu, to czarna legenda Bafometa nie narodziłaby się nigdy, a wszystkie inne oskarżenia wysunięte przez Filipa Pięknego sprowadziłyby się do garści dworskich plotek.

Na podstawie źródeł będących w naszym posiadaniu nie jesteśmy w stanie powiedzieć, kiedy dokładnie całun stał się własnością Świątyni i kiedy nią przestał być, przechodząc w ręce innych strażników. Jediną rzeczą, którą wiemy, jest fakt, że całun pozostał w zakonie przez pewien czas i pozostawił po sobie niezatarte ślady w jego duchowości. Niektórzy autorzy - jak Dubarle, Zaccone, Raffard de Brienne i Alessandro Piana - uważają, że całun po splądrowaniu Konstantynopola dostał się bezpośrednio w ręce rodziny La Roche. Osobiście podzielam także ten pogląd w oparciu o dostępne źródła historyczne. Historyk Willy Muller utrzymuje natomiast, że przez pewien czas całun był przechowywany w Niemczech i miał powiązania z postacią cesarza Fryderyka II. Należy zauważyć, że za tą tezę przemawia okoliczność, iż oblicze wyciśnięte na całunie pozostawiło bardzo wyraźne ślady w tradycji templariuszy niemieckich, które wyraziły się w przedstawieniu tego oblicza na odwrocie pieczęci preceptorów Niemiec. Wszystkie te

rekonstrukcje nie są ze sobą sprzeczne. Są one tylko różnymi etapami długiej podróży, o której w gruncie rzeczy wiemy jeszcze niewiele.

Jest faktem, że historia całunu pozostaje otwarta na hipotezy aż do połowy XIV wieku, kiedy to staje się on przedmiotem tak wielu pism, że nie sposób już żywić poważnych wątpliwości na temat jego losów. W kwestii wieków poprzedzających ten okres rekonstrukcja lana Wilsona jest niewątpliwie tą hipotezą, która wykazuje najwyższy stopień prawdopodobieństwa. W każdym razie - bez względu na to, czy całun jest identyczny ze słynnym mandylionem - jego obecność w zbiorze cesarskim w Konstantynopolu jest poświadczona przez wiele źródeł. W latach 1200/1201 miasto było pogrążone w chaosie spowodowanym zamachem stanu, który doprowadził do zdetronizowania Izaaka II Angelosa. Rozruchy dały o sobie znać także w pałacu cesarskim i oficjalny strażnik relikwii Mikołaj Mesarites był zmuszony stawić czoło tłumowi buntowników, aby uniemożliwić im sprofanowanie kaplicy w Pharos. Udało mu się uspokoić umysły żołnierzy, odwołując się do najwyższej świętości miejsca. Przedmioty zgromadzone w tej kaplicy tworzyły nową Jerozolimę, rzeczywistość utrzymującą ziemię w kontakcie z niebiosami, i dlatego wszelkie zmiany na płaszczyźnie politycznej nie powinny jej dotyczyć. Mikołaj opisuje całun w sposób jednoznaczny jako prześcieradło pogrzebowe, na de którego wizerunek Jezusa odcinał się jako sylwetka bez konturów: "Jest on z lnu, materiału skromnego i prostego, i jeszcze wydziela woń mirry Nie może ulec zniszczeniu, ponieważ zakrywało martwe ciało, o nieokreślonych konturach, nagie, posypane mirrą po Męce".

To, że len jeszcze w XIII wieku wydawał woń aromatów pogrzebowych, może zdumiewać tylko do pewnego stopnia. W XVI wieku podczas prac w podziemiach Rzymu odkryto groby pochodzące z epoki cesarstwa, które miały ponad tysiąc lat i w których znajdowało się wiele zabalsamowanych ciał. Z relacji kopiących tam osób dowiadujemy się, że zapach aromatów pogrzebowych był wyraźnie odczuwalny.

To był ostatni opis całunu w stolicy cesarstwa bizantyjskiego.